

# NOWA POLSKA

## MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 6

LONDYN

CZERWIEC

1944

KSAWERY PRUSZYŃSKI

### KSIĄDZ UŁAS

Poznałem go na początku roku akademickiego 1929 albo 1930, na pewno nie później, bo potem opuściłem już Kraków. Było to w piętrowym, niewysokim domu, jaki stał — a może i dotąd stoi — na samym środku targowego, źle brukowanego placu, noszącego po krakowsku uroczystą nazwę „imięcia Jabłonowskich”. Niewysoki dom należał do magistratu i na parterze mieściły się jakieś wyższe instancje od rzeźni miejskiej, lokalna komisja poborowa i jakiś trzeci urząd także w tym rodzaju. Wszystkie one przeciągały swe zajęcia co najwyżej do trzeciej po południu po czym zamykały swe biura na wszystkie możliwe spusty, sztaby żelazne i kłódki. Było to niezawodnie nawykiem jeszcze z owych archaicznych austriackich czasów, kiedy Kraków w tej stronie miasta kończył się z granicą Plant, a Wenecja, Wolska, Garncarska, nie mówiąc już o Błoniach i Salwatorze, stawały się z nastaniem mroku jakimiś dzikimi polami, na których harcowała bezkarnie dzika Krowodrza i niepokojące samą swą nazwą Półwie Zwierzynieckie. Tamte czasy, oczywiście, dawno minęły, „Dzikie Pola” skolonizowano alejami Trzech Wieszczów; miasto całą nową dzielnicą od pierało już Błonia od Rudawy. Nawet za sam Park Krakowski wyrzuciło, jak nowy Barbakan, grupy nowoczesnych willi. Ale biurokracja wolnego stołecznego miasta umiała szanować tradycje, toteż lokale urzędowe w domu na placu Jabłonowskich zamykano dalej na wszystkie sztaby kłódki i zastawki na jakie było stać. Po czym, jeśli było niedługo po pierwszym to wszyscy, a jeśli dłużej to tylko niektórzy, pospieszali do szynków, i to znowu wedłu stanu; kto do Wencla, kto do baru „Pod Żywcem”, a kto na róg Straszewskiego, po prostu do Goldmana. I dom zostawał pusty.

Tak samo jednak jak parter domu na Jabłonowskich żył tylko pierwszą połową dnia, tak piętro żyło drugą. Piętro liczyło sobie parę dużych pokoi, nie tak jednak dużych i nie tak nowoczesnych aby móc służyć za mieszkanie w mieście gdzie czynsze i tak były niskie, a nowych domów sporo. Magistrat miał zresztą złe doświadczenie jako kamienicznik, albowiem krakowianie byli zdania, że komu jak komu ale magistratowi nie powinno się płacić komornego, wprost nie wypada. Zawsze trzeba było dopiero drogą sądową prostować te mylne poglądy. Toteż z mieszkaniem na piętrze wolano nie mieć kłopotów i po prostu oddano je za darmo — byle tylko za elektryczność płacili — Akademickiemu Kołu Kresowemu.

Akademickie Koło Kresowe było zaś całkiem osobnym rozdziałem krakowskiego życia. Należeli do niego ludzie urodzeni na ziemiach, których zachodnią granicę stanowił Bug i Zbrucz, wschodnią zaś ginęła gdzieś w mgłę globu. To jedno można było ustalić, że obejmowały one nie tylko Irkuck i Tobolsk, ale nawet Charbin. Był czas że chciano nawet przekonać delikatnie charbińczyków, że skoro jest ich w Krakowie aż kilkunastu mogliby zawiązać własne koło, mieć prezesa, skarbnika, zarząd, może nawet własną stołówkę z potrawami chińsko-polskimi? Ale charbinianie nie odznaczali się zbytnimi ambicjami do samostanowienia i tłumaczyli nam uparcie że między nimi z Charbina, a nami, urodzonymi w Wilnie, Mińsku, Równem, Kijowie, Ałcie, Moskwie nie ma, właściwie, różnicy, że różnica pojawia się dopiero tam gdzie naraz znika drewniana cerkiew, kablak „dugi” zgięty nad karkiem końskim, i krupna kutia, ugniatana z makiem i miodem w poranek wigilijny. Oto właściwe słupy graniczne. Teoria ta wydawała nam się wtedy pozabawiona naukowych podstaw. Na uniwersytecie bierze się jeszcze naukę bardzo na serio. Dziś nie wiem, czy charbinianie nie mieli nieco racji.

Liczebnie biorąc, Akademickie Koło Kresowe, nie mogło iść w zawody z takimże Kołem Śląskim, ba, nawet z rzeszowskim czy tarnowskim. Już także zakopiańczycy stanowili poważną konkurencję. Ale swym zasięgiem terytorialnym biło wszystkich, albowiem, jeśli odtrącało od siebie nawet Lwów oddając go z Tarnopolem rdzennej Polsce, to za to włączało bez pardonu cały Związek Sowiecki, część Chin, część Persji, całą Turcję, Afganistan, Bombaj a nawet japońską część Sachalinu. Tam wszędzie, temu lat dwa czy trzy dziesiątki, wyrosły kolebki tych ludzi, i ludzi tych ciągnął jakiś sentyment dziwny do owych stron z którymi najczęściej rozstali się na zawsze. A przynajmniej do wspomnień stamtąd, i ludzi stamtąd. Sentyment ten nie miał w sobie żadnego politycznego zabarwienia. Akademickie Koło Kresowe nigdy i w niczym nie przyczyniło się do zamięcia stosunków polsko-perskich, polsko-chińskich, polskoturkowskich, czy polsko-sowieckich. Lub też raczej panowała tu wspaniała tolerancja sympatyi. Świadczyła już o tym tablica Koła na której pojawiały się, tuż przy sobie następujące ogłoszenia:

— Kto zabrał — zapewne przez pomyłkę — drugi tom Szołochowa „Tichij Don” zechce... i t.d.

— W piątek, 7-mego, w sali Muzeum Rzemieślniczego odbędzie się staraniem „Proświty” akademii ku czci głównego atamana Semena Petlury...

— Członkowie Koła proszeni są na odczyt prof. dr. W. Lednickiego „Nowa Rosja w literaturze sowieckiej”. —

— Sekretariat obwodowy Obozu Wielkiej Polski zawiadamia że broszura dra Klaudiusza Hrabyka „Ukraińców stworzył... Berlin” jest do nabycia dla członków i sympatyków. —

Na stole pingpongowym, gdzie przedstawiciel Krymu łupił niemiłosiernie reprezentację Polesia, i który, jak wieść niesła, posłużył kiedyś jednemu z członków zarządu do ćwiczeń seksualnych z pewną sercową pacunelką spod Wodotków, leżały zgodnie i przykładowie monarchistyczne „Słowo” i komunistyczny „Miesięcznik Literacki”, klerykałny „Głos Narodu” i boyowskie „Wiadomości literackie”, ukraińskie „Diło” i warszawski, rosyjski „Miecz”. Towarzystwo biorąc, koło było tak samo mieszane. Syn magnata spod Białocerkwi był sekretarzem w zarządzie w którym syn ekonomia u jego papy zaszczytnie prezesował, córka carskiego dygnitarza urzędowała na tańcówkach w bufecie współ z córką biednego warszawskiego kolejarza którego los rzucił do Orenburga i tam skojarzył małżeńsko z jakąś miejscową Głafirą, Sonieczką czy Lubaszą. Ach, tak, tańcówki! Zapewne, bal górników na św. Barbarę był świetniejszy, bal snobistycznej korporacji „Corolla” — (zawsze w gościnnej



Floriance) bardziej szykowny, ale proste tańcówki sobotnie na Jabłonowskich były jednak najlepsze. Nigdzie też tak nie tańczono mazura, kujawiaka i krakowiaka. Miano je zresztą wszystkie w niejkiej pogardzie; narodowym tańcem koła był bowiem ukraiński kozak. Tu jednak los ciężko pokarał kresową kolonię, albowiem okazało się, że kozaka najlepiej tańczy w Krakowie pewien rodowity... Ślązak z czeskiego Cieszyna. Był to wielki despekt, zwłaszcza dla synów Zaporozża, ale tak było. W dodatku ów Ślązak poświęcał znacznie więcej czasu choreografii ukraińskiej niż prawu rzymskiemu, toteż studiował każdy rok po dwa lata, i przy każdej sposobności uświadamiał potomków Siczy że aby tańczyć kozaka jak należy trzeba być rodem z Zaolzia. Szczęściem miał wuję i wuj dał mu wreszcie jakąś posadę, wobec czego poniechał i studiów i występów. Koło odetchnęło.

\* \* \*

Na parę lat przed tym wydarzeniem, pewnego wczesnego popołudnia, zjawił się jednak w Kole dość osobliwy gość. Był ubrany w szeroką sutannę, inną niż katolickie, i pomimo młodego, całkiem młodego, wieku, puszczała mu się już broda. Wszedł dość zakłopotany, wymamrotał jakieś niewyraźne pozdrowienie, po czym upewnił się, już wyraźniej, czy jest to istotnie Akademickie Koło Kresowe? Polszczyzna była poprawna, może zanadto poprawna; lśniła gramatyką, niczym drzwi świeżo malowane błyszczą się od nieobeschłej farby. Lepiej być dalej od takich drzwi, — i nie poddawać takiej polszczyzny zbyt szczegółowym badaniom.

Polszczyzna zresztą sama utkwiała na tym pierwszym pytaniu i może tkwiłaby tu długo gdyby znad partii szachów w kącie nie padło naraz znacznie swobodniejsze zapytanie:

— Batuszka?! A wy zwitki?!

Olśniło nas. Tak, oczywiście, batuszka. Jasne że „batuszka”! Jakiśmy mogli nie domyślić się od razu! Wstyd doprawdy! Ale też skąd naraz, w Krakowie, prawosławny, ruski pop? Tego jednego jeszcze, nawet w Akademickim Kole Kresowym, nie było. Katolicycy, owszem. Jeden z byłych prezesów Koła sam nałożył sutannę. Ale przedstawiciele cerkwi nie było ani u nas, ani w całym Krakowie.

Gdyby batuszka lepiej znał finezje polskiej mowy, samego mówiącego i ton jego głosu, odczulby zapewne ową ironię, zatrącającą i wyższością i pogardą prawie, jaka istniała nieraz na tamtych ziemiach — nie tylko u katolików zresztą — w odniesieniu do prawosławnego duchowieństwa. Ale batuszka może nie rozumiał, może też uradował go sam dźwięk mowy swojskiej w tym bardzo obcym mieście. Przetęł odpowiedział, siląc się na polski, ale wpadając w ten swój rodzinny, co, i jak, i czemu. Dowiedzieliśmy się po chwili, że jest synem popa z Derażnego, że jego ojciec proboszczował „za cara” w Połonnem, potem w Braitowie, wreszcie w Nowomalinie...

— To tam, u was, w Braitowie, Chrystusowi w kościele włosy rosły? wtrącił ten od szachów.

Batuszka się nie stropił:

— Prawosławnemu nie rosły. To w katolickim kościele Braitowskim ten Chrystus stał...

Rzecz jasna, że Derażne, Braitów, Połonne, nawet sam Nowomalina, nie wiele mówią komukolwiek na szerokim polskim świecie. Ale ludzie wysiadający popołudniami w owym domu na placu Jabłonowskich znali to wszystko albo sami, albo z dziesiątka obcych opowiadań. Byli tacy co w dzieciństwie jeszcze zajadali się osobiście znakomitymi lodami jakie w Połonnem (za kordonem) sprzedawała żydówka Chaja Czarnomorska! Cóż to były za lody! Ponoć z przepisów francuskich jakie emigranci burbońscy, po 1789 roku osiadli w Dubnie, na Wołyń przynieśli. Inni pytali o Czecha, właściciela browaru w Derażnem, inni o Dowgiatłów

z Nowomalina, o sąsiedni Mizocz, o Dermań, o to czy żyje właścicielka Hotelu Bona w Krzemieńcu i o coraz to inne, takie właśnie, bardzo istotne, sprawy. Zrobił się wieczór, naszło dużo ludzi, ale nie było tego dnia ani pingpongu, ani bilardu. Był tylko wieczór wołyński. W commonwealth'ie Koła Wołyńianie nie stanowili ani tak hucznej wspólnoty jak sąsiedzi z Naddnieprza, ani tak zwartej jak wilnianie, ani tak ruchliwej jak skońooci Charbin. Byli ciężcy, powolni, sentymentalni pod pozorami grubości. Ale na ów dzień odsunęli wszystkich i wszyscy zgodnie omawiali lody u Czarnomorskiej, wadliwą restaurację monasteru w Dermaniu, dobre serce Paraski, ciotkę Dowgiatłów, belfrów z Równego i tańcówki w Ostrogu. Obojętne czy znali, czy nie znali; bo czyż to nie to samo? Wszędzie było przecież w tym kraju tak jak z tą Paraską, z tą cerkwią, z tym Szomszteinem, Trochimem, stawem w Matwijowcach i szkołą w Korcu. Pnącże wspomnień rozeszły się owego wieczoru szeroko i wcisnęły w najciaśniejsze szczeliny pamięci.

I może by nigdy tak nie było, gdyby nie dziwny gość. On to wszystko sprawił. Jak i czym? Jego niezgrabne słowa polskie i nawykłe, ukraińskie, jego głęboki, męski głos, jego uśmiech szeroki, łagodny, smętnawy, ruchy po popsku niezdarne. Oto były narzędzia, czy też środki którymi otwierał każdemu z nas sezam naszego dzieciństwa. Gdy siedział, widać było spod sutanny nie jakieś czarne, starannie wyczyszczone trzewiki jak u naszych znajomków z seminarium duchownego w Alejach. Nie. Spod za szerokiej sutanny wyglądały wtedy szerokie, silne buciory z chropawej skóry, prawdziwe buty. Tak, buty. Widziało się od razu batuszkę jak w takich butach, tyle że podkasawszy sutannę, brnie sobie jesienią czy wiosną przez tłuste, przepastne błoto wołyńskiej wsi. Te buty właśnie, uśmiech, głos i akcent dodawały smaku opowieściom. Zdawało się naraz że pachną rodzime zapachy i cerkiewny ładan, chleb razowy dymiący jeszcze po rozkrojeniu nożem, ostra machorka i, o wieczorze letnim, zmysłowy zapach stajni.

To wszystko i wiele innych rzeczy wyczarował samym swym zjawieniem zabłąkany w Krakowie pop wołyński.

\* \* \*

Tak się stało, że obowiązek wprowadzania krajana w egzotyczny dlań Kraków spadł na mnie. Ojciec Ułas — takie miał imię i takeśmy go zwali — obszedł już wprawdzie jako tako Kraków. Ale zrobił to zdaje się z nieśmiałością wiejskiego prostaka i trzeba mu to było szybko z głowy wybić. Trzeba było za to aby dostrzegł szczątki ruskich malowań ściennych w kaplicy kijowskiej księżniczki Sonki, ostatniej, najbardziej frywolnej i najbardziej płodnej małżonki Władysława Jagielly. Trzeba mu było pokazać wspaniałą matejkowski ikonostas w cerkwi unickiej przy plantach, i groźnego „Wernyhorę” w Muzeum Narodowym nad Sukiennicami, z kozakiem, lachem, popem i chłopakiem, zasłuchanymi w groźne słowa stepowego proroka. Ale nie wiem czy „Trójka” Chelmońskiego, rozpędzona w galopie przez błotne wyboje, nie wydała mu się bliższa i bardziej swojska. Potem widział na starych rycinach Wawel średniowieczny, jeszcze nie tknięty przez Włochów, kiedy zamiast barokowych helmów rozpinają się na jego wieżach kragłe, jak cerkiewne, kopuły, kiedy jeszcze było w nim mniej z Florencji, a za to więcej z Kijowa. Potem widział przywileje królewskie pisane w mowie białoruskiej, oraz, dla odmiany, „Lament cerkwi”, pisany przez ruskiego archimandrytę Melecjusza Smotryckiego w najczystszej skargowskiej polszczyźnie. To wszystko drzemało w Jagiellonce. Na Salwatorze, u profesora Bohdana Łepkija odnalazł najpiękniejszy chyba zbiór starych ikon ukraińskich. Właśnie także w tym czasie groby królewskie na Wawelu przyjęły jeszcze jedną trumnę poety, który całe życie bez mała spędził w Paryżu, ale nigdy nie



zapomniał wołyńskiego Krzemieńca. I tak przez rok pierwszy i drugi — obce miasto staowało się naraz nie takie znowu obce.

Ale, że wszystko się kończy, przeto kiedyś, jakoś, po którychś wakacjach w Akademickim Kole Kresowym, zabrakło młodego *światozennika* z Wołynia.

Poszły słuchy że dostał parafię, gdzie tam właśnie.

— Ożeni się, napłodzi z pół tuzina dzieci, rozpije się i roztyje, prorokowali znawcy prawosławnego duchowieństwa.

— Nie ożeni się, wyrośnie z niego taki prawosławny Szeptycki, prowadzi ludowy w sutannie, mówili drudzy.

\* \* \*

W cztery lata później dogonił mnie w Warszawie, najpierw list z pieczętką „Ostróg Wol.” a potem sam ksiądz Ułas z oryginalną prośbą. Jak zawsze w takich wypadkach uśmiechał się najpierw bezradnie, kluczył, niedopowiadał, trzeba go było zachęcać. Wreszcie wykrztusił. Oto, muszę, bardzo trzeba, bardzo bardzo trzeba, abym ja, ale koniecznie, przyjechał do niego, do Omelna. Nie zaraz, teraz. Ale w przyszłym roku. W przyszłym. Omelne — jeszcze jedna nazwa Wołyniem pachnąca. Niestety, musiałem ze wstydem przyznać, że nie mam wielkiego pojęcia gdzie dokładnie to Omelne leży.

Ksiądz Ułas popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a także — po raz pierwszy w życiu — z karcącym wyrzutem.

— Omelne? Jak to tak być może? Ooo! A pan nie wie nawet kto fundował cerkiew w Omelnem?

Pytanie było zbyt wprost, abym się nie domyślał. Już tylko na wszelki wypadek zapytałem batuszkę: — Pruszyńscy?

Ksiądz Ułas odetchnął. Ja podjąłem obronę.

— Proszę ojca, na Wołyniu jest jedenaście cerkwi których fundatorami lub współfundatorami byli Pruszyńscy. Religijna, wiadomo, rodzina. O niebo zawczasu dbająca. Tak że trudno mi to wszystko spamiętać...

Ale egzamin nie był skończony:

— A wie pan kiedy, pytał uśmiechnięty swym szerokim uśmiechem ksiądz Ułas.

— Ksiądz chce mnie obciąć na rodzinoznawstwie?

— W roku pańskim tysiąc siedemset trzydziestym i *piątym*! — obwieścił egzaminator.

Zrozumiałem! Był bowiem właśnie rok 1934 i nawet dla urzędnika państwowego byłoby chyba jasnym dlaczego proszą *właśnie* na przyszły rok. Życie w Polsce niepodległej nauczyło jak widać młodego wołyńskiego popa iż rocznice należy wynajdywać i święcić. Pobyt w mieście narodowych obchodów i pogrzebów nie minął u niego bez śladu. Dwóchsetletnia rocznica! Jeżeli można było urządzać na Śląsku szumne obchody na cześć dziesięcioletniego urzędowania pana wojewody, to czemuż by Omelne nie miało urządzić choćby odpustu na dwóchsetlecie swej cerkwi? Z nieśmiałego księżyny zapowiadał się pojętny proboszcz. I pijąc podwieczorek zabraliśmy się do obmyślenia szczegółów. Ksiądz Ułas wiedział wszystko. Wiedział że cerkiew fundował ten sam pradziad Wawrzyniec który żyjąc 109 lat pobił na długie czasy rodzinny rekord długowieczności: stąd cerkiew jest pod wezwaniem niezbyt znanego w kościele wschodnim *światowo Ławrentija*. Dzień tegoż świętego przypada 23 sierpnia. Obaj, (z krakowską rutyną w tych sprawach) osądziliśmy że jest to świetna pora dla obchodów. Lato, ciepło, żniwa się kończą, kartofle jeszcze nie zaczęły, droga nie popsuta, wieś ma trochę pieniędzy, w sadzie jabłka i renklody. Przodkowie nasi wiedzieli kiedy fundować cerkwie.

I już wszystko było umówione, kiedy naraz tknęła mnie paskudna obawa. Że to wiadomo, jak to z księżmi... Słodkie to, niby nic, święte, a potem naraz. Więc zacząłem mówić, akurat tak samo pokrętnie, jak przedtem ksiądz.

— Ale, wielebny ojciec rozumie chyba, że od czasu długowiecznego Wawrzyńca dużo bardzo się zmieniło w, że tak powiem, finansach mojej rodziny. Że, mnie dziś, będę klepiącemu, z rodziną, byłoby trudno... ksiądz rozumie?...

Nad swą szeroką niezachodnią twarzą młody pop miał czarne załamane brwi, bardzo czarne i nieregularne które czasem podnosiło zdziwienie. Tym razem podniosło je tak wysoko jak jeszcze nie widziałem ich nigdy. I zaraz ściągnął je gniew. Twarz księdza stała się cała ciemna:

— To pan myślał? Ja? Jak każdy ksiądz?

Tym „każdy” wkopał się dość zabawnie.

— Ostatecznie, jest ksiądz księdzem czy nie? Ja sam na miejscu księdza poszedłbym raczej do moich kuzynów z Pustomyt. Ci jeszcze by mieli z czego.

— Parafia sama ma dać! osądził ksiądz. I powiedział to z jakąś siłą decyzji której nie znałem u niego przedtem.

Cztery lata naszego niewidzenia były dla niego tylema latami sprawowania rządu dusz. A rząd dusz robi swoje. Nawet w Omelnem.

\* \* \*

Omelne ze swoją zbliżającą się powoli rocznicą weszło od tego popołudnia w świat moich rozważań, tak samo jak o kilka lat wcześniej zjawienie się tego księdza, w innym mieście, innego południa, otworzyło na nowo okna myśli na ogród dzieciennych lat. Dawniej myślałem po prostu; Wołyń. Teraz myślałem: Omelne. Myśl, zwężając się, stawała się konkretniejsza. W ten sposób w jakimś Chicago czy Milwaukee zestarzała się emigranci nie myślą o Słowacyźnie ale o jakichś Mihajlovcach, nie o Litwie, a o jakiejś wsi nad ciemnowodą Niewiażą, nie o Warszawie nawet, ale o Polnej, Puławskiej lub Gęsiej. Prawdziwe strony rodzinne były nieosiągalne. Ale na polskiej stronie Wołynia było przecież Omelne.

I odtąd wiedzoznawstwo o Omelnem uzupełniało się samo. Nie wiedzieć skąd dowiedziałem się, że zamiast wysiadać za Równem znacznie lepiej brać w Równem autobusy. Idą sprzed poczty, tylko w szabas nieczynne. W Omelnem była kooperatywa mleczarska „Masłosojuzu”; teraz jej nie ma. W lasach za Omelnem kwitną żółte egzotyczne azalie; ów kwiat ze stepów Turanu, zawleczony tu pewnie kopytami koników tatarskich; o siedem kilometrów za Omelnem malowniczo przelamuje się Słucz; jest tam latem kąpielisko zdołbunowskich Żydów; miał stać KOP; Otwarto agencję pocztową.

Tak się też samo stało, że wypadło mi coś w Równem i po raz pierwszy, niespodzianie, pewnym wieczorem, zjawiłem się jesienią najętymi końmi w Omelnem. Już zaczynały się roztopy. Kiedy zgodziłem bryczkę siadł ze mną sierżant KOP'u, który najpierw mnie wylegitymował, a potem zabawił rozmową. Był to sympatyczny blondas, poznaniak zdaje się, zadowolony ze siebie i służby. Był bardzo pewny siebie. Tryskało z niego energią. Po godzinie zrobiło się ciemno na bryczce i nie widziałem już jego twarzy. Słuchałem tylko dość sennie długich wywodów. Nie były zbyt konkretne... Tu się wiele robi, ale nie tyle ile trzeba... Tu by można bardzo wiele zrobić. W dwadzieścia lat... Wszystko to tak trzeba wziąć. Zauważyłem z pewnym zdziwieniem, że zwykły sierżant wypowiada nader dosadne opinie o wojewodzie, a wyraża się dziwnie lekceważąco o miejscowym staroście. Ale nigdy nie dopowiadał niczego do końca. Ciągle wracał za to do celu mojej podróży, zupełnie tak jakby oczekiwał że za trzecim razem dam mu inne wyjaśnienie, niż za pierwszym.



— W Omelnem nie ma dworu...

— Ja do proboszcza.

— Popa — batiuszki?

— Tak.

Sierzant zamyślił się znowu w ciemności. Błoto rozpryskiwało się z kałuż. Powoli, zza garbu czarnoziemiu, podnosił się czerwony księżyc. Kragła czapka kopisty rysowała się wyraźniej; i tylko twarz pytającego odcieniał długi, blachą obkuty daszek:

— To pan go zna z Krakowa?

— Z Krakowa.

— A co on tam robił?

— Studiował.

— Studiował? Jabyłm chciał wiedzieć co on tam w tym Krakowie studiował... Nie samą świętą teologię...

Konie w tej chwili przeszły w klusa, a pod bryczką rozdzwonił się bruk. Nawet gdybym bardzo chciał słyszeć nie dosłyszałbym już dalszych wywodów sierżanta. Po obu stronach drogi powyrastały chaty, długie, duże, bielone, w nich niewielkie okna lśniące czerwonym światłem naftowych lamp czy ogarków. Jakieś psy, jakieś cienie ludzkie, jakieś cienie koni. Potem jakieś ciemne drzewa nad nami, — i jakiś masyw.

— To pan już jest na miejscu, powiedział sierżant; ja mam jeszcze kawał.

Bryczka z sierżantem znikła właśnie w chwili, gdy ksiądz Ułas wyszedł przed próg.

\* \* \*

Miałem wyjechać z Omelna nazajutrz, ale wyjechałem dopiero w cztery dni później. Ksiądz Ułas odwiózł mnie aż do Równego. Sam pomagał wnieść do wagonu olbrzymi toboł, z którym na Wołyn nie przyjechałem, ale który za to wywoziłem do Warszawy. Co tam było, czy też raczej, czego tam nie było? Były — podkład wszystkiego — gruszki „funtówki”, słodkie, topniejące w ustach olbrzymki. Tylko na Wołyniu są takie. Były renklody osobliwego kalibru; cztery czarne puklerze słończników, zerwane sprzed samej plebanii; była nawet kukurydza — bo czyż w Warszawie można mieć taką? Nad tym wszystkim ulokował się osobliwy staroświecki ser który nabył smaku na skutek parotygodniowej kwarantanny jaką odbył w ogrodzie pod grubą warstwą ziemi wołyńskiej. Serzmartwychwstaniec. Były i dary trwalsze; dwa wspaniałe haftowane, czerwono i czarno ręczniki, raczej przypominające jakiś obrzędowy aparat niż przedmiot służący do otarcia rąk; cztery talerze gliniane polewane zielono w białe wzorce; kilkanaście pisanek, jak miniatury, pozostałość wielkanocnej gorliwości wszystkich Parasek, Jakyłyn i Ewdokij Omelna. I co za koszula! Z szarego, ale cieniuchnego — (cały szyk!) — konopnego płótna, po prostu nadziana, opancerzona, pasami grubego haftu. Aż sztywnego. Jak staroświecki ornat. Tak. Nie wracałem z próżnymi rękoma do Warszawy i z góry już przewidywałem, że w domu ta wyprawa będzie oceniona należycie.

— Ha, gdyby tak wszystkie jedenaścioro wołyńskich cerkwi, zawdzięczających swe powstanie bogobojności przodków zechciało iść śladem Omelna, nie byłoby jeszcze tak źle, rozważało się w wagonie polskich kolei państwowych; zwłaszcza, że Omelne biedne jest w istocie i nie wiele mu tam zostało, a na przykład takie Sarny bogate. Mogłyby tam kiedy, jaką kobiałkę. Cóż kiedy nie wszyscy proboszczowie są tacy jak ksiądz Ułas!...

Omelne istotnie było równie biedne jak piękne. Po potomkach Wawrzyńca jednym śladem była cerkiew i stara plebania; dwór dawno przeszedł był na Kaszowskich, potem na Deskurów, potem go skonfiskowano. Miał go jakiś Popow a po nim znowuż Iwanow czy odwrotnie i już te pospolite nazwiska same sobą mówiły o upadku. Podczas wojny światowej

dwór zgorzał ze szczętem — i teraz tylko w ogrodzie duża, obrośla jaśminami, wyrwa, znaczyła ostatni ślad. Część gruntów poszła na parcelację; część bardziej w dole, w stronę Kostopola poszła na osadę wojskową. Tak że wieś nie wzbogaciła się nimi. Czuć było że ma też o to utajony żal. A żal o ziemię to bardzo wielki żal. Prawie taki jak żal o kobietę.

Już te ostatnich sto lat nie było zbyt łaskawych dla Omelna, a ostatnich lat dwadzieścia także. Kolej, która ożywiła tyle podtęch dziur, ominęła z daleka Omelne; wąskotorowa linia, jedyna cenna pozostałość austro-niemieckiej okupacji także poszła bokiem. Środkiem wsi biegł co prawda szeroki gościniec, zwany tradycyjnie „traktem”. Ale tylko u wjazdu do wsi był brukowany, rzadko kiedy przejechał nim wóz chłopski, zarastała go z obu stron trawa.

Jednym śladem świetności były lipy idące tym szlakiem aż za wieś, na Wschód, w step. I istotnie przy samej cerkwi była ich jeszcze piękna zwarta grupa, posplatana konarami, rozszumiała ponad cerkiew listowiem. Ale zbiegając ku drodze, lipy stawały się radsze, mizerniejsze, były wraz mniejsze i było ich wraz mniej. Kiedy o wieczorze wczesnym wychodziło się na drogę sterczały tylko na polu dalekim i równym jak zastęły, slaniający się pod nogi kilim. Na końcu były lasy. Za lasami kończył się wtedy świat.

Pierwszych parę lat po studiach są latami które wprowadzają człowieka w tor całego późniejszego życia. Studia miną. Najważniejsze są lata potem. Wiele rzeczy opada wtedy po drodze, ale za to te co zostają, zostają na zawsze. Jakże wygląda kolega akademicki jako pop prawosławny na zapadłej, kresowej wsi? W pociągu, pod takt kół wagonowych, porządkowały się wrażenia.

Plebania omelska była jedna z wielu takich samych plebanij. Tak samo obrastały ją malwy i słoneczniki, tak samo złociły się ikony w rogu izby, tak samo sterczał stos poduszek na wysokim drewnianym łóżku. Tak samo tandeta prowincji mieszała się z autentyzmem wsi, pachniało woskiem świec i rosółem z kury, pełno było haftowanych obrusów i serwet. Na komodzie, w miejscu uroczystym, stały fotografie rodzinne. Stare i nowe. Ojciec pop, i matka, grubopiersna wybaluszona popadia — jakiś zadzierzysty stryjek w mundurze jakiegoś tam *elizawetskawo* *połka* — jakieś tłuste dziecko z tąż popadią — pewno mój Ułas — i jakiś czwórząd siedzących i stojących prawosławnych duchownych z archirejem w środku. Oto roczny wypusk ichniego seminarium, domyśliłem się. Tamto, zesłowieczne pokolenie popiej dynastii. I naraz wśród tego wszystkiego, bardzo znajoma i zupełnie inna fotografia. Tak. Oczywiście! Zebrań koleżeńskie Akademickiego Koła Kresowego w Krakowie! Rok? 1929! Oczywiście. Wszyscy są. I Kazek Połtowicz, i Kot Połtowicz, i gruba „Dunia” i Korszon! Ciumdziejewicki i Zaleski Wojtek i ksiądz Bukowiński i Gieysztor i Haszłakiewicz i ja i nasz pop. Stoi w drugim rzędzie z lewa. (Zrobiło mi się przykro, że stoi. Powinien, jak ksiądz Bukowiński, siedzieć w pierwszym rzędzie.)

Obok była jeszcze inna amatorska fotografia. Ta z wycieczki do Tyńca. Stoimy na „krakowskim” brzegu rzeki, na skale nad Piekarami; Tyniec za nami. Ksiądz Ułas jest bez sutanny; w spodniach, marynarce. Kto ten piąty? Może Henelt? Tak się zapomina to wszystko...

Było jasnym, że Kraków zawędrował do owego Omelna i zawędrował niejdnym. Na ścianie w jadalnym były naraz dwa talerze krakowskie (swoją drogą szpetnawe), ale były. „Wawel, Wawel, poznaje pan?” niepokoił się ksiądz. Istotnie, na jednym był Wawel, taki od Plant. Na mereżkowej serwecie z niskim napisem leżał barwny album Krakowa. Bodaj z teki Stasiaka. Najlepszą była z tego wszystkiego ciemna reprodukcja cudownego Chrystusa na Krzyżu ze znanej kaplicy wawelskiej.



Tak, tego wszystkiego nie było chyba w żadnej prawosławnej plebanii, przynajmniej z tych jakie znałem.

Ale najsilniej wdarł się tu Kraków książkami i pismami.

Oczywiście nie było tu „IKC'a” nie zobaczyłem jakoś „Czasu”, nie spodziewałem się zobaczyć „Głosu Narodu”. Ale szły tam przy tomie zeszyty „Przeglądu Współczesnego”, był w wiśniowej oprawie pierwszy tom kapitalnego słownika biograficznego Polskiej Akademii Umiejętności, — i pełno, pełno książek. Chyba na dwóch półkach zagnieżdżała się cała Biblioteka Narodowa ze swymi wydaniem klasyków, od Długosza i Galla po Mochnackiego, Goszczyńskiego, Bohdana Żaleskiego, Malczewskiego. (Do łóżka, przed spaniem, brałem, pamiętam, tom po tomie, właściwie aby przeczytać ich kapitalne wstępy.) Tak, to prawda że klapło to cenne wydawnictwo, bo się na nie nie znalazły pieniądze, ale jednak jeśli dotarło trochę tego do takich Omeln, to już wiele. Książd Ułas gładził ręką te książki, jak chłop konia czy krowę. Widać, że mu się nieraz przydały na tej wołyńskiej głąszy.

Tak, Kraków stawał silnie w Omelnem, ale nie wszystkie książki były tu krakowskie. Organem prenumerowanym było „Diło”, a z nim chyba kilkanaście organów ukraińskich. Tygodniki, miesięczniki, pisma specjalne. W tym czasie w Polsce, ku ówczesnej zgrozie narodowców, a dziesięjszej pociechy naszej propagandy, wychodziło jeszcze ponad osiemdziesiąt periodyków w tym języku. Dalej były książki. Parafia w Omelnem miała je chyba wszystkie. Był Szewczenko w warszawskim wydaniu i piękny przekład „Pana Tadeusza” pióra Maksyma Rylskiego, i wiersze Pawła Tyczyny, i „Stepowa Hellada” Małaniuka i mazepińska trylogia Lepkija, no i pierwszy tom świeżo nagrodzonego we Lwowie samczukowskiego „Wołynia”. Przyparte do nich, jak dobudówka, mieściły się osobno wiersze poetów z chełmskiej „Kameny”, w nich przede wszystkim Łobodowski. Były one jak ostatnie przesło utrzymujące łączność nad przepęścią jaka się otwarła pomiędzy dwoma narodami.

Tak, Tak. Pamiętki lat krakowskich były, co tu gadać, trochę jak te zręby omelańskiego dworu, spowite całe w bujną zieloność tej ziemi. Buchała nad nie, oplatała je mocno, właśnie jak tamta zieloność w ogrodzie. To co w tym księdzu nieco przytłumił czy przycisnął Kraków, teraz buchnęło tym mocniej w pełni wołyńskiej wsi.

On sam, czy się zmienił? O, na pewno tak. Przede wszystkim przytył w sobie, ogorzał, szczerwiał na twarzy. I, jak już wspomniałem, nabral autorytetu. Nie darmo kłękano na jego głos co niedziela, baby przypadają mu do rąk, starzy chłopci mówili: „ojcze”. Takich parę lat robiło swoje. Wreszcie, były pewne zagadki do których brakło mi klucza. W naszych rozmowach z tych dni były jakieś niedomówienia lub zamilknięcia: Książd Ułas nie mówił wszystkiego. Za to w paru takich wypadkach naraz skręcał na Kraków: — Tak, Kraków... Kraków. Pan nawet nie wie ile ja tu czasem, gdy ciężko bardzo, myślę o tamtym w Krakowie. Jabym inaczej może poszedł, gdyby nie wasz Kraków... A, Kraków...

Dlaczego nie zapytałem ani razu co ma właściwie na myśli? Ani tego z jakich racyj bywa mu ciężko? I dlaczego myśli wtedy właśnie o Krakowie? Nie wiem. Czasem nie stawia się komuś właśnie najprostszych pytań. Teraz, w pociągu, przypominając sobie tamto, przypomniałem jednocześnie i tamten nocny dojazd, z sierżantem Kopu na bryczce. On także — prawda! — napomykał coś o tym Krakowie proboszcza z Omelna. Ale inaczej.

Właśnie na tych rozważaniach pociąg stanął. Była to większa stacja. Po peronach biegali ludzie; przez okno świeciły latarnie. Dwie baby, jakiś student, jakiś żyd-kapociarz weszli i zajęli miejsce w przedziale. Wątek myśli się urwał. Wyjrzałem przez okno.

Była noc, a nad niskim długim dworcem widniał jasno oświetlony napis:  
— Lublin.

\* \* \*

W ciągu owych ośmiu miesięcy jakie dzieliły ową jesień od uroczystego dnia świętego Wawrzyńca, ksiądz Ułas dawał o sobie znać coraz częstszymi komunikatami. Jego biuro prasowe działało znakomicie, jego prywatny urząd konserwatorski również, no ale nade wszystko wspaniale funkcjonowała jego parafialna izba skarbowa. Ta była podstawą wszystkiego, bo ona wyciskała ostatni grosz z parafian na podniesienie Omelna. Toteż w każdym liście była zawsze jakaś triumfująca wiadomość:

„...wybieliliśmy całą cerkiew z zewnątrz i w seredyni. (Czasem zdarzały się takie lapsusy.) Wcześniej nie można było, bo na wilgoci wapno źle bierze...”

„...jeździłem po ikonostas do Lwowa, ten co go miałem pozłocić, pamięta pan. Lepiej niech Pan nie pyta co kosztowało, ale solidna robota. Wszystkich nas przetrwa”.

„...dach pobijamy nową blachą cynkową ze Śląska, właśnie jej przyszło 200 arkuszy, ale trzeba będzie więcej. Konserwator z województwa upiera się żeby powierzyć gontami pobić, i pewno tak będzie, choć ludziom świecąca blacha lepiej się podoba niż zwykły gont...”

Cała parafia omelańska musiała dyszyć ciężko pod tym gorliwcem. Niejedne, chowane pilnie, złociste rubelki z ostatnim carem powędrowały na ten ikonostas, dach, remont. Ale skargi Omelna nie docierały do mnie, a komunikaty parocha były mimo wszystko dowodem, że opór, jeśli był, ulegał przełamaniu, karny wysiłek parafian postępował naprzód, a „operacje rozwijały się zgodnie z planem”. Byłem pewien że do finiszu dojdzie to w cuglach, kiedy naraz, na dwa tygodnie przed wszystkim, przyszedł krach. Telegraficznie i listownie zawiadaniał ksiądz Ułas że władze zakazały obchodu.

Dla laika spraw kresowych historia była zupełnie nie do pojęcia. Tyle obchodów rocznie i jubileuszy obchodzono na prawo i lewo; Polak studiował każdy nowy kalendarz właśnie pod tym kątem widzenia czy nowy, nadchodzący rok nie przynosi czasem jakiejś trzechsetnej rocznicy urodzin Pana Zagłoby, połogu królowej Bony czy śmierci świętobliwego Kadłubka; rok bez rocznic wydawał się z góry smętnym, nieciekawym rokiem; a władze Rzeczypospolitej popierały jeszcze to zapatrzenie w przeszłość swych obywateli. Dlaczego z Omelnem miało być inaczej, wydawało mi się niejasnym. Ale zbyt wiele ten biedny ksiądz włożył w to swoje Omelno pracy i nadziei, aby teraz jemu nie pomóc. Gdzie pop z Omelna nie może, dziennikarz z Warszawy coś wskóra. Dwa dni później byłem w Równem.

Ksiądz Ułas czekał raniutko na dworcu, a nim starostwo nie zaczęło urzędowania wyjaśniał mi sprawę przy kawie po wiedeńsku w hotelu „Ermitage”. Przez okno widać było jak po drewnianym chodniku panny Zuzie, kanceliści, a wreszcie sami panowie referenci podążali kolejno ku starostwu. Ksiądz pokazywał jeden, drugi papierek. Istotnie. Ale przyczyny? Jeden, jedyny akcik mówił „ze względów ogólnych i bezpieczeństwa”. Jakie względy ogólne mogły tu grać! Jakiemu bezpieczeństwu zagrażało święto?

— Czy ksiądz się nie domyśla czego?

Ksiądz Ułas się domyślał. Ale mętnie:

— To, panie, ciągle teraz tak. Coraz gorzej. Życ nie dają. Ale takich rzeczy to jeszcze nie było. Może rzeczywiście panu się co uda...

W starostwie udało mi się przez pół. Z początku nawet wcale. Referent miał piegi i nic nie wiedział. Potem odszedł pokonferować. Potem wrócił i powiedział że cerkiew jest stara. Może się strop zawalić. Wyjaśniłem mu, że strop był właśnie odnowiony tej zimy, i to pod nadzorem władz konserwatorskich. Ale wtedy okazało się, że Omelne leży w pasie pogranicznym i tam rządzi wojsko. W pasie pogranicznym nie toleruje się żadnych większych zebrań. Jak to dobrze że znałem już Omelne! Mogłem wyjaśnić że leży właśnie o równy kilometr od tego pasa. Nie



w jego zasięgu. Wtedy referent zapytał dlaczego właściwie wdają się w te sprawy, a kiedy udzielałem mu równie uprzejmej odpowiedzi wszedł starosta. Wszyscy powstali z miejsc. Starosta zapytał o co chodzi i zabrał mnie do gabinetu.

Starosta był to miły, gładki, kulturalny człowiek. Miał na biurku „Wiadomości Literackie” właśnie z moim artykułem od wstępu, pytał o Iwaszkiewicza. Wygłosił długie i dość piękne przemówienie o współpracy narodów Rzeczypospolitej. Napomykał na ideę jagiellońską, na Marszałka, na pochód na Kijów, na separatyzm ukraiński, na niezrozumienie. Wobec tego że „żona będzie chciała koniecznie pana poznać”, prosi na herbatę o szóstej.—Ale, panie starosto, co z Omelnem?—Sprawę Omelna rozważ. Dlaczego mi o to tak chodzi? Ach, tak? A czy ja co piszę o Równem? Nie? Skąd znam tego księdza? No, to pogadamy sobie. —

Na herbatce była pani starościna, jej siostra, starosta, ja, ale przede wszystkim był pan pułkownik. Były świeżo upieczone ciastka i stare kawały o Wieniawie, no i wreszcie była sprawa Omelna. Pytali długo co, dlaczego i jak, nie mówili nic sami. Wreszcie zabrał głos pułkownik. Przedstawiciel armii stwierdził, że przyczyną wszelkiego zła na Kresach są właśnie ci polscy ziemianie co tu kiedyś stawiali prawosławne cerkwie, w miejsce katolickich kościołów, że lepiej by było o tym zapomnieć, że dziś tamte grzechy przeszłości odrabia tu wojsko. Potem oznajmił, że wojsko na pewne rzeczy nie może pozwolić, oraz że dziennikarze niepotrzebnie jeżdżą po prowincji. Było to długie exposé, ale nie dawało odpowiedzi na pytanie: czy władza uważa obchód rocznicy założenia wiejskiej cerkwi za niezgodne z prawami Rzeczypospolitej? Tak, czy nie, i dlaczego. Starosta był tak słodki jak jego ciastka, ale odesłał mnie do województwa. Tegoż wieczoru jechałem do Łucka. Może w Łucku powiedzą że dopiero w Warszawie? Ale w Łucku był w województwie Kazek Połtowicz, stary kolega z Akademickiego Koła Kresowego. Miał, rzecz jasna, stosunki.

Kazek też przytył nieco na twarzy przez tych parę lat, zrobił się jakiś wyrozumiały i miarodajny, ale pozostał po dawnemu serdeczny. Był to doświadczony urzędnik. Nie zdziwił się ani temu, że wydano taki zakaz, ani temu że interweniuje. Obiecał sam wszystko załatwić i uznał moje chodzenie za niepotrzebne. Jeszcze wszystko zepsuje. Za czym zwiedzałem Łuck, łęgi zielone nad Styrem, rozpadliny ogromnego zamku rzucone, kształtem podkowy, na te łęgi, wziąłem pokój w hotelu „Savoy” i oglądałem wystawę ceramiki wołyńskiej. Wieczorem, Kazek przyniósł odpowiedź. Omelne może urządzić sobie obchód, ale wyłącznie w ramach parafii. Nie może przyjechać ani archierez z Równego, ani archimandryta z Poczajowa, co najwyżej sąsiedni prawosławni proboszcze. I, naturalnie, nikt z prasy. I nikt obcy.

— Z prasy będę ja, powiedziałem.

— Ty się nie liczysz.

Obchód był już na karku; dobre więc było i to. Umowa stała. Zgoda. Ale dlaczego, tak dla prywatnej ciekawości, te wszystkie historie? Dlaczego proboszcz z Omelna, jeśli mu się tak podoba, nie może sobie pozwolić na taki obchód jaki chce, z biciem w dzwony, archierejem, archimandrytą i prasą. (Co by to była za prasa; „Diło”, „Wołyń”, i „Seło”! W najlepszym razie.) Dlaczego to wszystko?

Kazek Połtowicz był rozumnym ludzkim człowiekiem, który na te wszystkie sprawy patrzył z pewnego dystansu. Dla niego było ważnym nie tyle to co być powinno, ile to co być może, a ideałem nie tyle najlepsze dobro, co najmniejsze zło. Siedział w tej całej maszynie która na Wołyniu była państwem polskim, znał zasady jej współdziałania, możliwości jej pracy. Zaczął mi mówić o Wołyniu, wschodniej prowincji Rzeczypospolitej, co, dlaczego i jak. To co mówił były to rzeczy na pozór ogólne

i zasadnicze. Przeciwwstawienie coraz mniej tu wpływowej władzy cywilnej — województwa i coraz bardziej wpływowej — Korpusu Ochrony Pogranicza. Coraz bardziej wyblakłych teorii o współpracy „narodów jakie tu żyją”, — i coraz silniej wchodzących w życie poglądów że „w Państwie Polskim naród polski powinien być jedynym gospodarzem”. Począł mi mówić o tym jak skurczyła się ilość szkół ukraińskich, a znikła — ukraińskich, samodzielnych kooperatyw. Tak, dużo się zmieniło na Wołyniu od pierwszych lat Rzeczypospolitej... I, rozumiesz, mówił, jedna tu rzecz pozostała im właściwie, — cerkiew. — Cerkiew.

Lampa naftowa na werandzie filowała mocno. Od Styru rechotały bataliony żab.

Kazek Połtowicz mówił dalej bezstronnym głosem referenta. Był to niewątpliwie doskonały urzędnik. Wykonałby każdy rozkaz jakiby otrzymał, ale zachowałby własne zdanie o jego celowości. Pewno starałby się wykonać rozkaz błędny tak, aby wyrządził jak najmniej szkód. Kazek Połtowicz mówił z kolei o tym czym jest na Wołyniu cerkiew. W pierwszych latach po wojnie była niczym. Był to stary, tradycyjalistyczny szkielet, pełny popów nieuków i dusigroszów. Był niezwykle słabo związany z ludem co tu się budził, a mocno z państwem które stąd odeszło i z czasem który tu przeminął. Młode pokolenie wsi radykalizowało po sowiecku, albo ukrajinizowało jak Lwów, i dla niego szkoły, masłosojuzy i proświty miały wtedy sens znacznie żywszy, niż niedzielne obiednie i chóry. Ale tamto minęło, pozostała cerkiew. W tej zaś cerkwi jest już teraz nowe pokolenie księży prawosławnych, wychowane w Polsce, wykształcone, wolne, inne. Nie wszyscy jak nasz Ułas, ale wielu. Ta nowa cerkiew staje się właśnie bastionem rodzimego oporu. Z nią właśnie mnożą się tarcia: Kazek Połtowicz przewidywał, że będą się mnożyć.

Przy teźże lampie naftowej wydobył z kolei, w dyskrejacji największej, akta sprawy. Ksiądz Ułas Trochimczuk. Urodzony w 1910. On sam. Państwo Polskie nie na próżno miało urzędników. Papierek po papierku, akt po akcie, meldunek po meldunku życie księdza parocha z Omelna leżało tu przed nami, posegregowane, wciągnięte do dziennika, opatrzone uwagami na bokach, pospinane w imponującą ilość spinaczy. Wiedzano wszystko o księdzu Ułasie. Wiedzano ile bierze za mszę i jakie pisma prenumeruje, kto go odwiedza i komu co powiedział. Mignęła jakaś niewyraźna, niedolepiona historia miłosna. Teraz podobno nic. — Wstydzilem się, że czytam to wszystko. Wydawało się naraz że to ksiądz Ułas leży przed nami na tym stole, w świetle tej naftowej lampy, zupełnie nagi, nieprzyzwoicie obnażony. My patrzymy, a on nas nie widzi i okryć się nie może. Pamiętałem jego wstydlivość i było tym przykrzej. Ale Kazek nie podzielał owego zakłopotania. Przeciwnie. Wczytywał się, wglądał, medytował jak lekarz dokonywujący na zimno oględzin czyjegoś ciała, czy pośmiertnej sekcji.

Przede wszystkim rozumiał w tym rzeczy których ja nie rozumiałem. Był jak kabalarka nachylona nad liniami dłoni. Widział to czego nie widzą inni: Odczytywał właściwy sens słów:

— No, nie jest tak źle: sam widzisz: „kontaktów z ruchami politycznymi najpewniej nie posiada”. To dobrze. To bardzo dobrze. Bardzo. Tak... Tylko, że dalej, widzisz: „Bardzo ostrożny i uważny. Trzyma się ściśle wszystkiego. Nie podatny na prowokację”.

— To chyba dobrze?

Kazek skrzywił się: „Eee...popatrz zresztą sam: „niewątpliwie wybitna jednostka. Posiada wpływ nieprzeciętny. Także na młodszych”.

— Doskonale?

Kazek był coraz mniej zachwycony. Czytał dalej. A raczej pokazywał mi palcem ważniejsze, w jego pojęciu, ustępy tekstu. „Nie da się zastraszyć, ani pozyskać konkretnymi korzyściami. Zdolny do dużego uporu”.



Na tym kończyła się lektura. Mój kabalarz, świadom tych zawitych spraw, wyciągał z kolei swoje wnioski:

— Widzisz, jest jak mówiłem. Będą starali się go wykończyć... Słuchaj. Przecież coś możesz w Warszawie? Czy nie mógłbyś go zabrać z Omelna? I w ogóle stąd? Z Wołynia?

Zabrać księdza Ułasa? Z Omelna? Trzeba było nie znać księdza Ułasa, nie czytać jego listów pisanych zimą, jego trosk o arkusze cynkówki, o pozłotę ikonostasu, nie pamiętać jego plebanii na wzgórzu, jego cerkwi dożywającej swych lat dwustu za niespełna tydzień! Kazek musiał naprawdę nie wiedzieć tego wszystkiego aby móc tak mówić. Wiedziałem dobrze, że nawet gdybym mógł co zrobić, nigdybym tego i nie zaproponował.

Ale Kazek znał za to drugą połowę wołyńskiej prawdy, którą ja dopiero zaczynałem poznawać. Stuknął dłonią po papierach i powiedział:

— Jak sobie chcesz. Ja zawsze zrobię co tam będę mógł. Ale może być niedobrze. Bardzo niedobrze. —

W kilka dni później odbył się uroczysty jubileusz, i muszę powiedzieć, że wtedy dopiero zrozumiałem księdza Ułasa. Nie, nie było to tylko małpowanie jubileuszy krakowskich, naśladownictwo owego świętowania wszelkich okazji, do których mieliśmy wszyscy taki pociąg. To nie to, że celebrians był wzruszony, to nie to że od kazdieleł zrobiło się niemal granatowo, od oddechów parno jak w pralni, że ikonostas świecił najzłotszym ze złót, a chóry — ach cóż to były za chóry! Mogły być jechać do Paryża i tam zrobić grubą forszę. Najważniejsze było to, że to było naprawdę święto. Lokalne, ludowe, narodowe, religijne. Młody Wołyń Omelna który długo boczył się na cerkiew, do niedawna pełną starych rosyjskich popów, ciemnych, ludowi obcych, zapatrzonych w odeszłą przeszłość, łasych tylko na grosz, ciulających zielone dolarowe papierki teraz wtłaczał swe życie w ramy owej cerkwi, pod wodzą tego nowego księdza, ich księdza, człowieka ich czasu, ich narodu, ich ziemi i ich pragnień. Właśnie jeśli nie było już szkoły własnej, jeśli skończyła swój żywot kooperatywa która zaczęła się tak pięknie, potrzebne było coś — i tym czymś stała się naraz cerkiew. Wszystko zespoliło się w tym jednym. Ksiądz silnym głosem intonujący głębokie „Hospodi pomyluuuj” był tu naprawdę pasterzem. Kto chciał tutaj sprawować rząd dusz musiał jego naprzód obalić.

Zostałem kiedy odjechali wszyscy. Bo paru ziemian okolicznych przybyło tu także — dziadowie nie jednego, także nie jedną tu cerkiew przecież wzniesli. I ze szlachty zaściankowej z okolicy przyjechało dość wielu, choć podobno zżymał się na to ich proboszcz, z poznańskiego rodem. Ale kiedy zrobiło się pusto, przeszliśmy się jeszcze z księdzem Ułasem po polu, szeroką drogą która zawsze była wyludła i za której krańcem o niewiele już mil stąd kończył się wtedy świat. Ksiądz Ułas był zmęczony i wzruszony. Mówił więcej niż zwykle. Był także jakiś bardziej uroczysty, jakby jeszcze nie zwłókl z siebie tych rjas i szat kościelnych i szedł tak cały w nich owym pylnym traktem wołyńskim.

Zaczął sam od trudności jakie były i powiedział, że dawniej wolał o tym nie mówić, bo wie że nie wiedziałem, a nie chciał robić przykrości. Teraz kiedy już byłem w Łucku, kiedy wiem, to co innego. Mówił potem o rzeczy która nosiła gładkie miano „rewindykacji”, tak jak inna, o kilkadziesiąt mil na południe stąd, nosiła parę lat temu równie gładkie miano „pacyfikacji”. Mówił — łamanym, powściąganym głosem — jak to z tym naprawdę jest. Mówił jak poznikały szkoły. Mówił jak piękne były te kooperatywy, i jak poznikały także. Mówił jak poznikali i ludzie. Mówił jak jest coraz trudniej. Jak jemu zwłaszcza, jest ciężko.

— Bo widzi pan, najgorsze to to, że ja byłem u was w Krakowie. Wyście mnie wtedy przyjęli, ot powiem tak, sercem. I tam było serce. W tej

katedrze gdzie te freski ruskie było miejsce dla nas. W tym muzeum gdzie ten Wernyhora było miejsce dla nas. Tam wszędzie, w tamtej Polsce krakowskiej co ja poznałem, dawniejszej i waszej było miejsce dla nas. I ja wiem, że tak byłoby najlepiej żeby mogło być. Ale coraz mniej widzę, aby tak było.

— Pan może się dziwić, że je tamto święto cerkwi? Dwustolecie? Oni, tamci, myśleli znowuż, że ja z tego nacjonalnu agitacju? A dla mnie to było przypomnienie że i tu kiedyś mogło być inaczej. Wasi tu wtedy otwierali cerkwie. Nie zamykali. Ot co jest. —

Wiedziałem niestety dobrze o czym mówi i o kim, kiedy mówił o tym zamykaniu cerkwi. Już się zabrano i do tej roboty.

Szliśmy dalej drogą. Znowu, jak kiedyś, słońce gaśło nad lasami. A ksiądz mówił:

— A ja im polityki żadnej nie będę robił. Ja mam inne rzeczy. Ja będę trwał przy swoim. I może tak i dotrwam. —

\* \* \*

W rok później, nie, w pełne dwa lata później, stało się to co było do spodziewania. Ksiądz Ułas został usunięty z Omelna. Poszło odpowiednie pismo odpowiednich instancji. Nie było rady. Został w ogóle usunięty z Wołynia, a także z Kresów. Przyjechał do Warszawy. Nie. Nie miano przeciw niemu nic. Tylko ludzie z pogranicznych wsi do niedawna prawosławnych, teraz nawróconych na katolicyzm biegali dalej chyłkiem do pobliskiego Omelna. Ba! Gdyby ksiądz Ułas był uległym, kornym popem, nie patrzącym za miedzę, wyduszającym grosiwo z parafian, gmerzącym się w betach z popadą, danoby mu spokój. Ale tak samym swym istnieniem płoszył i niepokoił.

Trzeba było raz jeszcze się odwołać do Kazka. Ten dał nieocenioną radę:

— Teraz tylko ktoś z dwójki. Musisz tam chyba znać takiego. Ale mur. Major Pytek? Znasz majora Prawdzic-Pytka? Świetnie. O, gdybyś mógł jego...

Major Pytek kręcił się w kołach niewyraźno literackich Warszawy. Coś pisał sam, na czymś się podobno znał, posiadał jakieś tajemnicze koneksje i niemniej tajemnicze zasługi. Telefon odebrała pani, i prosiła na herbatę. Major Pytek słuchał znużony, o coś zapytał, coś zapisał. Miał się dowiedzieć o wszystko. Potem nastąpił mu ksiądz, który tymczasem zjawił się w Warszawie. Major miał dużo zrozumienia. Przekonywał księdza łagodnie i rozumnie, jak tylko mógł, żeby szedł przynajmniej, w bliżej nieokreślony sposób, na rękę. Napomknął wreszcie że to chwilowo nie jego resort...

— Ach, jeśli pan major nie może...

— Co znaczy nie mogę? Mogę, oburzył się major.

Major Pytek istotnie jednego tylko nie mógł: nie móc. On musiał móc. Niestety, i pani majorowa była nie po mojej stronie. Sama powiedziała:

— Proszę pana, jeśli władze tam już tamto przesądziły, to tam pewno coś jest. Tacy ludzie jak ten ksiądz to przecież Bronka Pierackiego. I Hołówkę. I ilu jeszcze.

Ale, na szczęście, pani majorowa popelniła, jak powiedziała książkę. Tom opowiadań. POW. Z wdzięcznym uśmiechem prosiła o recenzję. „No, gdy pan napisze”. Wytrzymałem babę. Dopiero na schodach zrobiliśmy układ:

— Ale ksiądz Ułas wróci do Omelna?

— A recenzyjka będzie?

Byliśmy oboje słowni. Recenzyjka ukazała się w prasie, a ksiądz Ułas pojawił się znowu w Omelnem. Przyznam się, że oddając recenzję do redakcji byłem trochę zażenowany. Ale że sezon był ogórkowy zamieścili jakoś. Potem było przez kilka dni głupio, ale przeszło.



Ksiądz Ułas był u majorostwa Prawdzic-Pytek i zrobił jakieś miłe wrażenie: W Omelnem parafianie przyjęli jego powrót niczym smartwychwstanie, a potężni wrogowie z sąsiedztwa jakby ich wróg wstał z grobu. Wśród małych piesków rozeszła się legenda o potężnych wpływach Warszawy. Oznaczało to spokój na jaki rok, może dwa. Póki co. Tylko przezorny Kazek doradzał:

— Lepiej go jednak zabierzcie.

\* \* \*

Ksiądz Ułas nie miałem już zobaczyć więcej, ale panią majorową Pytek zobaczyłem w Londynie. Jej mąż miał krótki, paryski okres lekkiego zmierzchu, ale teraz już miał z powrotem swe zasługi, koneksje i kontakty. Po małej przerwie wszystko wracało przecież do dawnego stanu. Był już nawet podpułkownikiem i czekał na dalszy awans. O majorowej słyszałem, że była w Polsce po wrześniu. Tak, istotnie, była. Nawet w październiku. Dopiero w listopadzie, przez Kowno. To było straszne. Wszystko przez tych znajomych z autem którzy puścili ją kantem w Równem. Ach, ożywiła się: a wie pan kto mi się za to przysłużył? Ksiądz Trochimczuk!

— Ksiądz Ułas? Z Omelna?

— Ależ tak. Byłam w Omelnem. W samym Omelnem! U tego co to go nasi z parafii wyrzucać mieli. Oho, żeby pan tylko wiedział. Niech pan zajdzie do nas. Na Kensington. Wszystko opowiem. —

Istotnie opowiedziała wszystko. Mieli wygodny flat, z prawdziwym kominkiem. Paliły się węgle. Piliśmy whisky:

— Więc muszę panu opowiedzieć. Na czym to ja skończyłam? Kiedy Marysiowie już zwiali z tym autem? Pan rozumie. O bolszewikach już mówią, w Równem czerwone flagi na drutach... Żydostwo... Czerń. Sam pan to widzi. A ja sama jedna z walizami. Wysłałam na ulicę. A tu naraz ktoś. Nawet nie poznałam. Ale on mnie poznał. Ten pański ksiądz. Był własnymi końmi. Zabrał mnie, jak stałam, do Omelna.

— Byliśmy na noc, ale już radio sowieckie grzmiało i wiadomo było co. Wiś to huczała od rozmów. Policji nie było. O świcie jużśmy wiedzieli wszystko i wszystko było jasne „*Polsza przepała*”. Ja siedziałam w mojej izbie cicho, ale słyszałam naokoło. Jeden ksiądz Ułas był spokojny, bardzo spokojny. Aż od lasu nadjechali tamci. Najpierw motocykle, potem czołgi. Panie, jakie czołgi! Ogromy. Skąd oni mieli takie czołgi? A potem wojsko. Czy pan pamięta tamten trakt, taki zarosły trawą? Stary trakt szeroki? To teraz był on za ciasny, za wąski, na to wszystko. Walilo się to dniem, i nocą i następnym dniem. Szły wojska sowieckie, z tymi ich długimi sztykami. Pułk za pułkiem, za pułkiem pułk. Ksiądz Ułas stanął w tej swojej sutannie na progu i patrzył. Oni na niego, on na nich. Pokazywali go sobie palcem niektórzy, pewno dawno nie widzieli. Przeszedł patrol także. Potem dwóch oficerów. Nawet całkiem poprawni. Pytali ludzi o księdza i powiedzieli mu przy mnie „*nam skazali czto ty był charosz*”. I dziwili się że cerkiew była otwarta. Im mówiono, panie, że u nas zamykano cerkwie... I że prześladowano popów... Pan wie, że to nieprawda...

— Tak, tak. Nigdy nie zapomnę tego ranka. Niedziela, 17 września. Wojsko waliło i waliło, wieś cała się zbiegła. Na drzewie, nad drogą zawiesili głośniki, i te głośniki nadawały Moskwę, a może Kijów, same przemówienia, pieśni, marsze. Jeden szczególnie huczał, pamiętam — przecież w Petersburgu chodziłam do pensji—, „*Maskwa maja, strana maja, nikiem nie pobiedimaja*”. Istotnie. A i w uszach huczało od tych czołgów i od tych pieśni. Napije się pan jeszcze whisky? Co to ja mówiłam? Aha, tak. No i właśnie, że tylko ten ksiądz nic. Jakby nigdy nic. Na dwunastą kazał bić w dzwony jak zawsze. Leniwie zląziło się pod górę

chłoptwo. Gdzie im tam w głowie cerkiew! Wojsko waliło drogą ciągle. Popod tą cerkwią samą.

— Powiem panu prawdę, bałam się zostać na plebanii. Jednego się tylko czepiałam rozpaczliwie, to tego księdza. Jego spokój był zupełnie inny od tych wszystkich ludzi wokoło. Dla tamtych naraz coś się stawało, wstrząs jakiś, szło coś przez świat jak te czołgi przedtem drogą. Podniecenie, krzyki. On nic. Jakby widział co było, a także co będzie. I tylko mówić nie mógł, czy nie chciał. O, to nie był zwykły sobie pop, proszę pana. Nie chciałam być bez niego ani chwili. Więc poszłam na tę mszę. Niby popia kuzynka. Ale kto by się patrzył na mnie! Dzwony były, ten głośnik dolatywał z daleka, czasem na drodze zadudniły jakieś działa pewnie, a w cerkwi, pod tymi sklepieniami starymi, jak zawsze tylko chóry, kadzidła, ikony i ksiądz Ułas spokojnie ciągnący mszę. Jak gdyby nigdy nic. A może nie. Może bardziej ważny niż przedtem.

I wie pan, że wtedy w tej cerkwi było mi naraz najlepiej. Tylko tu jeszcze był spokój i ten dawny świat. Klęczeli starzy chłopcy, baby, młodycy i chłopcy, były dzieci i zaduch. Ksiądz Ułas śpiewał obiednię. Aż przyszedł koniec. Pan wie ta chwila kiedy ksiądz schodzi na sam dół, przed ołtarz, przed carskie wrota, i śpiewa jeszcze ostatnią modlitwę. Pan wie jaką modlitwę? Za Rzeczypospolitą...

— I co?

— Wszyscy wiedzieli w cerkwi, że to teraz chwila na tę modlitwę. Niedawno kazano ją mówić po polsku, nie po rusku, i ksiądz Ułas się temu opierał. Pan pamięta? Ale teraz już nikt przecież nie kazał. Ani nie mógł nawet kazać. Teraz było już nawet całkiem odwrotnie. I ksiądz Ułas nie odszedł od ołtarza, nie zdjął szat, ale stanął jak zawsze. Chwilę milczał. Cała cerkiew tak samo zamilkła, ani głos nie zakaszłał, i naraz było tak cicho, tak cicho, jakby wszystko na świecie zamilkło. Tylko to dudnienie wojsk idących szło ze dworu, ale i ono cichsze. I wtedy dopiero, kiedy zrobiło się bardzo cicho, ksiądz Ułas zaintonował:

„*Mołytwa za Rzeczypospolitą*”.

Pan wie, jak to jest w teatrze, kiedy ktoś ze sceny coś ogłasza? Więc to było właśnie tak. Naraz wszyscy sobie uświadomili. Rzeczypospolita! Była tu jeszcze wczoraj. Jeszcze dwa dni temu. Teraz jej nie ma. Pan wie, lud ruski jest zabobonny. Więc to było tak jakby ten ksiądz wywoływał teraz widmo, kazał jakimś dziadom w grobach leżącym powstać i na przyjście ich oczekiwać. Zupełnie tak.

Aż z jednego kąta odezwały się jakieś głosy czy syki. Poszedł pomruk po cerkwi. I wtedy ksiądz powtórzył, tylko głośniejsze i spokojniej:

„*Mołytwa za Rzeczypospolitą*”.

Znowu poczekał chwilę. Pamiętam, będę pamiętała do końca, każdą chwilę tej chwili. Naraz ludzie zaczęli klękać, obsuwać się na drewnianą podłogę, najpierw baby, potem starzy chłopcy, młódź. Aż od tego klękania zrobiło się po cerkwi puściej, przestronniej, jakoś aż strasznie pusto, i złoty blask długich woskowych świec błąkał się po tej pustce. I wtedy od ołtarza ksiądz Ułas począł wymawiać, powoli, uroczysto, z wysiłkiem, każde słowo jakby chciał, żeby go rozumieli i spamiętali.

„Bracia moi i siostry, przychodzą ciężkie czasy. Wiemy co było, ale nie wiemy co będzie, i to co było nie wróci już więcej. Było źle nieraz i niejedna działa się krzywda, jako i dawniejszymi czasy się działo. Wiem o tym jak wy, a może i więcej. Ale jako i dawniejszymi czasy *Szewczenko nasz skazał szczo Polska upała i nas zabuwała*, tak i teraz się stanie. Dlatego wzywam was, jak zawsze wzywałem do modlitwy:

„*Za Rzeczypospolitą*”.

Teraz już nikt się nie ruszył. Ksiądz poczekał jeszcze, i sam klęknął. I tak, klęcząc, zaczął mówić wyraźnie, słowo po słowie, całą, długą modlitwę, tę którąśmy i my zawsze, po polsku tylko, odmawiali w kościołach.



Za Rzeczpospolitą. Ludzie wolno powtarzali ją, za nim. Z początku powoli, oglądając się jedni na drugich. Potem jeden przez drugiego, spiesząc się i tłocząc. Zupełnie jakby myśleli że ta modlitwa posiada moc odganiania zła i odwracania rzeczy które idą. A tam na dworze istotnie szły dalej te wojska i wojska. Jak rzeka potężna. Jak morze. Ksiądz skończył, diaczek zaczął gasić świece, jedną po drugiej, a ludzie jeszcze stali, jak nad zwłokami czymiś. A potem rozchodzili się jeden po drugim, nie od razu i nie spiesząc, przyciszenie. Jakby ich ogarniały jakieś złe przecucia, czy co.

...

— A wie pan, ksiądz Ułas kazał mi potem to panu właśnie powiedzieć.

— Powiedzieć co?

— Kiedy wyjeżdżałam. Do Wilna, a stamtąd do Kowna. Odwiózł mnie, przebrał i powiedział, że pewno pana zobacze. A jeśli zobacze to żebym wtedy powiedziała. Właśnie o tej mszy ostatniej w cerkwi w Omelnem po wkroczeniu tamtych. I o tej jego modlitwie wtedy i całej wsi z nim razem za *Riczypospołytu*. Powiedział: kiedy już nie było ani policjanta, ani Kopu, ani niczego. Żeby pan wiedział.

— I nic więcej pani nie kazał jeszcze powiedzieć ksiądz Ułas?

— No, to właśnie... A nie. Jeszcze coś. O, zaraz, zaraz. Tylko takie nie bardzo rozumiałe. Ale on powiedział, że pan już będzie wiedział. Że jeśli było tak a nie zupełnie inaczej to dlatego, że Kraków. I jakieś rzeczy z Krakowa. I że jednak i w tej Polsce byli ludzie, jak dawniej. I że nie wszyscy. Ale ja to może powtarzam niedokładnie i pan nie będzie wiedział co chciał przez to powiedzieć ten ksiądz z Omelna. —

MARIA PAWLIKOWSKA

## WOJENNA NOWELA

Krater w polu. Ludzka czaszka. Koński czerep.

Wrócił żołnierz, znany mało komu.

Lecz nie może odnaleźć rodzinnego domu,

W zawierusze krzyżów i czeremch.

„Tam, pośród brzoź płaczących żona twoja mieszka.

Nowa szosa wiedzie ku niej, nowa ścieżka.

Tylko się nie zdziw, nie przestrasz!

Posiwała, po wszystkim co przeszła.

Źle się działo z piękną twoją Haliną!

I nie wojna była tego przyczyną.

Ale nowe, nieszczęśliwe małżeństwo,

Ponieważ wyszła za męża, pewna, żeś ty zginął”.

Zajechał przed willę roztrzęsioną dorożką;

Rzekł w zmieszaniu swoim: „Hello, medem”...

„Czekałam na ciebie przez całych lat siedem”

Broniła się polska Solwejk, płacząc gorzko...

Więc zapragnął ciszy, nieistnienia —

Flegmatycznego przejścia nad tym trudnym tematem —

Angielskiego przed kominkiem milczenia — — —

I poprosił o mocną, bardzo mocną herbatę...

Noc zapadła, smętna jak śmierć Azy...

Ponad wszelkie słowa ludzkiej mowy!

— Choć już ranny bywał tyle razy

Polski Peer Gynt, polski Peer Gynt przymusowy...

## KWIATY POLSKIE

*(Fragment, dzieje się to w r. 1922)*

Był kwiecień-plecień hjacyntowy.  
 Hjacyntów tłuste, wonne świeczki  
 Barwnemi olejkami ciekły,  
 Pływały aromatem ciepłym,  
 Różowym, białym, fioletowym,  
 Po świeżem niebie się turlały  
 Ni to baranki, ni owieczki —  
 Pełne wełnistych krętych loków,  
 Biegły, trącąc się i trąc się,  
 Jakby owczarek je zaganiał,  
 Szczekając, zabiegając z boków,  
 Na złot obloków — w dom świtania  
 Na hjacyntowym horyzontcie.  
 Szybko i skocznie było wokół.  
 Nawet w ponurą głąb mieszkania  
 Zaczęły sypać niespodzianie  
 Słoneczne żarty i figliki,  
 Z luster na ściany umykały  
 Ni to zajączki ni króliki  
 Tęczowe plamki i promyki  
 I śliskie płasy wyprawiwały,  
 A jeden taki plusk zajęczy  
 Dał w obraz holenderski nura  
 (Martwa natura) — i rozteńczył  
 Cytrynę i bażancie pióra.  
 I na ulicach chyżym lotem  
 Słoneczne gonią się latawce:  
 Z okien do okien i z powrotem,  
 Jak piłki i jak kule złote  
 Szyby rzucają sobie w darze  
 Przebłyski porozumiewawcze —  
 Szybko i skocznie i przelotnie,  
 Jak w lustrze ptaków, snów i światła,  
 Lekko-umkliwe i skrzydlate  
 W drodze mijają się stokrotnie.

Tak samo w myślach mojej panny  
 Gdy właśnie Mazowiecką kroczy  
 Z sercem, bijącym jak fontanny  
 Bijące w lustro zokochania:  
 W strop hjacyntowy w niebo głowy,  
 W wysoki sufit lazurowy —  
 Szybko i skocznie i przelotnie  
 Mkną po przechodniach szare oczy,  
 Powiew wiosenny nią pogania,  
 Czasem przystanie przed wystawą,  
 Poprawi włosów prządź złotawą,  
 Rozchyli wargi afrykańskie  
 I doda dniowi wonnych błysków:  
 Zęby w czerwonym ust ognisku,  
 Lśniące jak w słońcu śnieg tatrzański.



Oto wpatruje się w witrynę  
Kwiaciarni „Złocień”, przy Ziemiańskiej.

— „Co, wzion-byś, Kazek, te titinę?”  
Rzekł do koleżki-gazeciarza  
Wesoły Maniek („Szprotka”) z paką  
Grubych niedzielnych pism pod pachą:  
„Taką na ksiuty zabrać sobie  
I łabadiu!... Uszanowanie,  
Panie Antolku!” wrzasnął Maniek  
I pędem za Słonimskim pobiegł —  
Który siekanym, drobnym kroczeniem,  
W brązowej kurtce z wełny szkockiej,  
Trzcinką-chaplinką wywijając,  
Sypie poważny, krótkowzroczny,  
Zlekka wyniosły a wstydlivy.  
Dobiera w myśli słów do wiersza:  
Dla spraw nieziemskich — słów potocznych,  
A chłodnych słów dla spraw żarliwych.  
„Express? Warszawski? Dać? Zarobię!  
Poranny, Ikac, Wieczór, Goniec?  
Nic? Znaczy kryzys. Marny koniec.  
Co i raz gorzej i mizerniej...  
Te, Cypruś! nie denerwuj! Pcha się  
Nie do swojego interesu!  
Wszystkie panowie już w cukierni:  
Hrabia Sobańszczak, pan profesor  
Pan Leszek, pan Grydzewski... Czego?!  
Mówiłem: nie denerwuj! Zmykaj!...”  
(Tu łokciem Szprotka pchnął Kazika).  
...„Pan Tuwin z panem pułkownikiem  
Do Wróbla poszli na jednego...  
Jak dawno? Będzie pół godziny...  
Skoczyć? Nie?... My takie chapliny  
Z panem Antolkiem... Express!... Wieczór!...”

Odbita w tafli kwiaciarnianej,  
Anielka siebie wzrokiem wchłania;  
Z przenikań światła i załamań  
Sama kwiatami jest gdzieniegdzie  
W wiosennem lustrze zakochania  
A kwiaty znowu w ten sam sposób  
To tu, to ówdzie podchwytyją  
Momenty ust jej, oczu, włosów...  
Któremu uśmiech się dostanie,  
Ten myśli, że go motyl ujął  
W czerwone skrzydeł trzepotanie.  
Miga: to kwiat to jej osoba,  
I bardzo jej się to podoba.

W kwitnącem lustrze zakochania  
Majaczy obok niej na kwiatkach  
Umorusana twarz pryszczata.  
Wyrostek. Dasz mu lat trzynaście...  
(A osiemnaście ma już prawie),  
Cherlawy jakiś i bezbronny,  
Jakby się w duszy zmarszczył, skulił

Przed ciosem życia nieuchronnym.  
 Spodnie przypięte do koszuli  
 Agrafką: surdut przydługawy,  
 W dziurach nogawki i rękawy.  
 [Cały strój w spadku był po Kosym,  
 Po Józku Kosym, co przed pocztą  
 Zachwalał niskim, grubym głosem  
 „Najnowszy plan miasta Warszawy”.  
 A buty? Butów nie zostawił,  
 Przeto i Kazeł nasz był bosy.  
 Znałem Kosego. Pijak, „wojak”,  
 Gracz — specjalista w „moja-twoja”...  
 A przygadywał wpadłszy w hazard:  
 „Ech, taka moja taka-ż twoja,  
 Taka-że nasza tam i nazad!...]  
 . . . . .

MARIA KUNCEWICZOWA

## WBREW CZASOWI POGARDY

### IV.

Rebeka West i Storm Jameson są przedstawicielkami kraju, którego klimatem od wieków jest optymizm. Geografia i historia, czy też splot jakichś nieuchwytnych dotąd warunków, sprawiły, że w Anglii dramat człowieka rozwinął się na zasadzie klasycznej, z minimalną domieszką romantycznych wtretów w rodzaju inwazyj i rewolucyj. Był znacznie bardziej dramatem człowieka przyrodniczego, niż politycznego. Kruchość życia, nierówne wyposażenie jednostek w dary przyrodzone, antagonizm między duszą a ciałem, tajemniczość płci — te sprawy nie zostały tu zaciemnione przez mrok, wynikający z niewoli, ani przez obłądny gniew, towarzyszący rewolucjom społecznym; a walki religijne miały charakter buntu raczej przeciw nadmiarom, niż brakom wyobraźni. Teatr angielski, skryształowany w dziele Szekspira — jak teatr Ajschylosa — jest dramatem mężczyzn i kobiet, borykających się z losem, nie zaś — jak u Mickiewicza, czy Krasińskiego — dramatem wizjonerów skłóconego świata.

W atmosferze wspiarskiego bezpieczeństwa i tradycjonalizmu przyglądano się sobie i ziemi ze spokojem badaczy. Walcząc z żywiołami, do których zaliczyć wypadło i współmieszkańców wyspy, dawano upust pierwotnym pasjom tak długo, póki instynkt gwałtu nie wysublimował się w instynkt panowania nad sobą. Na tle coraz sprawniejszej organizacji i wzrastającej wygody problematyka bytu indywidualnego straciła zwolna kontur tragiczny. Nieszczęśliwa miłość, zawiedziona ambicja, bieda, Weltschmerz, choroba, śmierć bliskich — przeżywane w warunkach normalnych — rzadko prowadzą do ostatecznej rozpaczy. Dopiero dodatkowy, anormalny ciężar jakiejś ogólnej koniunktury doprowadza te nieszczęścia do rozmiarów przewyższających siły człowieka. Takim dodatkowym nienormalnym ciężarem bywa strach, który pada na cały naród, czy na całą klasę społeczną.

Wolni z dawien dawna od strachu, płynącego z wojen na własnym gruncie, z katastrof żywiołowych i z obcych zaborów, pogodzeni z naturą przez wiedzę i mechanizację, zamożniejsi od innych narodów, Anglicy wcześniej uznali życie za przygodę zabawną. Konflikty społeczne rozłożono na raty; nienawiść sparaliżowano humorem; nieskończoność po-



kratkowano w szachownicę konstruktywnych celów. Religia przestała być wzlotem dusz udręczonych w zaświat—stała się szkołą charakterów. Tylko kościół katolicki i naród irlandzki, frakcje obciążone tradycją długich prześladowań, zachowały skłonność do mistycyzmu. Wśród reszty Brytyjczyków mistyka występuje dziś jedynie, jako poetycka przyprawa doczesności, lub jako luksus intelektualnych bogaczy.

I Rebeka West i Storm Jameson do tej właśnie klasy brytyjskich Krezusów należą. Stać je na cierpienia, które im z tytułu przynależności narodowej, czy religijnej nie przypadły. Stać je na przeczucia, które nie wynikają ze wspomnień. Na wyobraźnię, która nie czerpie z empirii. Jedna i druga są obywatelkami świata nie wskutek bezdomności, lecz z tęsknoty do szerokiego horyzontu. Obie też żyją w czasie absolutnym, nie zaś w epoce historycznej, i odpowiednio do tego reagują na współczesne wypadki.

Ale Anglikom, wcześniej niż innym narodom, dane było opanować namiętności nacjonalistyczne i wypracować samorzutnie dyscyplinę zbiorowego bytu. Angielki zatem wierzą w doczesny triumf dobroci i rozsądku. Rebeka West w książce o Jugosławii, Storm Jameson w książce o Francji dają wyraz tej wierze. Książki te mówią o świadomości natury zła, o odwadze wychodzenia naprzeciw nieszczęściu i o niepokoju metafizycznym. Nie mówią nic o rozpacz.

## V.

Franz Werfel, autor „Pieśni o Bernadecie”, tak dziś sławny glossator cudu w Lourdes, jest Żydem. W przedmowie stwierdza, że powieść została napisana, jako wypełnienie ślubu. „Czas, kiedy ślub złożyłem, był dla mnie czasem wielkiej zgrozy” — wyznaje. Wiemy o jakiej zgrozie myśli. Ta zgroza wisi jeszcze nad światem i, choć ustąpi może wkrótce z krajów i społeczeństw, z serc nie ustąpi długo. Oblędny strach, wypuszczony z podziemi przez totalistycznych władców, strach przywrócony do potęgi prawa naturalnego, urągający dwudziestu wiekom prac nad ochroną słabości, nad wyrównaniem szans ciała i duszy, nad rozbrojeniem przyrody. Ten strach wiosną 1940 roku szedł przez Europę, jak pożar. Polska zapaliła się już we wrześniu 39 roku. Heinkle przyleciały na polskie niebo i w ciągu kilku godzin zniszczyły coś, co — bardziej niż dom — potrzebne jest człowiekowi do ludzkiego samopoczucia: prawo osiadłości i prawo azylu. Niebo zapadło się na głowy Polaków razem z ich dachami; ale strach w Polsce szybko wygasł, kiedy przerażeni cywile uciekli za granicę, lub w gruzach pomarli, a ich miejsce zajęli ludzie gniewni i cierpliwi.

Przez zimę 39-40 w Rumunii, na Węgrzech i we Francji widywano w tłumie oczy rozszerzone, słyszano bicie serc głośniejsze, niż trzeba i wdychano: „uchodźcy”. Nie inaczej to jednak brzmiało, niż westchnienie w złym śnie. Dopiero z wiosną Europa poznała, co strach znaczy na jawie. W Holandii woda pochłonęła tulipanowe pola, Amsterdam, pełen Rembrandtów, zapłonął jak stóg siana, później we Flandrii krew bryzgnęła spod tanków, im głośniej śpiewały nocą słowiki w Tuileriach, tym wyraźniej słychać było chrzęst kości miażdżonych nad Mozą. Obłędności kurzem, nieprzytomni ludzie na rowerach, staruszki, zgięte pod ciężarami, samochody pełne materaców i kamiennego milczenia — to wszystko zjawilo się w Paryżu za dnia, razem z wyciem syreny. Noc i dzień przesiąkły strachem. I wtedy to, wtedy głusi zaczęli nagłe słyszeć słowa, które dotąd raczej widzieli kątem oka, fruwające o zmierzchu, natrętne jak ćmy. Słowa Polaków. Słowa Niemców Weimarskich. Słowa Żydów. Najdawniejsze, najkrwawsze, najbardziej niechciane — słowa Żydów.

Heinkle były już wtedy nad Francją i drżano o gotyk, i inwalidzi poprzedniej wojny grozili niebu uschłymi pięściami, lecz nie to było ważne. Ważne były oczy tych, co jechali na belgijskich rowerach. Ogromna

cisza padała wokół ich słów, a przez nią — z dala — nadciągał głos armat i to uczucie bez nazwy, wiadome tylko dzieciom, kiedy budzą się drętwie w ciemności i między palcami stóp czują węże.

Widziałam raz, jak dwie szybko idące Paryżanki stanęły nagle na ulicy, jedna nerwowo przycisnęła ręce do piersi i z zamkniętymi oczami coś szeptała; druga zamieniła się cała w słuch. Patrząc daleko przed siebie, nasłuchiwała huku, który gdzieś toczył się i zbierał. Błysnęło... Lunął deszcz. Wyrazu osłupienia, później błogości tych kobiet nigdy nie zapomnę. Rzuciły się sobie w objęcia, łzy spływały z ich policzków, pomięszane z deszczem. „Więc to nie Niemcy, nie ludzie — krzyknęła młodsza — to jest burza, to grzmot!” Huk wzmagął się, piorun trzasnął blisko w któryś z tych platanów, którym Monet zapewnił życie wieczne. W świetle błyskawic zobaczyłam, jak Francuski roku 1940 płakały i śmiały się z twarzami wzniesionymi ku niebu, szczęśliwe, że śmierć mówi do nich, jak do szympansov, nieludzkim głosem burzy. Tak oto wiedza uchodźcza przenikała wreszcie do mózgu szczęśliwych, ale przenikała za późno na obronę linii Maginot.

Kiedy pod koniec czerwca 40 roku Franz Werfel znalazł się w Lourdes, panika tłumów europejskich przed Człowiekiem, uzbrojonym w zdobycze uczonych, w marzenia artystów, w koncepcje filozofów, osiągnęła zenit. Bano się rodzić, bano się umierać. Magiczne zwycięstwa złych młodych Niemców, ich piękność, ich szczęście, ich baletowa wirtuozeria w kaleczeniu ciał, ich natchniona technika zabijania dusz, lśniły nad Europą, jak aurora borealis, mroząc krew w żyłach i rozsądek w mózgach.

Jeśli odwieczni właściciele winnic szampańskich gnali na oślep przed siebie na kulawych dwukółkach, cóż mieli robić odwieczni tułacze? Werfel wygnany z Austrii, uciekał teraz z Francji. Nielatwa to rzecz uciekać przez kraje, których nie rekiny strzegą, tylko graniczni żandarmi. Kilka tygodni czekał na wizy w pirenejskiej mieścinie, słuchając jak radio brytyjskie podaje wiadomość o jego zamordowaniu przez Niemców, albo jak sąsiedzi ustalają datę wkroczenia wojsk hitlerowskich do Lourdes. Podczas jednej z takich godzin zawarł układ z Bogiem: jeśli dojedzie do Ameryki, wypiewa pieśń o Bernadecie.

Gest rozpaczy? O, tak. Mistycyzm jest klimatem ludzi, pod którymi pali się ziemia. Ale często bywa, że ziemia pali się pod tymi właśnie, którzy czują jej małość. Werfel, bezbronny, starszy Żyd, długo szczuty przez Ariów, zrozpaczył o dobroci człowieka. O dobroci Boga nie zwątpił. Na tym polega pesymizm religijny: na wierze, iż człowiek bez Boga jest niczym.

Złożywszy wotum nieufności dla świata, który ogarniał zmysłami, Werfel podał w wątpliwość zarówno szczęście hitlerowców, jak nieszczęście własne.

\* \* \*

„Pieśń o Bernadecie” jest historią podwójnego cudu. Cudu nadprzyrodzonych odwiedzin, których w roku 1858 doznała czternastoletnia Bernadetta Soubirous w grocie Massabielle, oraz cudu źródła, które za jej przyczyną wytrysło. Sprawy głośnie i, mimo wszystko co o nich pisano, mało dotąd atrakcyjne. Lourdes nie miało szczęścia do artystów. Monstrualność tego zbiegowiska ciał owrzodzonych, kalekich, żartych przez rozpacz, połączona z jarmarkiem dewocji, z sabatem magicznych zaklinań — wybuch brzydoty obłędnej i napastliwej, stanął jak kataklizm między sztuką a prawdą, która tu została objawiona. Nawet potężny wzrok Zoli nie zdołał przebić się przez tę zaporę w dziedzinę niezemskiego światła.

Cóż mówić o modnych plastykach epoki, których zawezwano, by niewidzącym tłumom naoznaczyli zjawę nadprzyrodzoności! Kiedy mistrz Fabich w swoim aksamitnym berecie szkicował nieskończony szereg słodkich madonn z niebieskimi szarfami, przedkładając rysunki Bernadecie,



ta odpowiadała niezmiennie: „O, nie, ona tak nie wyglądała”. A kiedy mistrz zniecierpliwiony spytał nareszcie: „W czym leży różnica między moją Madonną, a tą, która przychodziła do groty?” — wizjonerka odpowiedziała: „moja Pani była o wiele naturalniejsza i ani trochę nie wyglądała zmęczona i nie modliła się tak ciągle”...

Na to, żeby przeniknąć ciężką chmurę demonizmu i ckliwy opar bigoterii, trzeba było dopiero bezdomności pisarza żydowskiego na nowych gruzach Jeruzalem.

Bardzo ważną postacią książki jest poeta Hijacynt de Lafite, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, stoi najbliżej Werfla. Wracając z groty w Massabielle, gdzie właśnie odbyły się pierwsze wizytacje „Ślicznej Pani”, Lafite rozmawia z urzędnikiem Estrade, rygorystą katolickim. Cuda napawają Estrade’a podejrzliwością, której nie żywi wobec dogmatów. Ale chce dać się przekonać, że istnieją, więc mówi do poety: „Czyż nie masz żadnej nadziei, że znajdzie się gdzieś dom dla nas wszystkich?” Lafite woła: „Gdzie i kiedy? Do widzenia, Estrade! Idę do domu spać. Moim domem jedynym jest sen i szczerza pustka”.

„Pieśń o Bernadecie” stanowi ekspozycję dróg, jakimi Werfel doszedł ostatecznie po śladach małej Soubirous do wrót jedynego domu wszystkich dusz rozpaczonych: do Boga. Te drogi nie wzięły początku w chwili najczarniejszej, kiedy czuł się szaszczutym zwierzęciem. Autor stwierdza w przedmowie, że już pisząc swoje pierwsze wiersze, przysiągł sobie: „będę zawsze wielbił tajemnicę boską i świętość człowieka”. Rozpacz odegrała tylko rolę katalizatora stałej predyspozycji psychicznej.

Czas, kiedy cuda Lourdes zostały zapoczątkowane, upłynął niedawno i świat, który dręczył Bernadette, jest tym samym światem, który dziś dręczy bezdomnych. Werfel — bogatszy w tym od Lafite’a — głęboko wrósł w problematykę socjalną, wypróbował własnym rozumem i wyobraźnią wszelkie reakcje współczesnego społeczeństwa. Dlatego z taką zadziwiającą trafnością potrafił odmalować los wizjonerki, osaczonej przez niedowiarków, a także wytropić tajemne kanały, którymi Łaska przesącza się w ten ogromny krwawy śmietnik, na jakim żyjemy, głupawo spoglądając na ptaszki i drzewa.

Werfel ma wielkie zrozumienie dla materii. Potworności ciała, zarówno jak brud, płynący z nędzy, nie budzą w nim wstrętu, tylko smutek, graniczący z ekstazą i — oczekiwanie cudu. Gdy mówi o mięsie ludzkim, tak podatnym na rany, o murach napiętnowanych przez wilgoć, czuje się, że cały drży nadzieją cudu. Nienormalne spiętrzenie ohydy wydaje mu się bodaj formą jakiejś złej doskonałości, której pełnia musi się lada chwila przesilić i spłynąć na drugą stronę horyzontu — w dobroć, w piękno, w niebo. Żywe, rozkładające się ciała mają przecież te same kolory, co skrzydła brazylijskich motyli. Zmysł estetyczny człowieka może więc być tchórzliwą konwencją. Ale za rozkładem stoi ból. Czyż to nie powinno odstręczać wrażliwych? Werfel nie boi się cierpienia. Jedyna rzecz, której się boi, to szatan. Na bezwładne ciała czyha szatan, licząc, że i dusze w nich będą bezwładne. Z zachwytem bezgranicznym, z wdzięcznością bez granic, posuwa się Werfel na drodze wtajemniczenia w boski egzotyzm duszy, niepodległej prawom przyrodniczym, zdolnej — w każdej kondycji ciała — do walki o transcendentalną ojczyznę, do triumfu nad złem.

\* \* \*

Bernadetta Soubirous, to dziecko rozkładu. Przede wszystkim rozkładu społecznego. Francja Ludwika Filipa i Napoleona III — niedemokratyczna i nieuprzemysłowiona, choć jeszcze lepka od krwi przelanej przez rewolucję i przez pierwsze cesarstwo — była pobojowiskiem feudalizmu. Papa Soubirous, jak tysiące chłopów, stracił automatyczną przynależność do ziemi, która jego dziadom zapewniała suchy chleb u dziedzica,

ale w miasto jeszcze nie wrósł; jeszcze maszyny nie pochwyliły go w nową pańszczyznę. Wyrobnik — oto nazwa pariasa postępu. Istota — jakże znana do dziś krajom Europy Środkowej! — błakająca się po przedmieściach w pogoni za okazjnym zarobkiem, sondująca rynsztoki, by z nich wylawiać odpadki cudzych obiadów.

Bernadetta urodziła się w lochu, z którego więźniów zabrano, żeby nie pomarli za prędko, więc stał otworem dla rodziny wyrobnika. Spośród tych murów dziecko o wielkich ciemnych oczach, wyszło kiedyś po chrust do lasu i zobaczyło w grocie Śliczną Panią. Ale zanim Bernadetta tam doszła, jej ojciec nieraz bywał w Massabielle. Za cenę 20 sous wywoził tam, palił i — spopieliał — ciskał do rzeki brudy szpitalne. Massabielle nie tylko dla tych cuchnących stosów ofiarnych miało złą sławę; także i dla bliskości Gave. Rzeka Gave, pędząca z góry przez progi granitowe, była wroga ludziom i straszna. Wylewała często, w jej wiecznie skotlowanych wodach słycać było szyderstwo, słycać było jęk, pogroźki i szum spraw nieczystych. Ktokolwiek musiał schronić się do groty w Massabielle, kładł na sobie znak krzyża, a nierzadko zęgał też Gave, niosącą w swoich falach wstrętne popioły i gniewy.

Właśnie tam Śliczna Pani w całym blasku czekała na Bernadettę.

\* \* \*

Stosunek władz zarówno świeckich, jak i duchownych do widzeń Bernadette'y Soubirous uległ zmianie w chwili gdy w grę weszło źródło. Dopiero gdy jego wody wykazały niepojęte właściwości lecznicze, i państwo i kościół z postawy nieżyczliwej przeszły do wyczekującej. Właściwie powiedziećby można, że oba te autorytety, w miarę jak wzmagaly się korzyści materialne, płynące z cudownego źródła, odpuszczaly wizjonerce — zwolna i niechętnie — zbrodnię jej nadprzyrodzonych kontaktów.

A przecież misja społeczna Bernadetty zaczęła się już w chwili, gdy Śliczna Pani zleciła jej: „powiedz kapłanom”... To zlecenie nastąpiło w momencie, kiedy żaden znak materialny obecności Pani na świecie nie został jeszcze dany: źródła wtedy nie było. „Módl się za grzeszników... Za chory świat”... — poprosiła któregoś dnia Pani, potwierdzając jak gdyby odwieczną wersję o związku nędzy moralnej z fizyczną. W ciągu następnych objawień powtórzyła kilkakrotnie słowo „pokuta”. Wreszcie rzekła: „Pójdź do kapłanów, powiedz, że tu ma stanąć kaplica... Niech procesje przychodzą tutaj”.

Bernadetta wykonała zlecenie. I wtedy ksiądz dziekan katolicki, srogi olbrzym Peyramale zapienił się z gniewu, niczym rzeka Gave. „Kapłanów mają nawet ludożercy! — warknął. — Twoja Pani mogłaby wyrażać się ściślej. A jeśli chce budować kaplice, niech wprzód sama pomyśli o pieniądzach”. Rozmowa została zakończona kontr-zleceniem: „Dziekan miasta Lourdes nalega, aby niewidzialna Pani zdziałała cud — niech dzika róża, rosnąca u stóp skały, zakwitnie teraz w lutym”.

Niewidzialna Pani nie zignorowała życzeń dziekana tak całkowicie, jak on zignorował jej prośbę. Róża wprawdzie nie zakwitła, ale za następnym widzeniem wskazane zostało Bernadecie miejsce, skąd danym jej było wyprowadzić źródło. Jego właściwości uzdrawiające również zostały za jej pośrednictwem wskazane. Czymże więc był cud źródła, jak nie ustępstwem dla Ziemi, którzy wierzą już tylko własnym zmysłem?

To z czym Pani przyszła do plugawej groty, to było żądanie miłości. „Módl się za chory świat”. Żeby modlić się za kogoś, trzeba go kochać. „Pójdź do kapłanów”. Któż ma bardziej kochać chory świat, jak nie kapłani? „Tu ma stanąć kaplica”. Niechże ci, którzy kochają chory świat, modlą się zań w miejscu, gdzie gnój przepalony zlatuje popiołem do niedobrej rzeki. „Niech procesje przychodzą tutaj”. Niech kapłani miłością swoją pociągają za sobą cały świat zdrowy — niech tłumy piel-



grzymują do miejsc ziemi najgłębiej dotkniętych krzywdami duszy i ciała, niech czynią pokutę za nieczułość minioną, niech modlą się za krzywdzonych i za zrozapczonych. — Tak można by tłumaczyć zamiar Pani. Zagadnienia wiary nie zdawały się wcale jej zaprzętać. Ani wiary w realność rzeczy boskich, ani wiary w prawdziwość ludzkich słów. W kraju skąd Pani przybyła, wiara — narzędzie kalekich zmysłów — zapewne nie istnieje. Bóg — prawda jedyna — stanowi tam jawę, którą się oddycha. Ale poselstwo miłości musiało być wypełnione, więc kapłanów trzeba było o autentycie spotkań z Bernadettą przekonać. Cud róży zbyt krótkie, zbyt okrutne szczęście wniósłby w świat chory — błysnęłyby i przeminęły, jak motyl. Niewidzialna Pani uczyniła zatem cud źródła. Cud miłosierdzia nad bezładem. Cud czystości dla brudnych. Ukojenia dla łakących.

I tu się zaczyna tragiczne nieporozumienie. Bo kapłani bynajmniej nie kochali chorego świata. Nie mieszkali w lochach śliskich i kostropatych, nie zbierali chrustu nad demoniczną Gave i nie wiadomo nawet czyby pokochali Śliczną Panią, gdyby *im* ukazała się w grocie. Tak... Na ziemi miłość jest zakopany talentem. Świat zdrowy unika jej ekscesów, podobnie jak nadmiarów wyobraźni. Doktorzy kościoła rozpostarli między cudem źródła a Bernadettą taką dżunglę komisji, śledztw, badań i poświadczeń, że — w tym gąszczu — przyczyna, dla której znak został dany kapłanom, zaginęła bez wieści. Kaplicę wzniesiono, a nawet wielki kościół; procesje z całego świata ściągały do Lourdes, zamienionego w park kuracyjny. Ale *jaki* kościół stanął i *jakie* procesje ściągały? Stała pyszna katedra podobna do hoteli dworcowych. Ściągały procesje kalek — świat chory. Świat zdrowy — w znakomitej swojej większości — pozostał obojętny. Źródło Łaski, które miało być komunią miłości, stało się czymś w rodzaju radio-aktywnej solanki.

\* \* \*

Po dwudziestu latach uzdrowień agnostyk, doktor Dozous, stwierdza: „Nie tylko ludzie prostej wiary cisną się do źródła po zdrowie i nie tylko katolicy, ale i protestanci, i Żydzi. Cisną się ci, którzy są w rozpacz, którym nie pozostało nic innego...” — „I częściej nawet, niż z choroby, bywają uleczeni z rozpaczy” — dodaje szeptem skruszony dogmatyk Estrade.

Dlaczego Bernadetta Soubirous — istota, której ciało przez siedem lat bolesnej choroby topniało, jak wosk wkoło płomienia, nie zechciała nigdy skorzystać ze źródła? „Nie dla mnie płynie źródło” — mówiła. Rzeczywiście, płynęło nie dla niej. Bernadetta nie należała do najczęściej chorego świata: nie znała rozpaczy; ten grzech przeciw Duchowi Świętemu był jej obcy. Kiedy leżała na śmiertelnej pościeli, mędrcy kościoła raz jeszcze przyszlizli po jej świadectwo. Złożywszy je posłusznie, poskarżyła się: „oni mnie tak będą do ostatka pytali, pytali, pytali...” Ale później sama wezwała srogiego olbrzyma Peyramale, który z czasem zamienił się był w jej wyznawcę, i niepytana, po raz ostatni wyrzekła w zachwyceniu: „Widziałam ją. Tak. Widziałam ją”.

Zdawać się mogło, że misja Bernadetty skończona. A jednak znów płynęły godziny cierpienia, odmawiano modlitwę za konających, Siostrzyczki płakały — płomień duszy palił się ciągle, silniejszy, niż ból. Zanucno Pieśń nad Pieśniami... I wreszcie mała Soubirous uzbierała dość sił. Uniosła się na posłaniu i z głębi piersi, wielkim głosem, krzyknęła: „Kocham!” Ostatnie słowo... Wtedy dopiero odeszła.

Ten dar niestrudzonej miłości sprawił zapewne, że Bernadetta została wybrana na posła Ślicznej Pani do zdrowego świata, że jej właśnie zlecono modły za świat chory. Niestety, geniusz miłości, tym tragiczniejszy od artystycznych geniuszy, nie znajduje posłuchu nawet u następnego poko-

lenia. Biedaczkę z lochu des petites Fossées kanonizowano w roku 1933. Niemowłeta sąsiadów, które piastowała ciemnooka Bernadette, były już wówczas starcami. Starcy, którzy oglądali jej tajemnicze szczęście, od dawna rozłożyli się w ziemi. Jej własne oczy, zamknięte w trumnie od przeszło pół wieku, zachowały wprawdzie rzęsy i powieki, ale widoku smutków ziemskich pewnie zapomniały. Czterdzieści chrześcijańskich narodów przysłało delegacje do Rzymu na wielki dzień wizjonerki z Lourdes. Srebrne trąby heroldów papieskich ogłosiły miastu i światu triumf udręczonej dziewczyny, której ostatnim słowem było „kocham”. Chór sykstyński śpiewał „przybądź Duchu Święty”, papież rozwinął ramiona, wezwał Piotra św., aby przemówił przez usta następcy; po czym ogłosił wyrok; „Maria Bernarde Soubirous jest święta”. Ponad głowami zdrowego i chorego świata ten wyrok niebieski zabrzmiał jak rozkaz — i jak ostrzeżenie. Narody chrześcijańskie słuchały. Słuchali faszyci i komuniści, socjaliści i anarchiści, demokraci i imperialiści... Ale nad głowami tłumów — w ich nabożnym milczeniu — szybował już wojenny samolot, na ziemi pieniały się coraz gniewniej demoniczne rzeki i strach wypełzał z lochów, ten sam, który poetę Werfela pędzić miał niebawem z kraju do kraju.

Tak. Franz Werfel zgrzeszył przeciw Duchowi Świętemu. Znał rozpacz. Należał do najciężej chorego świata. I w Lourdes został uzdrowiony. Nie bigoterią „zdrowych” wszakże, tylko — przez pamięć małej Soubirous — miłością Boga, który posyła na ziemię istoty niematerialne ze świadectwem o szczęściu wiecznym dla cierpiących.

\* \* \*

Kilkakroć w ciągu pracy nad tym essay'em słyszałam pytanie: dlaczego — zamiast pisać własną książkę — zajęłam się cudzymi książkami? Albo: dlaczego właśnie te trzy powieści wybrałam sobie za temat? Albo jeszcze: i cóż znaczą fikcje, chociażby najpiękniejsze, wobec tragicznej rzeczywistości?

Jeśli odpowiem na trzecie pytanie, odpowiem zarazem na pierwsze. Mianowicie: skoro nie samym chlebem człowiek żyje, tak zwane fikcje są częścią rzeczywistości. Pisząc więc o cudzej książce, piszę o rzeczywistości, która mnie karmi — piszę dalej własną wersję świata.

A dlaczego o „Czarnym Jagnięciu”, o „Bezchmurnym Maju” i o „Bernadecie”? Dlatego, że te trzy dzieła tak różnych autorów są głosami miłości, które — wbrew czasowi pogardy — doszły mnie z mętów wielkiej wojny. Miłości do ludzi i miłości do Boga. „Czarne Jagnię” i „Bezchmurny Maj”, to protest przeciw pogardzie dla człowieka. „Pieśń o Bernadecie” jest protestem przeciw pogardzie dla Boga.

Przerzucając na Boga trud leczenia dusz, nasycania serc, spragnionych dobroci, trud zwycięstwa nad szatanem — Werfel rozchodzi się pozornie z optymizmem przyjaciół rodzaju ludzkiego, filantropów i utopistów. A przecież ci, którzy umierają, wdeptani przez bliźnich w krew i błoto cywilizowanej planety, wdzięczni mu będą za wizję Sprawiedliwości Boskiej.

---

*Errata z artykułu „Wbrew Czasowi Pogardy” w numerze lutowym 1944 r. Str. 102, wiersz 17 od dołu zamiast zdania, które brzmi:*

„Że chciała (Francja) siłą niebo sprowadzić na ziemię, wie zarówno ten co pochwała ojca, wodza Krucjaty, jak i ten, co rozgrzesza rewolucję”

*powinno być:*

„Że chciała siłą niebo sprowadzić na ziemię, wie zarówno ten, co pochwała Krucjaty, jak i ten, co rozgrzesza rewolucję”.

---



NA RZECE

W letni mglisty poranek o wschodzie,  
W młode ręce wzięliśmy wiosła.  
Czy pamiętasz, jak cicho te łodzie,  
Jak łagodnie rzeka jeniosła.

Dzisiaj wspominam z obrazem tej rzeki  
Mgły wznoszące się, czerwień wschodu,  
I horyzont upojnie daleki  
I drażniący, rzeźki wiew chłodu.

I wspominam do dzisiaj w zachwycie  
Brzeg młodości we mgle ginący,  
Gdy nas porwał i poniósł przez życie  
Prąd burzliwy, wartko płynący.

I dzisiaj niosą nas te prądy rwące  
Rwące serce — zmęczone w biegu —  
Gdy na skronie nasze siwiejące  
Opada mrok drugiego brzegu.

FLORIAN SOKOŁÓW

CZARNY ŚMIECH

W starych mych notatkach, pisanych w Pretorii osiemnaście lat temu, znalazłem fragment, osnuty na tle prawdziwego zdarzenia. Później wyjaśnię, co mnie skłoniło do szperania w tych notatkach.

Znudzony rozmowami z t.zw. normalnymi białymi ludźmi, których najbardziej egzotyczne otoczenie niewiele zmienia, poszedłem za radą przyjaciela mego, lekarza rosyjskiego, zajmującego się specjalnie psychoanalizą Murzynów, by odwiedzić kilku jego pacjentów. Przez całą drogę z Johannesburga do Pretorii dowodził mi on, że jeśli chodzi o władze umysłowe, nie ma właściwie żadnych różnic między białymi i czarnymi. Już sam fakt, że jedni i drudzy podlegają tym samym chorobom psychicznym, zbija, zdaniem jego, wszelkie teorie o wyższości białej rasy.

Oto treść impresji, skreślonej pod świeżym wrażeniem tego, co widziałem:

Dwaj lekarze wyszli na naradę. Doktor — kierownik szpitala — był młody jeszcze o jasnoniebieskich oczach i twarzy porytej głębokimi brózdami.

Ach, kiedyż oni wrócą! Posługacze, którzy zostali przy mnie oddalili się na odgłos jakichś dziwnych przeraźliwych krzyków.

Znalazłem się sam bez broni, z Kodakiem w ręku, przed tym strasznym tłumem. Setki gałek ocznych nabrzmiąłych krwią. Setki rąk wyciągniętych ku mnie, fantastycznie powykręcanych, z wibrującymi palcami, jak macki ośmiornicy, lub sztywnych, jak protezy, setki czarnych, jak węgiel ciał, połyskujących na słońcu, miotanych w kontorsjach lub skamieniałych w bezruchu, i ten śmiech, okropny czarny śmiech przez śnieżnobiałe zęby.

Wszystko to szło na mnie.

Nie, nie był to tłum, bo tłum ma swą duszę i im bardziej jest szalony, tym większą stanowi jedność. Ja zaś miałem przed sobą osobliwą kolekcję szalów, byłem na najniesamowitszym zgromadzeniu na świecie.

Stałem na rampie, oparty o mur i chciałem fotografować. Widowisko fascynujące. Ale trwoga paraliżowała me ruchy, podcinała nogi i gdyby nie dwaj zdyszani posługacze, którzy nadbiegli, nie wiem czy długo bym wytrzymał.

Biali człowiek sam jeden wśród czarnych czuje się nieswojo, cóż dopiero w zbiorowisku czarnych szaleńców, którym słońce tropikalne przepaliło mózgi. Każcie zbadać swe nerwy zanim wejdziecie do szpitala dla obłąkanych Murzynów.

Była dwunasta w południe. Żar lał się z nieba. O tej porze spokojniejszych chorych wyprowadzano na przechadzkę po twardo ubitym dziedzińcu szpitalnym, a furjaci różnych stopni, ukryci w celach, pracowali zawzięcie, bez wytchnienia, usiłując na próżno rozbić swe czaszki o materace.

Szpital dla obłąkanych w Pretorii to jedna z największych osobliwości Afryki Południowej. Nigdzie na świecie nie ma tak bogatego wyboru szaleńców różnych ras i narodowości. Jest to zwariowany świat w miniaturze. Skarbiec studiów dla psychiatrów. Nigdzie ludzie tak łatwo nie tracą zmysłów, jak w tym kraju rażących kontrastów, kraju złota, diamentów i kolorowej niedoli.

Doktor szpitalny uspokoił tłum. Obłąkani zaczęli powoli rozchodzić się po dziedzińcu. Kilku tylko nie chciało się oddalić. Chińczyk w fezie z wyszczerzonymi zębami w idiotycznym uśmiechu, nagi kafr o oczach mordercy i stary Hindus, wymachujący rytmicznie rękami, który co kilka chwil podskakiwał w górę. Jak mnie objaśniono, ten Hindus dotknięty jakąś nieznaną formą obłądu, od trzydziestu lat staje codziennie na tym samym miejscu i wykonywa całym godzinami te same ruchy.

Choroby umysłowe wśród dzikich plemion Afryki to przeważnie dzieło cywilizacji. W stanie pierwotnym były one nieznanne u tubylców. Wyjątek wśród mieszańców miast południowo-afrykańskich stanowią pod tym względem kulisi malajscy, u których często zdarzają się wypadki t.zw. amok running, szału morderczo-samobójczego. Przychodzi on nagle. Ludzie, opętani nim, pędzą na oślep, zabijając każdego spotkanego po drodze, aż wreszcie kończą samobójstwem. Pokazywano mi chorego, który zdradzał objawy takiego szału. Leżał w odrętwieniu katatonicznym.

Nie będąc wyliczał tych wszystkich form obłąkania, jakie były reprezentowane wśród czarnych pacjentów szpitala w Pretorii. Żadnego rodzaju choroby umysłowej tam nie brakowało. Pod tym względem Murzyni całkowicie zasymilowali się z białymi. Stosunkowo najwięcej było dotkniętych obłądem epileptycznym, a najmniej chorych na manię wielkości. To widocznie specjalność rasy białej.

Tłum czarnych wariatek robił wrażenie jeszcze smutniejsze. Przeraził mnie swoim spokojem. Tam panowała niepodzielnie melancholia. Jedyną wesołą istotą była hermafrodytka, czy też hermafrodyta — nie wiem jakie określenie byłoby w danym wypadku ściślejsze — która przedstawiała się nam, jako ojciec wszystkich wariatek w szpitalu. Była to Mulatka, o imponującej postawie, z dużym zarostem. Mówiła głębokim basem i wciąż trzęsła się od śmiechu.

Pawilon dla czarnych, aczkolwiek urządzony z dostatkiem i pewnym komfortem był lichą budą w porównaniu ze wspaniałą rezydencją białych wariatów.

Myliłby się kto, myśląc, iż wobec obłądu ustaje kwestia rasy. Biali nigdy nie wariują do tego stopnia, by uważać czarnych za swych bliźnich. Przeciwnie, antagonizm kolorów skóry jeszcze więcej zaostrza się przy pomieszaniu zmysłów. Biali szaleńcy byli prawdziwą arystokracją szpitala. Chodząc po ich apartamentach, miałem wrażenie, że jestem w eleganckim klubie londyńskiego West End'u. W jednej z sal grupa gentlemenów, rozpartych w wygodnych skórzanych fotelach, paliła fajki i czytała gazety. Byli to maniacy różnego typu i na różnym tle. Siwowłosej elegancki jegomość, Anglik, przedstawił mi się jako prezes międzynarodowego



klubu kawalerów. Szepnął mi do ucha, że wiceprezesem jest książę Walii. Był to jeden z najskromniejszych megalomanów, jakich tam spotkałem. Uderzająco wielka była liczba chorych, którzy postradali zmysły na tle utraty majątku — ofiary gorączki złota i brylantów. Jeden z nich, chudy szkot w wielkich okularach, długo mi prawił o jakiejś niezmiernie zawilej sprawie, w której się rozchodziło o miliardy, przeplatając swą opowieść aforyzmem: „Kto jest swym własnym adwokatem, ten ma głupca za klienta”. Biedak zmadrał po niewczasie, bo sam podobno całą swoją wielką niegdyś fortunę przeszedł na piniactwo.

Na tarasie przed ogrodem inna grupa wariatów grała w karty. Ale szczytem komfortu była olbrzymia sala dancingowa. Co tydzień odbywają się tam zabawy taneczne i, jak mnie zapewnił doktor, rzadko kiedy wynikają na nich awantury, rzadziej niż na zabawach ludzi o zdrowych zmysłach. Obląkani tańczą z wyszukaną dystynkcją i są bardzo grzeczni dla swych dam.

Te pozory normalności, ta tresura ludzi cywilizowanych, której nawet obląkanie zmóc nie może, zrobiły na mnie jeszcze bardziej ponure wrażenie niż straszny tłum dzikich szaleńców w pawilonie dla czarnych.

Opuszczałem szpital, myśląc o tragicznej przepaści, jaka dzieli rasy ludzkie. Przepaści, której nic wypełnić nie jest w stanie. Nawet obłąd.

\* \* \*

Tu kończą się moje notaki.—Minęło osiemnaście lat. Wiele wrażeń z tamtych czasów zatrzeć się w pamięci. Los rzucał mną do różnych krajów. W zawrotnej karuzeli wypadków, które później nastąpiły, w tych ciągłych kryzysach, wstrząsach, w okropnościach wojny obecnej rzadko kiedy przychodził mi na myśl ów szpital w Pretorii. Ale dziwne są na tym świecie przypadki. Któż je odgadnie i zgłębi. W mroku przedzie się losu naszego przedziwo nieznane, to biegnie gładko i równo, to skręca się w supły ponure lub pęka, spadając w otchłań niebytu. Jednemu z tajemnych skrzyń swych rzuca fortuna pod stopy barwne muszelki radości, drugiego przywała szarymi ciężkimi głazami nieszczęść, a kto przewidzi, co będzie za chwilę. Na próżno szukalibyśmy, jakiegoś związku przyczyn ze skutkami.

Nie wiem jakim skojarzeniem myślowym to przypisać, ale w ostatnich czasach uparcie i natrętnie przypominała mi się owa wizyta w domu obląkanych Murzynów, ów tłum szaleńców, który szedł na mnie. Stawał mi żywo przed oczyma daleki egzotyczny krajobraz południowo-afrykański, jadowita zieleń Mozambiku, tęcza księżycowa nad wodospadem Wiktorii, długie pasma porośnięte kępami drzew pagórków, łądząco podobnych z daleka do głów murzyńskich, plantacje bananów w malowniczym kraju Zulusów, nisko sklezione niebo i gwiazdy tak wielkie i oslepiające, że chwilami traciło się poczucie rzeczywistości. Stawały mi przed oczyma całe pola czerwone, gorące, usypane różnokolorowymi, dziko rosnącymi krzewami — purpurowe point-settie, żółte kanny, krwiste hibiskusy.

Może dlatego, coś mnie ciągnęło nieodparcie do ogrodu botanicznego Kew Gardens. Była wiosna. Kwitły magnolie i rododendrony. Ogłędając w jednej oranżerii bogatą kolekcję storczyków, poczułem na sobie czyjś wzrok.

„Ja pana skądś znam” — przerwał myśli moje poważny angielski gentleman o inteligentnej twarzy”. „I mnie się wydaje, że spotkaliśmy się gdzieś na tym świecie” — odparłem. Jego jasno-niebieskie przenikliwe oczy budziły we mnie dalekie wspomnienia.

„To są bardzo drapieżne kwiaty” — zauważył ów gentleman po dłuższym milczeniu i zaczął mi objaśniać różne gatunki egzotycznych orchidei. „Dziwny Kaprys natury. Jest w nich jakieś szaleństwo”. Spojrzał na mnie bacznie i rzekł: „Teraz wiem już, gdzie ja Pana widziałem. Dałbym

głowę, że mamy wspólnego przyjaciela, lekarza z Johannesburga i że Pan był razem z nim w Pretorii, u mnie w szpitalu. Strasznie się Pan wtedy przeląkł moich pacjentów, a nie było żadnego powodu”.

„Ma pan doskonałą pamięć — odparłem. Tak jest. Odwiedziłem szpital w Pretorii w r. 1926. Co za traf, że Pana tu spotykam. Ostatnio dużo myślałem o Pańskich wariatach. Ale przede wszystkim, co porabia nasz wspólny przyjaciel?”

„Dobrze mu się wiedzie. Świetną ma praktykę. Jest wielkim entuzjastą Murzynów. Boję się, że trochę przesadza, chociaż na dobrą sprawę, trudno się z nim nie zgodzić. Ten koszmar, w jakim żyjemy, to przecież wyłączna nasza wina, naszej dumnej białej rasy. Oni nigdy nie doprowadziliby do takiego szaleństwa. Przyjaciel Pański napisał interesującą książkę o murzyńskich znachorach. Nie zupełnie się z nim zgadzam, ale chwilami sam zaczynam wierzyć w ich czarodziejskie leki. Pyta się Pan o moich wariatów. Dzisiaj trudno stwierdzić, kto jest prawdziwy wariat: My czy oni. Chyba podziela Pan mój pogląd, że cały świat zwariował”.

„Oczywiście — odparłem — wszyscy są poniekąd tego samego zdania. Stało się to już komunalem”.

„W tym właśnie tkwi błąd, niezrozumienie istoty rzeczy — przerwał mi zniecierpliwiony doktor. Komunale, frazes! O nie! To, co mówię nie jest komunalem. Ludzie nie zdają sobie dość jasno sprawy z rzeczywistości. Świat *naprawdę* zwariował. Czy pamięta Pan tego starego Hindusa, który wykonywał bez przerwy machinalne ruchy i podskakiwał przez długie lata na jednym miejscu. Czy nie sądzi Pan, że identycznie to samo robili mądre, cywilizowane narody w okresie między dwiema wojnami? Była to również jakaś nieznama forma obłądu, stokroć groźniejsza — głupota, ślepotą, bezmyślność w obliczu straszliwego niebezpieczeństwa. Czy pamięta Pan moich pocziwych maniaków i megalomanów? Jakżeż niewinni, nieszkodliwi byli oni w porównaniu z tymi zdrowymi, normalnymi megalomanami, z tymi ropuchami nadętymi swoją wielkością, które pchają narody do rzezi dla swojej sławy, władzy i pieniędzy, z alkoholikami frazesów patriotycznych i nekrofilami historii, którzy szerzą masowe psychozy nienawiści narodowych i rasowych. Ja nie znam się i nie chcę znać się na polityce. Mam wstręt do niej. Ale niech mi Pan wierzy, to nie politycy uzdrowią ludzkość.

Czy pamięta Pan moich furiatów? Zamknięci byli w celach i starali się rozbić własne czaszki, a nie cudze.

Pan widział tego biednego kulisa malajskiego, amok-runnera, dotkniętego obłądem morderczo-samobójczym. Unieszkodliwiliśmy go. Ale gdyby nawet nam zbiegł, zabiłby co najwyżej kilka albo kilkanaście osób. A czy nie sądzi Pan, że Hitler i większość Niemców opętana została tym samym szaleństwem. Jakżeż inaczej wytłumaczyć, że ci wszyscy Muellerowie i Schmid-towie, praworzadni obywatele, chłopci i robotnicy, kupcy i fabrykanci, doktorzy i profesory stali się dziką hordą barbarzyńców, w której znikły nagle wszelkie hamulce moralne, gdy ruszyła ona na rozkaz Fuehrera, grabiąc, niszcząc, zabijając. Wiem dobrze co zrobili oni w pańskiej ojczyźnie i bardzo współczuję. Moi pacjenci nigdy nie popełniliby takich zbrodni. Szpital mój był tylko wzruszającą sielanką wobec zwariowanego świata”.

Doktor mówił coraz bardziej podnieconym głosem i ciężko oddychał. Wyszliśmy z oranżerii, gdzie było parno i duszno. Przedstawiłem doktora dwom damom, które przyjechały ze mną do Kew Gardens i były zaniepokojone moją długą nieobecnością.

„What a lovely day — rzekł z pogodnym uśmiechem dystygowanego gentlemana. Proszę mi wybaczyć, że tak długo zatrzymałem tego Pana, nudząc go moimi uwagami”. Zapadał wieczór. Wesoly, beztroski tłum londyński opuszczał park.



## OGRÓD JEZUICKI

Można przesiadywać godzinami pod wysokimi drzewami Ogrodu Jezuickiego. Leży on na łagodnym stoku nachylonym ku północy, dlatego nigdy nie będzie wypalony przez prostopadłe promienie słońca, a wysokie drzewa użyczą mu zawsze ochrony.

Wysokie drzewa! Rosną grupami, ich pnie pionowo wznoszące się zaczynają się rozwidlać dopiero na zawrotnej wysokości kilkudziesięciu metrów. Srebrny liść topoli nadwiślańskiej przeplata się z czerwonym liściem buku. Chyba nic na ziemi nie uwydatnia tak dobitnie naszej zależności i pędu do słońca jak gałęzie drzew. Bo żeby się tak oderwać od ziemi, rozstrzelić na tysiące gałęzi i gałązek, które zazdrośnie i przemysłnie szukają własnej drogi do słońca, zakolysać się w osiągnięciu i zachwycie pod jedyną i nieziemską czaszą błękitu, to potrafią to tylko drzewa. Myślę że najbardziej chyba godnym przetrwania i najwspanialszą reinkarnacją dla człowieka, byłoby przeistoczenie w drzewa, być parą Filemona i Baucis i zostać wiecznie razem drzewami.

Od czasu do czasu miałem być świadkiem śmierci drzew. Bywało że jakiś energiczny kierownik parków miejskich, przerzedzał albo usuwał chore czy niepotrzebne osobniki. Wtedy przez długie dni można było widzieć flegmatycznych drwali pochyłonych i manipulujących u dołu pnia wybranego drzewa. W otoczeniu niezawodnej grupki gapiów przy pomocy wyszlizganych przez pracę, i ręce narzędzi podcinali u dołu nieobjętego kolosa. Dziwnym było patrzeć jak korona drzewa żyła i szumiała wysoko w górze, na wyżynie sześćdziesięciu metrów kiedy u dołu szeroka piła w zęby w jaskółczy ogon cięła włókna i słoje a stalowe obuchy toporów wbijały kliny o rozczapierzonych głowach.

Potem, w jakiejś niewiadomej chwili, następowało kołysanie się wahające drzewa które nagle wyrwane zostało z życia i postawione na krawędzi nieuniknionego i nagle rwąc liny i łamiąc z trzaskiem drzewa i bariery wokół, w rozpacz walił się ten świat zielony na ziemię. Potem jeszcze parę trzasków, jakieś stare liście, nie wiadomo skąd się wzięły, zakręcają się w powietrzu i lądują między gmatwaniną gałęzi — i spokój...

Przez wiele dni potem najemnicy przecierają trzon na olbrzymie człony, siekiera unosi się z zamachem nad kolanami gałęzi, gapie mniej widowiskowo raczej filozoficznie asystują tym pogrzebowym obrządkom. Po tygodniach miejsce zostało wykarczowane i przekopane, zieloniutka ruń świeżo zasianej trawki ukazuje się spomiędzy czerwonych grudek i jedynie naprawione ogrodzenie świeżością drzewa i naciągiem drutów wskazuje gdzie padło drzewo.

Nie należy do najweselszych zajęć obserwowanie śmierci, a śmierć drzewa potrafi być równie wstrząsająca jak śmierć człowieka.

W tym to Ogrodzie Jezuickim przesiadywały niańki z żydowskimi dziećmi z rodzin postępowych, bezrobotni, weterani powstania 63 roku, studenci prawa nad Pandektami i w niedzielę po południu służące, które mają „wychodne” i żołnierze na przepustce (servantes et les militaires — jak mówiła babcia Panny).

Dom babci stał naprzeciw ogrodu.

\* \* \*

Czarne gałęzie drzew parkowych na tle czerwonych ścian tego domu wycinały się jak siatka na czerwonej, popękanej lace. Okna były zakratowane i okno pokoju Panny, znajdujące się ponad bramą wjazdową wydawało się oknem przez które zaraz wyjrzy kasztelanka, tyle dziwacznej sztuczności, jakiegoś chorobliwego romantyzmu, w ogóle atmosfera kompleksów zaczęła narastać wokół tego wszystkiego.

Kiedy zdarzyło się że w okresie rekonwalescencji przyszedłem raz do szpitala (był to dzień odwiedzin chorych z tymi straszliwymi „od 14-ej do 15-ej”) i kiedy w czeredzie kochających bliskich tych wszystkich którzy tu cierpią, obławowanych rozmaitymi rzeczami do jedzenia i innymi niepotrzebnymi wszedłem w podwoje szklanego sanatorium i po lśniącem linoleum do sali gdzie było jej łóżko, przekonałem się że jest ono puste. Chore towarzyszki z zaciekawieniem i satysfakcją i współzuciem powiedziały mi że Panna wyjechała już, dzisiaj w towarzystwie ciotki, do rozki. Jakbym dostał obuchem w głowę!

Wróciłem do miasta kłując wargi i chwile minęły z czerwonymi płatami żalu i wściekłości przed oczyma zanim zacząłem pisać list. Potem zaklejałem go i ślinilem znaczek przylepiając go w rogu.

List odniosłem na pocztę a sam poszedłem gdzie Ogród Jezuicki i dom jej babki. Wiedziałem że tu jest, że nigdzie dalej jej nie powieziono, i chodziłem krętymi ulicami parku, drzewa mijaly się ze mną i pomiędzy sobą i czerwony dom zasłaniał się i odsłaniał wzgórzami i faldami ogrodu. Zwir zgrzytał pod podeszwami spóźnionych przechodniów i szemrał daleki ruch uliczny.

Potem zaraz dostałem list od niej, list ogromnie przestraszony i tłumaczący coś ale przede wszystkim wzywała mię do siebie i zaraz, natychmiast, poszedłem do tego czerwonego domu. Ona stała w tym oknie nad bramą, zabawna, urocza i kochana, jak kasztelanka z romansu dla kucharek. I wyszła do mnie na schody, i zaprowadziła do ciężkiego, wiktoriańskiego salonu, niczego nie widziałem tylko ją samą.

Ignorowaliśmy domowników, którzy obrażeni, nadąsani i arystokratyczni, od pokojówek do ciotek, dyskretnie, uprzejmie demonstrowali wstręt do tej nieuniknionej sytuacji.

Pojawił się na horyzoncie karzełkowaty gryfon, As, Asik i on jeden raczej przychylnie ustosunkował się do nas dwojga.

Puls wybijał mi czas.

Panna przyniosła jakiś tam aparat fotograficzny z nieskomplikowanym obiektywem i w słońcu balkonu od podwórza, narobiliśmy ogromnie wiele „snapshotów”, nawzajem siebie i w towarzystwie Asa.

A potem nie trzeba było tłumaczeń i wyszedłem i mieliśmy się znowu widzieć.

Było już późne popołudnie, wieczór i zapamiętam to Popołudnie, ten Wieczór na całe życie.

\* \* \*

— Panie Mistrzu, nie da pan szluga?

Dziunek Fisz mówił najohydniejszym slangiem i miał delikatne ręce o długich, wrażliwych palcach.

Dziunek Fisz miał najdłuższy okres zarobkowy w swym życiu, kiedy raz przez trzy dni zrzucił śnieg z dachu Hotelu Krakowskiego, po nawałnicy śniegowej, która zatopiła miasto w białej pierzynie.

Kiedy książę d’Aosta podbijał Abisynię wybierał się ten Dziunek do Addis Abeby i nosił przez szereg tygodni przydomek „Abisynczyka”.

Potem wybierał się na wojnę domową do Hiszpanii, nieprecyzując i niepewny czy jest po stronie Falangistów czy Republiki.

Normalnie jednak, sprzedawał w Pasażu Mikolascha drut ołowiany, pościęty w kawałki jako „kamyczkidozapalniczki” albo prezerwatywy „Olla Gum?!”, patent odznaczony złotym medalem na wystawie higienicznej w Cluj, a wieczorem można było słyszeć jak recitatiwo skandował na ulicach: „Falanga — pismo przeciwko żydom dziesięć groszy — Falanga!” — kończył tryumfalnie jednym tchem wyparty slogan.

— Daj pan się sztachnąć!

Ale Dziunka Fisz spotkałem już zupełnie późno wieczorem.

\* \* \*



Kiedy przed wieczorem wyszedłem z domu „babci” mojej Panny — zgrzytnęło szkło pod moimi obcasami.

Wieczór zasnuwał się ciężkimi chmurami, ciemno granatowymi chmurami. W jednym tylko miejscu psuł się ten ich kolor na brudno-rudoczerwony i ta osobna chmura na tle tamtych martwo zawieszonych w powietrzu, żyła i kłębiła się i rzędiła i nadpływały jej z dołu w sukurs kłęby nowe i tłuste. I wtedy uprzytomniłem sobie że nie jest to chmura — pali się gdzieś — pomyślałem.

Pałiło się w stronie jak Kazimierzowska ulica.

Koło poczty szkło znów zgrzytnęło na chodniku. Rolety sklepów były opuszczane, ale niektóre wisiały krzywo, inne w ogóle nie były zaciągnięte i wtedy można było widzieć tafle szyb wystawowych pęknięte i wywalone kawałami na chodnik.

Ten nieporządek i nienormalność zaczęły mię zajętego myśłami, drażnić i powoli wdzierać się do mojej świadomości.

Ulice były puste i bez życia, wieczorne światło nieciło błyski w tych szklanych inkrustacjach bruku.

Nie było żadnego ruchu.

Kiedy wszedłem na ulicę Kazimierzowską, przekonałem się że pali się nie tam ale wyżej, jak początek Gródeckiej, gdzie były jakieś składy i widać tam było czerwone iskry, buzujące w powietrzu i luna czerwona odbijała się w szynach tramwajowych.

W poprzek ulicy leżał wywrócony tramwaj, wydawał się bardzo ażurowy bez szyb, które rozsypały się szklanym pyłem. Był czerwony jak pomadka do ust i jego spód, jak podbrzusze chrabąszcza, wstrętne i inne od gładkiego i malowanego nadwozia ukazywał ukrytą za normalnego dnia maszynię silnika elektrycznego Siemens-Schuckert i skomplikowany system pneumatycznych hamulców Brown-Bovery. I mimo tego wydawał się tandetny jak zabawka nakręcana kluczem, popsuta i pozostawiona w nieładzie na środku dziecinnego pokoju.

Teraz już szkło nieprzerwanie zgrzytało i zgrzytało pod nogami i w tym zgrzycie nadchodził ktoś naprzeciw mnie i był to ktoś znajomy — Dr. Cheldziarz.

Dr. Cheldziarz chciał specjalizować się w cardiografii ale dyżurował na „Stacji Ratunkowej”.

Wpadł na mnie i zapytał:

— Nie ma pan papierosa?

Zdziwiony, bo nienawdził tytoniu, poczęstowałem go i zaciągnął się i zaklął:

— Do bani — rozumie pan — do bani z całym humanitaryzmem i reszta. Czy pan wie ilu ja dzisiaj obrobiłem? chował poplamione mankiety od koszuli...

— Co się stało?

— Co się stało?...

\* \* \*

Poprzedniego wieczoru szedłem z Tadzim Warą na nasze zebranie.

— Poczekaj—zaraz—mówił mi przed drzwiami Tazio Wara—już mam!

...gdym po raz pierwszy w dom ten wchodził

ktos z bywałej tutaj młodzi

tak mi rzekł o domu tym:

mama kurwa, tato złodziej

syn, rzekłbym mi nie obchodzi...

ale córke poznałbym...

Schodziliśmy się bardzo przypadkowo. To były półoficjalne meetingi te rzadkie posiedzenia Trubadurów i Trouverów, z przewodniczącym, zbieraniem składek (nie wiadomo na co) do kapelusza. Nieodzwonnych parę dziewcząt które co rzadniejsi ekscytującej atmosfery sprowadzali.

Spóźniliśmy się na to i już zastaliśmy Bochenka, który zagłębiony w fotelu bez śladu swego ulicznego zakłopotania i tępoty, w wypchanych spodniach i wykrzywionych butach, mówił pryncypialnie na tematy filozoficzno-literackie z erudycją seminaryjną, pomieszaną z paradoksami i oryginalnością jednokierunkowej manii.

Tadzik Wara ze swą trupa głową i świecącymi w oczodołach błękitnymi oczami ukazywał w szyderczym uśmiechu zęby jak zęby caput mors i przerywał mu dowcipami które swą brutalnością i „obscenicy” szarpały nawet nas tak zblazowanych.

Połmiński siadał do fortepianu, miał nieprzyjemny tick przed grą—prężył się, przecierał sobie, a raczej naciskał gałki oczne palcami zanim te palce położył na klawisze, widać je było odbite w lśniącym lustrze pokrywy, tam gdzie nie było złotego napisu „W. Szkielski i Syn, Fabryka fortepianów” i Rachmaninoff wypełniał wnętrze pokoju. Nie lubiałem jego interpretacji, które wychodziły jak utwory paranoiczne z szumiącym u szczytu snobizmem i minoderią.

Nowi goście rzucali płaszcze w przedpokoju na stos i nonszalancko ignorowali panią domu, na którą tym razem padł los goszczenia zebrania. To zdaje się wtedy była Pani Bentzowa, przezywana „Mercedes”, a jej córka kolejno adorowana przez Trubadurów miała więcej realnego poglądu na te sprawy aniżeli mama.

Wszyscy mówili hałaśliwie i prawie naraz.

— My ludzie sztuki — zagłuszał innych Wara — jesteśmy, prawie można to generalizować, jesteśmy bez charakteru. Jeżeli jest to smutne z jednej strony, to z drugiej, właśnie ten brak charakteru rachityczność kręgosłupów, ciastowatość psychiki, daje nam możliwości, materiał, jakiego nie będzie miał pierwszy lepszy, posagowy i jednotonowy przedstawiciel solidności i nudy.

— O bohaterstwie — wpadła Halina Chwacka — może napisać coś porządnego jedynie człowiek, który zaznał szalonej, zapędzonej w beznadziejność trwogi.

W a r a : Ależ myszo polna, nie może być tu atonia cech charakteru gdyż rezultatem byłaby matowość, jak u tych posagowych.

Halina Chwacka nie lubiała Wary, ograniczyła się do pokazania mu języka.

P o ł m i ń s k i (od fortepianu): Raczej to będą stałe niepokoje, nawrócenia i feniksowość zjawisk.

B o c h e n e k : W każdym razie ten brak charakteru nie jest czymś przyjemnym. Czy nie zdarza się wam spotkać kogoś z poza naszego koła i czy nie jesteście, mówię o przykładzie egzo bo na siebie nie jesteśmy już czuli, i czy nie jesteście potem ogromnie rozczarowani. Temu nie można zaradzić. Wypływa oczywista dysproporcja i fałsz pomiędzy tym co piszą a jak żyją, jak wyglądają, jak są prostaccy, bez manier, naturalnie w tym metafizycznym znaczeniu, pretensjonalni, często gromadzący w sobie dużą część grzechów głównych.

W a r a : Naturalnie ponad tym wszystkim góruje kabotyństwo...

B o c h e n e k : Wydaje się że ludzie sztuki — może nie wydaje się ale tak jest w rzeczywistości — z powodu odżegnywania się od przeżywanej rzeczywistości, boją się potem o te utracone okazje, zaklinane przez nich w tłuszczu farby drukarskiej i starają się zrekomensować to w jakichś gierkach, które właściwie są niegodne nie tylko ich ale człowieczeństwa w ogóle.

W a r a : Ależ gra, aktorstwo, są bardzo, przyrodzenie ludzkimi. Myślę że tylko bardzo roślinne natury instynktowców są tego pozbawione. To jest świadomość, żądza świadomości istnienia i to właśnie odgrywa w tym taką rolę. Nie przerywaj — myszo polna — to twoje bohaterstwo, najbardziej bezimienne bohaterstwo kiedy jest niezauważalne dla samego



subiektu tego bohaterstwa właściwie nie jest już nim, jest niczym. Jeżeli na przykład zechcemy wyobrazić sobie jakiś skoncentrowany, oszalałający czyn, to jeżeli będzie on pozbawiony tła porównawczego, widza, warunków dramatyczności — to właściwie będzie on niczym, jeszcze raz. Jeżeli w pierwszych dniach stworzenia działa się na ziemi rzeczy wspaniałe, straszne, jakieś erupcje fantastyczne, orgie drgających kolorów widm płomieni, które od milionów lat już nie wybuchają — wypalone, albo gigantyczne symfonie dźwięków, to wszystko wspaniałe, godne chwili stawania się rzeczy — i nie był przy tym obecny i przytomny egzemplarz mózgu i jakaś świadomość gotowa do odebrania, apercceptowania tego to właściwie tamto wszystko nie istniało równie dobrze dla nas, po prostu marnowało się, do tego stopnia że nie warto temu poświęcać myśli.

Połmiński: A ja wam powiem że dochodzenie tych rzeczy, to tak jak na przykład doszukiwanie się już archeologiczne mowy sprzed tysiąca czy dwu tysięcy lat, żeby z zachowanych ułomków posklejać jakiś cień tego co było i żyło i to jest manią bez wartości jak zbieranie starych korków. Jedyne godne człowieka jest przeżywanie tego co jest teraz. Jest to najbardziej szlachetne i godne — żyć! Stąd wypływa instynktowne przywiązanie do życia u wszystkich, u ludzi, bez wyjątków, u zwierząt, u roślin. Cała pełnia życia wynika z potwierdzenia jego istnienia. W pewnej mierze możemy to potwierdzenie mieć w sobie, w pewnej mierze dobudowujemy je sobie, jest możliwe dla nas dzięki naszej zdolności kontemplacji zjawisk. Dlatego mając to doświadczenie widzów, wiemy jaką wartość powtórnego przeżywania daje aktorstwo i dlatego dogrywamy jeszcze swoją rolę i stąd to bochenkowskie aktorstwo.

Umilkł, przegrał jakiś pasaż, żeby mu ktoś nie wpał w słowa, ale dokończył zniechęcony:

I ta satysfakcja jest okupiona w nas samych goryczą tej świadomości...

Potem piliśmy wódkę, głosy się zmieszały, ktoś informował:

„...ależ Kamena to jest nimfa leśna...”

któs żałował że nie ma Bronka Wojtskiego, mistrza w grze na ustnej harmonii.

— Zdrowie dam pije się dlatego — falset Wary — bo kiedy damy są zdrowe to i my jesteśmy zdrowi.

To już było późno rano kiedy pijani wracaliśmy Rynkiem. Stosy zieleniny, zwożonej na targ i ruch porannego handlu.

Z trudem udało nam się ściągnąć ze straganu Połmińskiego. Wydrapał się tam żeby mieć mowę do przekupek.

W dwie godziny potem bezrobotni stali tam tłumem i z Magistratu wyszli ich delegaci.

W pół godziny potem jeden z nich w nielegalnym pochodzie przez Plac Akademicki został zabity kulą z policyjnego rewolweru. Jego zwłoki rzucono na pustą lorę meblową, wyprzęgnięto konie i ta lora wleczona w pośpiesznym, demonstracyjnym orszaku została pozostawiona na Placu Bernardyńskim, kiedy rozszalały ze strachu tłum rozbiegał się pod poszerzanym, niezadarnym, zdenerwowanym ogniem z policyjnych karabinów maszynowych...

To już było południe i wtedy byłem w domu babci Panny, tam gdzie Ogród Jezuicki.

\* \* \*

— Co się stało?

— Panie — jak się siedzi w tym od pierwszego pokazu prosektora to można już być zblazowanym wreszcie. I nawet jestem dumny ze swego cynizmu — ale jak się stanie twarzą wobec takiego zjawiska epilepsji jakie da tłum to może wstrząsnąć. Czy pan wie? Och wyobraź pan sobie dwa tłumy, wielki tłum, chaos, ekscytacja, trwoga, i drugi mały, kilkunastu tchórzów i ten strach, ani tu ani owdzie myśli. Czy pan wie? Taśma

karabinu maszynowego, cyrk, loteria, druga taśma, czy pan to rozumie? Dostają do rąk ludzi—haemorrhage i są podnieceni i śmierdzi od nich potem i uryną z tego zwierzęcego strachu i z tego że nie wiedzą skąd, kto, dlaczego...

Gdzie źródło tego? Co jest w tym? To jest nie do zduszenia. Panie — jak byłem studentem — jeździłem z taką kolumną przeciwdrurową. Mamy stałe niewygasające ogniska tyfusu plamistego na Pokuciu — ale co — tu! — czterdzieści kilometrów stąd, w jaworowskim, takie niewygasające ogniska — tak samo jak mamy okręgi, gniazda, permanentnego — nie przednówkowego panie! ale permanentnego głodu — z puchliną głodową — czy pan to rozumie? Raz w takim tyfusowym okręgu złapałiśmy żebraczkę — została ostrzyżona, wykąpana, przebrana i wie pan? trzeba ją było wpakować do łóżka i puszczać krew — bo dostała nadciśnienia krwi — pan to rozumie? — tyle z niej dziennie wszy tyfusowe wytaczały... Więc powiedzmy że to miasto, tę nędzę jakaś gigantyczna ręka nakarmiła i wyniańczyła w dobrobycie czy wtedy mielibyśmy nadciśnienie krwi czy już teraz je mamy kiedy się ją wytacza...

Machnął ręką i poszedł. Mrok zagęszczał się i tylko ostro na niebie odcinały się jak linie nutowe druty telegraficzne i odróżniający się od nich solidny, napowietrzny kabel telefoniczny i pocięły to niebo w przypadkowe i niepokojące wielokąty.

Znów zgrzytnęło szkło i włączącym krokiem nadchodził i poznał mnie Fortunat Zajączkowski:

— To niepodobne do tego miasta — prawda? do tej dużej wsi — było tak raz, była masakra na Placu Strzeleckim kiedy Leon Piniński był Namiestnikiem Galicji — i w czasie tego ten kabotyn! siedział u siebie i grał Szopena na fortepianie — ten biazeń! — obruszał się nieprzejednany w swych sądach „Zającz”.

— Kto są ci ludzie, czym jest to miasto? Miasto profesorów? urzędników? nie, ani nie tej burżuazji co stanowi leciutką warstwę nadającą połysk tej kuli. Ani tych „biednych” żydów co zawiedli na Pożyczkę Inwestycyjną, tych „biednych” bo nie mówię o kilku multimilionerach. Ani nie kom-somołek z ghetta Krakowskiego Przedmieścia, obsiadających parady na szillerowskich dramatach ani kolejarzy ze związku zawodowego. Panie — to miasto to jest wieś co tu przywędrowuje — nadmiar z przysiółków, wydm, jarów, wzgórz tego kraju co powoli przesiąka i nabiera mimicy miejskiej — przynoszą tu swój język, słowa, miesza się to w tym tyglu, topi, nabiera swego akcentu, nie nazbyt wdzięcznego — zgódźmy się, lwowszczyzna nie jest najwdzięczniejsza, robi się sos, zwyczaj polski, przesąd ruski, szmonces żydowski i z tego powoli wyrabia się coś co jest nowe, swoiste i jedyne... Co mi ktoś porównywał że z Cmentarza Stryjskiego to wygląda jak Florencja z kopułą Brunelleschiego i Signorią... Zostawmy to...

„Zającz” wyprostowany i szczudłowaty powiedział potem, nie wiem czemu „Przepraszam!” i poszedł w kierunku Wałów i ul. Bonifratrów gdzie był jego dom.

\* \* \*

Kiedy już wracałem do siebie, na rogu zaszeleściły koła samotnej taksówki i pisnęły hamulce. Była to „gondola miłości”. Znad kierownicy wychyliła się głowa w kaszkiecie i szaliku i zdziwiło mnie to że nie prowadził jej właściciel.

— Co się stało z Machorskim?


Machorski był właścicielem wozu. Wielki i przystojny, w zimowe dni w grupie innych szoferów stał na rogu mojej ulicy, gdzie był postój taksówek i nakładałem drogi żeby nie przechodzić obok tego postoju — bo zawsze mi się kłaniał i było mi niewyraźnie i jemu było niezgrabnie bo byłem tylko klientem bardzo od okazji i nie przysługiwała mi ta re-



werencja a z drugiej strony kiedy raz zaczął mi się kłaniać wobec tych szoferów nie wypadało mu wypaść z tej rutyny i mieliśmy stworzoną taką wspólną udrękę.

Machorski był poprzednio parę miesięcy w kryminale.

— Pan redaktor (ten pomocnik Machorskiego nazywał mię tak bo tam gdzie mieszkałem — była redakcja), pan redaktor do domu? Pan wi jak z Brygady Śledczej przyszli i pytali co się stało z jego żoną — mówi im — wyszła — no jak? wyszła i nie wróciła? — i nie wróciła — to już go trzymali miesiące i w końcu puścili — i poszedł i pił wódkę i kazał sobie zagrać orkiestrze, rzucił dwadzieścia złotych i kazał zagrać „Ta ostatnia niedziela” i strzelił do siebie i zabrała go Stacja Ratunkowa i zanim dowieźli to skołał w tej budzie. Ja mu pomagałem wtedy w warstacie i teraz rodzina zabiera to do masy (mówił to „massy“ z wieloma „s”), do masy spadkowej i jeszcze dla nich trochę jeżdżę na takse...

— Zarekwirował mi dzisiaj takse ten podinspektor z wydziału bezpieczeństwa — zciszył głos taksówkarz — i kazał się wieźć od województwa do koszar i slyszalem jak go na podwórzu koszarowym rugał dowódca pułku piechoty: „Won! — krzyczał i tupał nogami i mało go krew tam nie zalała — chce się waszemu wojewodzie asystencji? Won! powiadam — taki były ułań — „jakby dziewczyna” — zazarowany w biurokratę — won! mówię — niedaleko mu od ułańskich do biurokratycznych hemoroidów — won!...” i mało go szlag nie trafił na tym podwórzu... 

\* \* \*

Byłem pod domem. Właśnie tam spotkałem jeszcze jedną osobę monologów dzisiejszego wieczoru, Dziunka Fisza.

— Nie ma pan szluga Panie Mistrzu?

Papierosów już nie miałem.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

## O TOWARZYSZU ROBAKU WIERSZ

radośnie jest być robakiem  
na liściu wodnistej kapusty  
w południowym ogrójcu  
i patrzeć na tłuste liszki  
żujące lubczyk zieleni.

radośnie jest być owadem  
i pełzać po lepkiem powietrzu  
brzęcząc na przekór chrząszczom  
i krowom spiczastym na łęgach.

radoście jest być kornikiem,  
drukować księgi pod korą  
księgi mądrością próżne  
żałosne ballady o sowach.

przyjemnie jest mieć swą dziupłę  
ostrosłup w sercu drzewa  
spokojnie i bezpiecznie słuchać  
trzasku młodych drzew w burzy.

lesz strasznie jest być robakiem  
na ścieżce, którą ciągną  
przez puszcę przepastną olbrzymy,  
i nocą się przerażać  
żagwiami obłądnych oczu  
myszy polnych z świętych wodopojów.

strasznie jest wtedy słuchać,  
jak wody się piętrzą w ogrodzie,  
jak chytre błyskawice kłocą się w pustej altanie  
jak liny zrywają się w cielsku  
smoczego wichru nawałnic.

jak strasznie jest wtedy słuchać  
o świcie stukotu stóp twardych  
jeży kłujących widnokrąg  
po długim, nocnym patrolu.

zapewniam ciebie mój bliźni,  
zlepiony z odpadków gliny  
i wystawiony na ogień  
piekielnie piekących doświadczeń,  
że w tym oto wierszu nie ma metafory,  
bo metaforę moją wczoraj  
semafory żelazne rzuciły na tor,  
bo metaforę moją stratowały szyny pośpieszne,  
bo rym słów napuszonych  
chłopcy wiejscy przegrali w puszczalki.

zapewniam ciebie mój bliźni,  
że w tym wierszu nie ma rytmu  
ponieważ rytm służy mężobójstwu  
— — pacholek — garniec helmiasty  
cuchnący służebną polewką.

nie ma w tym wierszu bezrymnym  
porównań szarych dni z nocą  
i nie ma wołania wiosny.

jest jeno nędznych bytów solidarność  
bezpłodne zamyślenie  
nad bardzo czarną glebą.

MARIAN CZUCHNOWSKI

## NIE MOGĘ SŁUCHAĆ

Miękkie płótna, żar, fale szafu,  
Promienny dach nad kawiarnią.  
Hamsin zadmuchał ogród bladym fagotem  
I perły świecą na szyjach kobiet, krusze muszle upału.  
Za bukszpanowym chłodem i płotem,  
Jak pożar wstaje, rosnąc pomału —  
Księżyc, i płonie — srebrną latarnią.  
Skrzypek się schylił nad dziką melodią  
I błyszczczy gors, ton i kawiarnia.  
Jakby z samego gardła muzyki wyszli nagle na podium  
Razem, kobieta i księżyc — wysoka latarnia.



Nie mogę słuchać dzikiej muzyki  
I blasku latarni, i nocy, i nieba.  
Wieczór z ciężkiej, grubej ultramaryny  
I nic mi dzisiaj więcej nie trzeba.  
Spadła gwiazda. Dwie. Trzy. Po kolei. To oczy młodej  
[nieznanej dziewczyny]

Ciskają w ciemność spojrzenia — płomienne krzyki.  
Raptem odprysła perła od szyi kobiety!

Nie mogłem dłużej słuchać muzyki...

## NOCNE OGRÓDKI

Pachną nocne, ciche ogródki.  
Tobie, miła, to piszę.  
Z ogrodu trysnął cyprysik młodziutki  
I wiotki księżyc, taki malutki  
Skoczył, jak konik polny, w niebieską ciszę.  
Na krzewach leżą zaśnięte pąki  
I dal niebieska naszej rozłąki.  
Huczą mi w skroniach uparte dzwonki.  
Nie mogę ścierpieć szmeru tych dzwonek.  
I tych w ogródkach, uśpionych pąków.  
Rosną w górę czarne cyprysy.  
Pod cyprysami mokre irysy.  
Cyprysy stoją, jak wdowy w żałobie  
I ja pod nimi myślę o tobie.

Myślę ze straszną, cichą rozpaczą,  
Że może nigdy cię nie zobaczę!

*Jerozolima, lipiec, 1943 r.*

## PORUCZNIK HERBERT

### DOWÓD NIEZBITY

„Młody” zmarł w szpitalu jeszcze w listopadzie zeszłego roku. Do samego końca, niemal do ostatniego tchnienia, z uporem twierdził, że zestrzelił Niemca, i umierał z żalem do całego świata, w szczególności zaś do angielskiej Fighter Command, że nie zaliczono mu zwycięstwa.

Czytałem jego zeznania złożone w szpitalu w tej sprawie. Zeznania bardzo szczegółowe, z podaniem czasu i miejsca startu i lądowania, wysokości lotu, zmian kursu, przebiegu walki i t.d. i t.d. Był to długi i dość nudny raport, napisany tak rozwlekle chyba po to, aby przekonać Anglików, że Młody pamiętał o wszystkich zdarzeniach tego lotu, a co za tym idzie — że jego zeznania są wiarygodne.

Brakowało w tym raporcie tylko jednego: dowodu, że Ju-88 istotnie został zniszczony; dowodu wymaganego przez Fighter Command dla przyznania myśliwcowi zwycięstwa: fotografii niemieckiego samolotu spadającego w płomieniach w morze lub zeznań wiarygodnego świadka walki.

Nikt nie wątpił zresztą, że Młodziak mówi prawdę. Ale — nie można było robić dla niego wyjątku...

Nie pisałbym zapewne o całej tej historii, gdyby nie dwa wypadki, które zaszyły przed paru tygodniami. Pierwszy z nich właściwie zadecydował o napisaniu niniejszego opowiadania; drugi w sposób dość niezwykle potwierdził ostatecznie prawdziwość zeznań zmarłego pilota.

Zaczęło się od tego, że pewnego dnia w południe pomiędzy niskich chmur, wlokących się ociężale nad lotniskiem, wypadł jakiś zwariowany Spitfire i okrążywszy stację, wylądował przy maszynach naszego dywizjonu. Wiedziałem, że to gość do nas, bo bez wahania podkołował bliżej i witał się z mechanikami, którzy pomagali mu odpiąć spadochron i ściągnąć kombinezon. Poznałem go z daleka, gdy szedł w stronę kasyna, bez płaszcza i bez czapki, z rozwianą rudawą czupryną, krępy, mocny, zamaszysty, opuściwszy swoim zwyczajem głowę w dół, jak byk gotujący się do ataku. Major Stefan Ł., jeden z najzacieklejszych myśliwców dawnego Dywizjonu Krakowskiego, skryty i uparty jak każdy Wilnianin, ale dobry kolega, na którego można było liczyć w każdej potrzebie.

Byłem niemal pewien, że przybywa do mnie z jakąś sprawą, zapewne osobistą i że zaraz po jej załatwieniu odleci, bo nie miał żadnego bagażu. Wyrwał się widocznie z dywizjonu na parę godzin, przeleciał paręset mil w tę mętną, zdradliwą pogodę i dziś jeszcze odstawi tyleż mil z powrotem.

Ta sprawa, to mogło być równie dobrze zaproszenie na ślub, prośba o dwufuntową pożyczkę do pierwszego, propozycja żebym kupił od niego samochód, albo żebym mu podał adres mojego krawca w Londynie. Stefan zapominał zwykle w takich razach o istnieniu telefonu, a może po prostu wolał gnać cztery godziny tam i z powrotem w chmurach i dżdżach nad Anglią, niż czekać na połączenie telefoniczne.

Tym razem zresztą chodziło o Młodego. Wyjawił mi to bez żadnych wstępów, trzymając jeszcze w uścisku moją dłoń wyciągniętą na powitanie i potrząsając nią dla zaakcentowania rewelacji.

— Dzisiaj rano dostaliśmy depeszę z Fighter Command, że na północ od Aberdeenu morze wyrzuciło szczątki Junkersa-88. Myślę, że to ten, którego zestrzelił Młodziak. Co ty na to?

— Dwie podwójne whisky — powiedziałem do kelnera.

— I piwo. Może być Guinness — dorzucił Stefan, nie spuszczać ze mnie pytającego wzroku. — No?

— Siadaj — odrzekłem, wskazując mu fotel przed kominkiem. — Czy to jeden Junkers wpadł do Morza Północnego...

Zachnął się zniecierpliwiony:

— Właśnie o to chodził. Musimy dowieść, że to jest Junkers Młodziaka. Czytałeś jego raport o tej walce?

— Czytałem.

— No i co?

— A cóż? Szczęście, że chłopak nie miał ambicji literackich i nie pisał takich historii do prasy — teraz wszystko drukują. Okropnie nudnel Stefan się zirytował. Szczęki zaczęły mu chodzić w twarzy, zmrużył oczy i wyglądał tak, jakby żuł coś, czym zamierzał na mnie splunąć. Szczęściem przyszedł kelner.

— Two double whiskies, two Guinness, sir...

Przyjaciel mój przełknął widocznie złe słowa wraz z podwójną „szkocką”, bo — nic już nie mówiąc — pociągał piwo. Ale gdy ta mieszanina wsiąkała mu w organizm, zrobił się po prostu nieznośny.

— Gdyby chodziło o jakąś załogę bombową, — oświadczył — napisałbyś o tym kobyłę na dwie kolumny; a jak chodzi o myśliwca, to powiadasz, że nudne. Bombiarz, cholera!...

Zaprzeciłem. Pisałem przecież o Procie i o...

Przerwał mi:

— Wiem, wiem. A jak sam byłeś myśliwcem, to nawet o byle patachu pisałeś. Na przykład o Herbercie. Patriota bombowy, psiakrew!



Bawiła mnie ta jego myśliwska zajadłość.

— Jak będziesz takim starszym panem jak ja, — powiedziałem — to też pójdziesz na bombowce.

— A ty na karawaniarza — mruknął. — Posłuchaj: nie po to przeleciałem czterysta mil, żeby się z tobą kłócić. Napiszesz o Młodziaku — to już postanowione; ale poza tym — trzeba dowieść, że to jego Niemiec, rozumiesz?

Wzruszyłem ramionami:

— Jakże tego dowiedzimy?

— Gdybym wiedział jak, tobym nie przylatywał do was. Lejba jest? — zapytał nagle.

Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że Lejba pojechał do Lincoln i wróci wieczorem.

— Szkoda, bo by nam pomógł. Przyjaźnił się z Młodym i może wiedzieć coś więcej, niż my. Był u niego w szpitalu, a nawet ma jakieś jego listy i papiery. No, ale — trudno. Spróbujemy bez niego jeszcze raz odtworzyć całą tę historię; może się co wykombinuje.

Poddałem się. Na Stefana nie było innego sposobu...

Oto przebieg tych wypadków, w ujęciu możliwie najbliższym rzeczywistości.

\* \* \*

Alarm poderwał niebieską sekcję flightu B-Marigold w przerwie pomiędzy dwiema falami deszczu i wichury, które przeciągały ze wschodu na zachód nisko nad stacją. Młody i Buszko wybiegli z baraku, dopinając po drodze kombinezony i skacząc przez kałuże wody stojącej między zrudziałymi kępami trawy. Spoza ich samolotów wyjrzał jeden z mechaników i podniósłszy w górę ramię na znak gotowości obu Spitfire'ów, cofnął się z powrotem. Słychać było niskie, klapiące, jakby gardłowe burczenie obu silników zagrzewanych na małych obrotach. Wiatr podnosił i ściszał te odgłosy, zmiatając błękitne smugi spalin tuż nad ziemią. Jakiś samochód rwał po skraju lotniska, podnosząc za sobą kurzawę rozpylonego błota.

Dopadli maszyn nieco zdyszani i wspięli się prawie jednocześnie ku otwartym kabinom. Za każdą z nich okrzykiem na kadłubie siedział mechanik, żeby im pomóc dopiąć klamry i zaciągnąć pasy. Oni tymczasem — jak zwykle — objęli spojrzeniem zegary i wskaźniki, przełączniki i kontakty.

— O.K.!

Gładko szurnęły zamykane osłony.

Sierżant Buszko nacisnął hamulce i dał pełny gaz, ściągając drążek na brzuch. Spitfire podał się do przodu, zadrgał i dokoła rozpedzonego śmigła stanęła migotliwa, wygięta w tył tarcza wodnego pyłu. Zaraz potem ryknął silnik Młodziaka, a gdy przycichł, sierżant wykręcił w stronę startu, zaczął aż Młody go minie i już razem pokolowali na przełaj, ścinając łuk lotniska.

Mechanicy patrzyli za nimi, podnosząc w górę kciuki. Ten i ów ocierał twarz zbryzganą błotem lub zapalał papierosa. Inni spoglądali po niebie, które zwisało nisko, ciężkie, zawalone chmurami toczącymi się na zachód.

Tymczasem Spitfire'y doszły do *runway*, wykręciły pod wiatr, zagrzmiały silnikami i ruszyły, z miejsca unosząc ogony. Oderwały się razem i razem wciągnęły podwozia, jeszcze nad lotniskiem. Razem położyły się w skręt na lewo i okrążyły stację.

Młody meldował się do *operation* przez radio:

— Hallo Tarpan, hallo Tarpan! Marigold blue one calling. Blue section B airborne. Over. Over!

Odpowiedź przyszła natychmiast:

— Hallo Marigold blue one! Tarpan answering: keep sector three-seven, sector three-seven. Over!

Młody już był w chmurach. Powtórzył otrzymany kurs i oglądał się co chwila na sierżanta, który przypiął się doń o parę metrów z prawej

i sunął nieco z tyłu, równolegle jak cień, raz po raz przesłaniany tumanami gęstniejącej pary.

Wicher unosił maszyny, wpierał się pod skrzydła, to się umykał, że balansowały, wspinały się jak łodzie na dużej fali i zapadały w odmet. Wkrótce ściemniało tak, jakby to był wieczór, choć właśnie dochodziła pierwsza po południu. Zasiękło deszczem, zatargało sterami, wybiło ich z kursu.

Chmury były wyjątkowo gęste; Buszko nawet z odległości paru metrów nie widział już maszyny dowódcy.

— Odchodzę w prawo — powiedział.

— Dobrze — zgodził się Młody. — Spotkamy się nad tym świństwem. Tylko się nie zgub!

Sierzant mruknął coś niezrozumiale i kłął potoczyście pogodę.

— Jeżeli nad morzem jest tak jak tu — pomyślał Młody — to szkoda marzyć, żebyśmy co upolowali.

Próbował odgadnąć, jak gruba jest ta warstwa chmur: sześć tysięcy? osiem tysięcy stóp? — może więcej?...

Już od dobrej chwili stracił poczucie położenia maszyny w stosunku do ziemi. Zaczął podlegać złudzeniom: wydawało mu się, że leci pionowo w górę, że silnik ryczy ostatkiem mocy i że lada chwila Spitfire śliznie się w dół, na ogon. Ale przyrządy wskazywały co innego. Wariometr równo odmierzał stopy wznoszenia się; sztuczny horyzont niezmiennie tkwił w tym samym miejscu, a strzałka licznika drgała na dwóch tysiącach dwustu obrotach.

Uspokoił się i nie odepchnął drążka sterowego w przód, ale tylko po to, by po chwili walczyć z uczuciem, że ślizga się na prawe skrzydło. Zamknął oczy i liczył do dwudziestu. Potem spojrzął na *Sperry*. Jak na złość, trawersował lekko w lewo. Wyrównał według przyrzędu, ustalając blaszaną sylwetkę poziomo, i z obawą spojrzął na żyro-kompas.

— 37 — stwierdził z ulgą.

Był przekonany — nie wiadomo dlaczego — że leci na północ, zamiast na północny wschód. Czuł ciągle jeszcze skręt w lewo. Stacja była teraz nie wprost za nim, lecz na lewo w tył i przesuwiała się w lewo coraz bardziej, a cel — lub raczej kurs nakazany — wędrował w prawo i prawo, aż poza skrzydło...

Wiedział, że to nieprawda; że wcale tak nie jest. Busola i żyro zgodnie wskazywały 37°. One nie podlegały złudzeniom. One miały rację.

Pilnował się, żeby nie działać pod wpływem tych złudzeń i tylko od czasu do czasu pozwalał sobie na spojrzenie poprzez osłonę w przestrzeń. Za każdym razem jednak wzrok jego napotykał nieprzenikniony, szary męt chmur i nic poza tym. Deszcze szły jeden po drugim, siepiąc po szybach i urywając się nagle. Wtedy szyby schły szybko, czasem przejaśniało się jakby, ale po chwili ciemniało i znowu chrzęścił sypek deszcz, jak piasek miotany wichrem.

Wreszcie na wysokości dwunastu tysięcy stóp chmury zaczęły się rwać i rozpadać, aż wyklebiły się pod samolotem w nierówną poszarpaną masę i przewalały się pod nim bezładnie, jak olbrzymia kipiela jakiegoś białego świata, powstającego z chaosu.

Wyżej, może na piętnaście lub szesnaście tysięcy, leżała jasna perlowa pokrywa cienkich obłoków, jak wewnątrz płaskiej muszli opalizujące na południowy zachód od zenitu, tam, gdzie było słońce. Wicher pędził potężnym nurtem przez tę pustkę, zataczał się po niej, zawijał w skrętach i wypadach, jak jakiś potworny strumień, głęboki jak morze, rwący po uskockach i wykrotach, po niewidzialnych głazach i progach, zdradziecki, dziki, przerażający w swej potędze i ogromie.

Spitfire był w porównaniu z nim maleńki, nic nie znaczący, śmieszny. A jednak przeciwstawiał mu się zaciekłe i odważnie; ba — rozcinał go i od-



rzucał w tył z mocą większą od jego mocy. Był szybszy; kilkakrotnie szybszy! Tylko gdy rozszalały nurt uderzał z boku, poddawał mu się nieco. Tylko gdy strumień spiętrzał się lub załamywał — wynosiło go w górę lub zarzebywało na chwilę w wirach. Ale zaraz, podtrzymany sterami, wpierał się w falę, przeorywał na wskroś, przesywał wydmy i prądy, i — smagany, szarpany, odrzucany — rozpruwał spęczniałe masy ubitego powietrza, rozwałki je i gnał naprzód, na wschód.

W pewnej chwili Młody przypomniał sobie, że miał się tu spotkać z sierżantem. Na próżno jednak rozglądał się dokoła i szukał wzrokiem sylwetki drugiego Spitfire'a na tle chmur. Nie było go nigdzie widać.

— Zgubił się i zawrócił — pomyślał. — Pogoda rzeczywiście nieszczególna...

Nie przyszło mu do głowy żadne bardziej obrazowe określenie tego, co działo się od chwili gdy weszli w chmury i co trwało nadal po przebicciu ich warstwy. Nie przejął się też odwrotem Buszki i przeszedłszy nad tym do porządku, podał do *operation* swoją wysokość, prosząc o dalsze wskazówki.

Odpowiedziano mu po chwili, że ma lecieć dalej, tym samym kursem.

Obliczył w myśli, że powinien już znajdować się o kilkadziesiąt mil od brzegu, nad pełnym morzem. Zadawał sobie pytanie, czego szuka w tych okolicach i na tej wysokości załoga niemiecka, skoro nad morzem ciągnie się kożuch chmur, gruby na kilka tysięcy stóp. Ale zanim zdołał sformułować jakiś domysł, zobaczył pod sobą pierwsze okno w tym kożuchu, bynajmniej nie tak grubym tutaj, a po tym drugie, trzecie i — nieco dalej — wolną przestrzeń z coraz rzadziej płynącymi obłokami. Na dnie tej przestrzeni leżało morze, jak szorstka ołowiana płyta, puste i rozległe, aż po horyzont, stojący nad nim w łagodnym, matowym świetle.

Nagle poprzez świergot w słuchawkach wylamały się dobitnie, twardo, znajome słowa:

— Hallo, Marigold blue one, Marigold blue one... Tarpan calling. Can you hear me?

Machinalnie przymknął gaz i odpowiedział, że słyszy. Czekał teraz na dalszy ciąg, niepewny czy każą wracać, czy też podadzą mu nowy kurs. Serce biło mu śpieszniej, wsłuchiwał się w świergoczący poszum i jednocześnie wypatrywał po niebie.

To był już piąty jego lot bojowy. (*Dopiero* piąty — powiedziałby każdy stary pilot). W czterech poprzednich nie doszło do spotkania z nieprzyjacielem, a tylko raz z daleka widział uciekającego Messerschmidta.

— Panie Boże, daj, żebym teraz jakiego mógł dopaść — wzdychał gorąco.

— ... rigold blue one, Marigold blue one — wyskoczyły słowa. — Bandit before you. Sector four-two, sector four-two. Over to you, over.

Poczuł gorącą falę — od gardła — w dół po całym ciele. Serce jakby zawahało się na sekundę i zaczęło bić jeszcze szybciej. Tętna waliły w skroniach i w uszach. Wzrok poleciał w przestrzeń — szukać.

Ale perłowy pułap był gładki i czysty. Bez najdrobniejszej skazy, bez jakiegokolwiek obcego punktu, zniżał się ku linii horyzontu i — wsparty na wklęsłej tarczy morza — zamykał, jak kłosem, kilka pękających obłoków, żeglujących poniżej ośmiu tysięcy stóp.

— Musi być za którymś z nich — pomyślał. — Jest niżej ode mnie; za to łatwiej mnie dostrzeże, niż ja jego.

Leciał nie zmieniając kierunku i wypatrywał teraz w dół. Sektor po sektorze, pas przy pasie przedcedzał głębię powietrza aż do ołowianej powierzchni morza.

— Nie-ma! Nie-ma! Nie-ma! — tętniło w takt uderzeń pulsu.

Kopulasty kumulus płynął na jego kursie, więc zmniejszył obroty i zapadał niżej i niżej, nad sam jego szczyt wydęty jak balon. Zanurzył się

na chwilę w białą, lekko opalizującą parę i wychynął z niej natychmiast. Spojrzał ponad kłębami, które stromo opadały w dół...

— Jest!!!

O tysiąc pięćset stóp niżej, u podstawy obłoku leżał w skrócie samolot. — Junkers — 88 — stwierdził bez wahania.

Był teraz pionowo nad nim i machinalnie położył się w skręt, tak samo jak tamten, aby go nie minąć.

Niemiec nie zauważył go jeszcze. Wyrównał w kierunku na północny zachód i sunął spokojnie naprzód, ciemny, ledwie widoczny na tle morza.

Młody zdecydował się szybko: do następnego obłoku było daleko. Ju nie zdąży skryć się tam przed atakiem, nawet jeśli natychmiast dostrzeże niebezpieczeństwo. Zawrócić nie może; to by go zgubiło przy takiej różnicy wysokości. Albo więc zostanie zniszczony od razu, w pierwszym ataku, albo — ostrzelany — przyjmie walkę, albo spróbuje uciec w dół. W każdym z tych wypadków Młody rozporządzał przewagą wysokości i większą zwrotnością swego Spitfire'a.

Zwolna, ostrożnie odepchnął dźwazek sterowy w przód i poszedł na przeciwnika, mierząc w kadłub na wysokości skrzydeł. Cel podszedł w górę, ustalił się i zaczął rosnać. Odległość zmniejszała się i jednocześnie malał kąt nurkowania, a pomarańczowe światło celownika zaczęło mijać skrzydła Junkersa.

— Muszę trafić — pomyślał Młody.

Radość przyczajona gdzieś w podświadomości, jeszcze niepewna, ale już przeczuwana, wyostrzała zmysły.

— Dokładnie mierzyć, dokładnie...

Wtem z tylnej wieżyczki Junkersa strzeliły blade smugi i zaczęły szyc przestrzeżoną powyżej Spitfire'a. Prawie jednocześnie Młody pocisnął spust i poczuł charakterystyczne drganie samolotu. Jego smugi sięgnęły skrzydeł niemieckiej maszyny, przywarły do niej, otoczyły ją... W tej samej chwili urwały się smugi Niemca. *Ju* zrobił gwałtowny unik, uskoczył spod obstrzału i zaraz znów otworzył ogień, tym razem celniejszy. Pociski osmagały kadłub i szklaną osłonę kabiny Spitfire'a, i nagle coś targnęło lewym ramieniem Młodego...

To było, jak uderzenie kijem. Zdążył pomyśleć: — dostałem! — i uchwycił właśnie Junkersa na celownik, dał krótką serię.

Tamten natychmiast przestał strzelać, zerwał maszynę do wywrotu, przewalił się przez skrzydło i wymykał się w tył, zanim Młody zdążył powtórzyć jego manewr.

Gdy Spitfire wyływał z młynca, Niemiec zaatakował. Związali się w walce kołowej, strzelając rzadko, bo jeden dla drugiego stanowił teraz cel możliwy do trafienia zaledwie w ułamkach sekundy. Walczyli obaj z równą zaciętością, zdając sobie sprawę, że w takiej odległości od brzegu dla zwyciężonego nie ma już ratunku; że nikt nie zdoła odnaleźć pilota unoszonego przez „mayvestkę”, na pełnym morzu; że dwadzieścia minut takiej kąpieli o tej porze roku wystarczy, by zamarznąć na śmierć.

Młody ciągle jeszcze nie czuł bólu. Ramię zdrętwiało mu, ale nie troszczył się o to.

— Chwała Bogu, że lewe — pomyślał.

Przypuszczał, że to tylko lekkie draśnięcie, choć zauważył, że mocno krwawi. Nie miał czasu zajmować się teraz tą sprawą. Zresztą w żadnym wypadku — za nic — nie wycofałby się z walki; wiedział, był pewien, że zestrzeli ten samolot. **P i e r w s y** samolot w życiu!

Zapalał się coraz bardziej i nacierał coraz ryzykowniej, wystawiając się na ogień z tylnej wieżyczki Junkersa. Ale niemiecki strzelec nie korzystał z okazji.

Młody w końcu to zauważył.

— Zabity! — przemknęło mu przez głowę.



Tym gwałtowniej zaatakował, układając z bliska serię po silnikach. Prawy nagle błysnął płomieniem i zadymił. Radość chlusnęła krzykiem do płuc:

— Pali się!

Niemiec znurkował gwałtownie w kierunku wielkiego obłoku, który wydymał się pod wiatrem o trzy tysiące stóp niżej. Lecieli teraz po prostej: Junkers z czarnym warkoczem dymu u prawego skrzydła i Spitfire, przeźrażliwie gwizdający pędem w potrząskanej osłonie. Spitfire był szybszy, ale Junkers wyprzedzał go znacznie. Odległość między nimi zmniejszała się, lecz ciągle jeszcze była za wielka na celny ogień.

Młody chciał ostrzelać przeciwnika w ostatniej chwili, tuż przed jego zniknięciem w chmurze, ale przeliczył się: gdy miał nacisnąć spust, niemiecką maszynę pochłonęły kłęby pary.

Zaklął i bez wahania wpadł za nią w gęsty jak krem, przesycony światłem kumulus. Sekunda — dwie — trzy — cztery... Nie uswiadamił sobie, jaką przestrzeń ma do przebycia na oślep; nie zdążył ocenić średnicy i głębokości obłoku. Liczył tylko na to, że Junkers z płonącym silnikiem nie będzie szukał tu schronienia, lecz przebijając obłok i spróbuje uciec ku następnemu, aby gdzieś po drodze „zgubić” przesładowcę.

Ale gdy wreszcie Spitfire wyprysnął niemal u samej podstawy kumulusa, niemieckiej maszyny nie było nigdzie widać. Stwierdziwszy, że nie mogła w tym czasie dolecieć do żadnego innego obłoku, Młody doszedł do wniosku, że jednak Niemiec w chmurze zmienił kierunek i zawrócił, albo krąży tam w ukryciu, mając nadzieję, że przeciwnik wkrótce zostanie zmuszony do odwrotu wskutek wyczerpania się zapasu paliwa.

— W takim razie zdołał zgasić pożar — pomyślał Młody. — Tak, czy inaczej, na jednym silniku nie może mi uciec.

Postanowił zawrócić i krążyć dokoła podstawy kumulusa, póki Niemcowi się nie sprykrzy. Spojrzał na busołą i stwierdził, że zwraca się znów na wschód, a więc — że oddala się od lądu. Zapas benzyny był niewielki, ale nie to go niepokoiło: poczuł ból...

Drewnie ramię, zwiślało mu bezwładnie, kiwając się w miarę podrzutów i przechyłów samolotu. Chciał położyć rękę na kolanach, żeby ją choć częściowo unieruchomić, i nie mógł: stracił w niej władzę. A jednocześnie ból targał mu się powyżej łokcia i sięgał do barku i do szyi. Tam, gdzie najbardziej bolało, rękaw kombinezonu zwiślał w strzępach, oblepiony krwawą masą. Jakieś poszarpane ochłapy ociekały krwią, która stygła w sople i przesiąkała przez ubranie. Czuł, że cały lewy bok i biodro ma mokre, jakby oblane ciepłym klejem. Lewa burta kabiny też była pokrwawiona obficie...

Wszystko to zauważył w skrócie. Wyrównał, unieruchomił drążek sterowy między nogami, i ostrożnie, uchwyciwszy wylot rękawa palcami prawej ręki, ułożył sobie lewą poprzecznie na kolanach. Mimo woli pochylił przy tym maszynę w przód.

Bolało, rwało coraz gorzej. Zaciśnął zęby i zmrużył oczy. Poczul, że robi mu się słabo. Przestraszył się.

— Zemdleję i nie wykończę go!

Nabrał pełne płuca powietrza i spojrzał przed siebie. Spitfire szedł w dół, ku morzu. Już miał go wyprowadzić, gdy dostrzegł szary cień pomykający nisko nad wodą.

— Junkers!

Zrozumiał od razu: Niemiec, dostawszy się w chmurę, zwiększył kąt nurkowania, obrócił samolot o 180° i wyprowadził w tył, na wschód. Potem ostrą piką dopadł powierzchni morza i — ledwie dostrzegalny na jej tle — parł na południowy wschód, ku brzegom Holandii.

— Jeszcze minuta, a byłby mi uciek! — stwierdził Młody ze wzruszeniem.

Pod wpływem tego wzruszenia zapomniał o bólu i — nie zmieniając już kąta nurkowania — pognał za wymykającą się ofiarą.

Dopędzał ją z każdą sekundą, tym szybciej, że Junkers miał jeden silnik unieruchomiony. Gdy zbliżył się na odległość skutecznego ognia, wziął go na cel. Ale nie strzelał: zostało mu niewiele amunicji, więc chciał mieć zupełną pewność, że trafi. Składał się jeszcze kilkakrotnie, wybierając najdogodniejszą pozycję. Zdecydował się wreszcie, że będzie strzelał z góry z tyłu, mając go nieco na lewo przed sobą.

Niemiec musiał od dobrej chwili wiedzieć, że Spitfire go dogania. Z początku starał się robić uniki, próbował lecieć esami, rzucał się w trawersy i schodził coraz niżej nad grzywiaste fale, nieomal muskając je skrzydłami. Potem już dał spokój: zrozumiał, że to nie pomoże. W ciągu kilku ostatnich minut przeżywał zapewne ataki szalonego strachu. Takiego strachu, jakiego doznaje mysz, chwyтана raz po raz w pazury kota, który dla zabawy puszcza ją na chwilę, aby zaraz złapać znowu. Nie rozumiał, dlaczego tamten nie strzela i gdy obejrzawszy się ujrzał go w odległości niespełna czterdziestu jardów — błysnęła mu nadzieja, że się jeszcze uratuje: Spitfire mógł nie mieć amunicji.

W tej samej chwili Młody poderwał się lekko w prawo i w górę, by wziąć go na cel. Widział dokładnie cały kadłub i stery Junkersa; widział czarne krzyże na skrzydłach, numer wymalowany białą farbą na stateczniku, znaki fabryczne i godło eskadry — sylwetkę rozczapierzonego jastrzębia. Wreszcie przez szyby kabiny zobaczył twarz pilota.

Uśmiechnął się i spokojnie, dokładnie mierzył. Kiedy środek gondoli wszedł na środek celownika, nacisnął spust i trzymał. Po skrzydłach, po osłonie, po kabinie pilota zaczęły skakać błyski. Nagle Junkers zwicchnął linię lotu, wydarł się w górę na lewo i — wykonawszy pół *beczki* — runął w morze.

\* \* \*

— No, i to już prawie wszystko — powiedział Stefan. — Młody musiał mieć trudny powrót, bo stracił bardzo wiele krwi i tracił ją ciągle. Całe przedramię miał scharatane pociskiem z działka; ze trzydzieści odłamków, w barku i w szyi. Rozumiał, że jeżeli wyjdzie wysoko, to skrwawi się prędzej wskutek zmniejszonego ciśnienia zewnętrznego. Więc leciał nisko, tuż nad wodą, a gdy dotarł do lądu — tuż nad ziemią, poniżej chmur, w deszczach i wichurze, przeskakując wzgórza i drzewa. Na szczęście radio miał nieuszkodzone, więc nawiązał kontakt z *operation* i prowadzili go jak po sznurku. Tylko, że słabł coraz bardziej. Nie miał dość sił, żeby bodaj przewiązać sobie to ramię powyżej największej rany. Przepuszczam, że chwilami tracił przytomność i tylko jakimś cudem nie rąbnął w ziemię i nie nadział swego Spitfire'a na komin lub na maszty radiostacji, których tam po drodze jest mnóstwo. Opowiadał później, że bał się wyjść w górę i skakać ze spadochronem: był przekonany, że straci przytomność i umrze zanim go ktokolwiek odnajdzie na ziemi; chciał koniecznie dolecieć do swojej stacji. Ostatecznie — doleciał i nawet nie rozbił maszyny przy lądowaniu. Ale przepisowej *beczki* nad lotniskiem już nie zrobił: bał się, że nie wytrzyma. Słusznie zresztą: zemdlął w pół drogi, kolując po *runwayu*. Dlatego nikt z początku nie wiedział, że walka, którą stoczył, była zwycięska. Dopiero w szpitalu, już po transfuzji krwi złożył zeznania, a później podyktował raport, który czytałeś. No i — jak wiesz — nie uratowali go. Gangrena, amputacja, znów transfuzja krwi, bezskuteczna i — koniec.

Ze swej strony dorzuciłem parę szczegółów bez większego znaczenia: że Spitfire Młodego nie miał kamery foto, ponieważ wybudowano ją celem wymiany — dlatego Młody nie miał zdjęć z walki; że sierżant Buszko, jego boczny, istotnie zawrócił, ponieważ zepsuło mu się radio i nie mógł porozumieć się ani z Młodym ani z ziemią, a w chmurach zgubił się zupełnie; że wreszcie maszyna Młodego miała ponad dwadzieścia przestrzelin od



pocisków z karabinów maszynowych i osłonę strzaskaną pociskiem z działka.

— Jeżeli na podstawie tego wszystkiego zdołasz przekonać Anglików, że Młodziak zrębał właśnie tego Junkersa, którego szczątki wyłowili, to od jutra możesz do mnie mówić: Ciperak, nie—Herbert—powiedziałem na zakończenie.

— Dobrze — mruknął w roztargnieniu. — A Lejby nie ma?

— Mówiłem ci już, że nie. Wróci wieczorem.

— Nie mogę czekać do wieczora — oświadczył stanowczo. — Chodźmy do niego.

Wzruszyłem ramionami.

— On jest w Lincoln — powiedział dobitnie.

Spojrzał na mnie przytomniej i uśmiechnął się.

— Nie o to chodzi. Gdzie jest jego pokój? Chciałbym zobaczyć te notatki Młodziaka, które ma Lejba — wyjaśnił.

— A coż ty innego znajdziesz w tych notatkach, niż w raporcie?

Nie odpowiedział zaraz. Zmarszczył brwi i coś tam sobie kombinował w rudy m łbie, spoglądając na mnie spod oka. Wreszcie strzelił palcami, wstał i zniżając głowę, jakby mnie chciał wzięć na rogi, warknął:

— Numer! Numer — rozumiesz?!

— Jaki znów numer? — zdumiałem się.

— Numer tego Junkersa. Numer fabryczny. Numer, który Młodziak widział na stateczniku! Albo będziemy mieli ten numer, albo niczego nie udowodnimy, bo w Fighter Command jeszcze dwaj Anglicy i jeden Czech mają pretensję do zestrzelenia tego wyłowionego Niemca. A ten tuman nie podał w raporcie numeru... Widział, musiał chyba zapamiętać, a nie podał!

Oso biście wcale nie byłem przekonany, że Młody widział ów numer, a tym bardziej, że go zapamiętał w tych okolicznościach. Gdyby zaś istotnie tak być miało, wcale nie wydawałoby mi się dziwne, że nie podał go w zeznaniach. Nikt przecież nie mógł przewidzieć wówczas, że będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie. Ale nie chciało mi się dyskutować ze Stefanem nad tą sprawą. Natomiast miałem niejaki skrupuły co do poszukiwań w pokoju Lejby podczas nieobecności tego ostatniego. Tylko, że Stefan w ogóle nie chciał o tym ze mną gadać.

— Biorę na siebie całą odpowiedzialność — oświadczył.

Przewróciliśmy więc pokój Lejby do góry nogami, po czym okazało się, że owe „papiery” — paczka listów i fotografii, dwa wycinki z gazet, legitymacja i kalendarzyk kieszonkowy — leżały na samym wierzchu, na półce z książkami.

Listy były od jakiejś Mary; fotografie częściowo pochodziły zapewne z Polski, częściowo zaś przedstawiały Młodego w różnych okolicznościach jego prywatnego życia w Wielkiej Brytanii, głównie na motocyklu albo przy motocyklu, z Mary i bez Mary; wycinki z gazet dotyczyły obozu Polaków internowanych w Szwajcarii; legitymacja wystawiona na nazwisko Młodego, stwierdzała, że jest on członkiem Szkockiego Touring-Clubu; wreszcie kalendarzyk zabazgrany był adresami, notatkami o sprawunkach, spotkaniach i wyjazdach, obliczeniami zużycia kuponów i benzyny do motocykla, datami urodzin czy też imienin i t.p.

Dopiero pod datą 29 września znaleźliśmy krótką notatkę, bardziej nas interesującą, o przydziale do dywizjonu myśliwskiego. 10 października Młody zapisał: „Mój pierwszy sweep. N-pla nie spotkałem”. Potem — jeszcze dwie podobne notaki. Potem znów: „Widziałem Me-110. Uciekł”. I wreszcie: „Zestrzeliłem pierwszy samolot, Ju-88 z eskadry Falke, numer fabryczny 2491”.

— No?! — powiedział Stefan z wyrazem tryumfu. — I co ty na to?

Oczekiwał widocznie, że będę go podziwiał, ale się omylił. Od dłuższej chwili podejrzewałem, że już startując ze swego dywizjonu wiedział o tej

notatce i że całe to „odtworzenie przebiegu wypadków”, głębokie namysły i poszukiwania „promyka światła” oraz nagły genialny „przebłysk odkrywcy”, że — jednym słowem — cała rozmowa ze mną była naiwną komedią z jego strony. Ułożył to sobie zawczasu, aby mnie olśnić literackością zdarzenia i zachęcić do napisania tej historii. Jeśli zaś chodzi o numer fabryczny niemieckiego samolotu, to nie trudno go było zapamiętać: cyfry odczytane na odwrot — 1942 — zapamiętałby każdy.

Powiedziałem Stefanowi bez ogródek, co o tym wszystkim myślę, ale zaparł się w żywe oczy. Nie chciał zostać u nas na lunchu, schował notatnik Młodego do kieszeni i — nie troszcząc się o straszliwy bałagan w pokoju Lejby — odleciał do Aberdeen, żeby na miejscu stwierdzić, jaki numer ma wyłowiony z morza Junkers.

Byłem zły na niego, bo doprowadzenie do porządku tego pokoju zajęło mi prawie dwie godziny po południu. Wieczorem zaś Lejba wrócił i robił mi gorzkie wymówki, że nic z jego rzeczy nie leży teraz na miejscu, jakkolwiek tłumaczyłem mu, że to Stefan ponosi całą odpowiedzialność.

Nazajutrz trochę się wypogodziło i pułap chmur podniósł się znacznie, a koło południa wyrzała słońce. Szliśmy z Lejbą na przelaj przez lotnisko do *operation*, gdzie mieliśmy coś do załatwienia, gdy nad głowami przeleciał nam znów jakiś Spitfire zwariowany, jak wszystkie. Wyskoczył zza hangarów pięć metrów nad ziemią, śmignął w górę, zawrócił i wykręcił *beczkę*, po czym schodził pod wiatr, jak do lądowania.

— Zabłądził głupi tuman — powiedział Lejba, który z pogardą odnosił się do myśliwców. — Patrz: wraca z jakiegoś wypadu i chyba zestrzelił Niemca, bo się popisuje tą *beczką*. Tylko mu się lotniska pomyliły — myśli, że to jego stacja. Wyrrywajmy! — zawołał nagle, bo myśliwiec siadał prosto na nas.

Uskoczyliśmy w bok, ale on nie wylądował, tylko dodał gazu, położył się w głęboki skręt tuż nad ziemią, jakby chciał obejrzeć lotnisko i — zapewne zawstydzony swoją pomyłką — wziął kurs na południe, stromo wzbijając się w górę.

Lejba spoglądał za nim, z politowaniem kiwając głową.

— Pewnie się teraz dopytuje przez radio, co to za stacja — powiedział cierpko.

Skręciliśmy na szosę i w kwadrans później byliśmy już na miejscu. Załatwiwszy sprawy służbowe, zaszliśmy do flight-lieutenanta Morissona, który kończył dyżur i miał nas swoim samochodem odwieźć do kasyna.

Ten Morisson był dawniej oficerem administracyjnym naszego dywizjonu. Przywiązał się do nas, a specjalnie ofiarował się do Lejby, z którym złapał piwo i grywał w bilard. Byli podobni do siebie z usposobień i zamiłowań: obaj spokojni i trochę senni, obaj ceniący wygodę i obdarzeni pogodnym optymizmem.

Ale tym razem zastaliśmy Morissona w rozterce. Telefonował na wszystkie strony, grzebał się w aktach i pomrukiwał: „bloomy damn!”, co już było szczytem wszystkiego, czego można się było po nim spodziewać. Zobaczywszy mnie i Lejbę, zupełnie „wyszedł z siebie” i oświadczył, że Niebo mu nas zsyła, po czym zapytał z wyraźnym niepokojem, czy w naszym dywizjonie jest Ciperak.

— Ciperak? — powtórzył Lejba. — Na pewno nie! Bo co?

Morisson westchnął i opadł na krzesło.

— Nic nie rozumiem — powiedział przygnębiony. — Przed kwadransem przeleciał nad naszą stacją Spitfire. Lecił z Aberdeen, a minąwszy lotnisko wziął kurs na Londyn...

Coś mnie tknęło: Stefan wczoraj poleciał do Aberdeen, gdzie morze wyrzuciło szczątki Junkersa...

— Wziął kurs na Londyn — ciągnął dalej gasnącym głosem smutny Morisson — i wywołał naszą stację, nadał taką depeczę... Masz, czytaj — podał Lejbie kartkę papieru.



Zajrzałem mu przez ramię. Na kartce był następujący tekst:  
„Flight Lieutenant Ciperak stop 2 4 9 1 zgadza się stop  
Ju-88 zaliczony stop Stefan”.

— To chyba jakiś szyfr — powiedział Lejba.

Nagle uderzył się dłonią po udzie.

— Ależ myśmy widzieli tego Spitfire’a! — zawołał. — Wracał z wypadu, podczas którego musiał zestrzelić Niemca, bo wykręcił *beczkę* nad lotniskiem. „Ju-88 zaliczony” — no więc...

— Może byśmy już pojechali na lunch — powiedziałem niecierpliwie. — To się przecież samo wyjaśni.

— Ale kto jest ten Ciperak? — upierał się Morisson.

Czułem, że się czerwienię. Lejba spojrział na mnie, jakby się budził.

— Słuchaj no, Herbert — powiedział wolno, — czy to nie dotyczy Młodego?

Wzruszyłem ramionami:

— A dajże mi spokój z Młodym.

— Bo przecie mówiłeś, że Stefan poleciał wczoraj do Aberdeen, żeby ten numer... Ależ naturalnie! Pokaż no tę depeszę — zwrócił się do Morissona.

Przeczytał ją półgłosem i — już zupełnie obudzony — zaczął wyjaśniać Anglikowi całą sprawę.

— A *beczkę* wykręcił symbolicznie, za zwycięstwo tamtego — powiedział w końcu. — I jak z tego wynika, depesza jest do Herberta.

— Ale dlaczego Ciperak? — powtórzył swoje Morisson.

Myślałem, że mnie krew zaleje.

— To mój nowy pseudonim — oświadczyłem ze złością. — Ale jak ci się nie podoba, to możesz nadal mówić do mnie Herbert.

## MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI

### NA ZIEMI I NA NIEBIE KANADY

Siedzę w głębi klubowego fotelu. Z barwnych okładek ilustrowanych tygodników spoglądają długonogie amerykańskie dziewczyny, Anthony Eden z pieskiem i piękna Madame Chiang-Kaj-Szek. Barman przynosi w wysokiej szklance Colinsa, na który to napój składa się dużo lodu i jeszcze więcej ginu. Za szybą biblioteki spoczywają amerykańskie nowości: książki uroczej Ewy Curie i Wendell Willkiego, opisujące podróże po niedawno oglądanym Środnim Wschodzie, pamiętnik ambasadora Daviesa rzucający niewesołe światło na naszą przedwojenną dyplomację, wreszcie wspomnienia nowojorskiego dziennikarza, który w pustyni libijskiej, w czasie rozjechania brygady południowo-afrykańskiej przez czołgi Rommla dostał się do niewoli, trafił do Rzymu, bawił w r. 1942 w Berlinie, i wreszcie znalazł się znów szczęśliwie przy swym biurku redakcyjnym w Nowym Jorku. Opodał wznosi się kominek, ale nie ma na nim ognia, bo na dworze jest jeszcze ciepło.

Odkładam ilustrowany tygodnik, dopijam lodowatego Colinsa. Przez otwarte drzwi wzrok pada na zieleń wypielegnowanego trawnika, na klomb czerwonych kwiatów, skrzących się w promieniach chłodnego, jesiennego słońca. Zieleń trawnika gdzieś dalej przemienia się w żłocisto-brunatny kolor rżyska, wreszcie bura wstęga lasu zamyka horyzonty. Spokój, cisza ciągnie od tych pól i borów. Przerzywa ją tylko brzęczenie pszczoły przelatującej za oknem. Po locie nocnym czuję się senny. Przymykam oczy i myśl powoli od nowojorskich tygodników przenosi się o parę lat wstecz w czasie, geograficznie na drugą stronę Atlantyku.

Wydaje mi się, że siedzę na ganku w Żabiej Woli, że jest jesień, polska jesień, z babim latem, złocistym liściem klonów, czerwonych buków, na środku gazonu unoszą kielichy w górę wielkie, purpurowe kwiaty kann. Aż z marzeń tych budzą mnie wesołe głosy, angielskie słowa. To Nowozelandczycy wrócili z lotów. Godzina dwunasta, bar się zapelnia. I już polska jesień została w marzeniach daleko—rzeczywistością jest znów to lotnisko gdzieś w Kanadzie.

Już czas na obiad, przechodzimy do sali jadalnej. I tu również przez otwarte okna i drzwi od balkonu dolatuje powiew od pól i lasów. Bez-troski, młodzieńczy gwar rozbrzmiewa od stołów. Jak we wiejskim dworze, do którego w niedzielę przyjechało wiele gości. Ścianę zdobi sztych angielski, na nim w kuszach fraczkach osiemnastowieczni gentlemeni uczują wesoło. Na przeciwległej ścianie fotografia przedstawia młodego człowieka w mundurze marszałka Królewskich Sił Powietrznych, z kielichem w rękę, w rozmowie z komendantem stacji — to książe Kentu, gdy wizytował to lotnisko. W kasynie oficerskim w Rózanie podawał do stołu niezgrabny żołnierz — wiadomo, do służby w kasynie przeznaczano zwykle kompanijne ofiermy. Tu podają do stołu smukłe dziewczęta, ubrane a raczej wystrojone w coś pośredniego między mundurem Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych a sukienkami subrettek. Na białych fartuszkach wyhaftowano kokieteryjnie słowa „Officers Mess”. Na stołach wielkie dzbany z mlekiem — ulubionym napojem lotników w tym kraju. Masła i serów w bród. Krwiste befsztyki ledwie mieszczą się na talerzach. Po surowej diecie wysp brytyjskich, po Libii, ba, co dopiero mówić o dwuletniej głodówce rosyjskiej mych kolegów, ocenia się rozkosze stołu w tym kraju mlekiem i miodem płynącym. Chlubą kuchni naszego kasyna są jednak desery. Kanadyjczycy lubują się w lodach, które do wyboru i do koloru podaje się dwa razy na dzień: na obiad i kolację. W tym kraju tylko bardzo ubodzy ludzie jadają na deser same lody. To też w kasynie lody są tylko dodatkiem do jakiegoś doskonałego tortu, bądź też podaje się je z gorącym owocowym ciastem, lub też z mrożonymi owocami i bitą śmietaną. Osobiście najbardziej smakują mi lody oblane gorącym, czekoladowym sosem. W niedzielę obiad ma charakter świąteczny, toalety wieczorowe kobiet odbijają wesołością kolorów od ciemni mundurów Rafu. W niedzielę wieczorem bowiem panie z sąsiedztwa przyjeżdżają w odwiedziny na stację. Salę jadalną oświetlają staroświeckie kandelabry. Płomień świec odbija się wesoło w skarbach zimnego bufetu: różowo-białej szynce, brunatnym rozbifie, zieleni sałat, kremowym majonezie, czerwieni stosu jabłek. Zaś raz w miesiącu obiad ma charakter służbowo-oficjalny — odbywa się wspólny „mess-dinner” oficerów stacji. Wtedy stoły ustawia się w podkowę. Kandelabry płoną. Menu zaczyna się od ostryg. Po wetach, gdy sprzątnięto ze stołu, karafka z portem zjawia się przed prezydentem kasyna, krąży kolejno wśród biesiadników, każdy nalewa sobie kielich wina, przy czym odwieczna tradycja armii brytyjskiej zakazuje postawienia jej choćby na chwilę na stole. Gdy wszyscy napełnili już kielichy, wstaje prezydent kasyna i zwracając się do wiceprezydenta, mówi:

— Mr. Vice, the King!

Wiceprezydent na to wstaje, zwraca się do obecnych i mówi:

— Gentlemen, the King!

Po czym wszyscy unoszą się ze swych miejsc, powtarzają „The King” i piją zdrowie monarchy. Przepisom „Old School Tie” stało się zadość. Teraz można palić tytoń i mówić o płci pięknej.

Mieszkamy obok kasyna, w barakach, w pokojach po dwu lub trzech, skromnie, po wojennemu, co nie przeszkadza, że gorący prysznic jest do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. Ocenia się go po miesiącach pustyni Libijskiej. Do roli ordynansów nie przeznacza się w tym kraju



żołnierzy. Sprzątaniem pokoiów, tradycyjnym u Brytyjczyków pucowaniem mosiężnych guzików i klamek zajmują się starsi panowie, cywile, którzy mieszkają w sąsiednim miasteczku lub na farmach, do pracy przyjeżdżają własnymi samochodami. Pan, który sprząta mój pokój nosi nazwisko: Byron. Pozytywnie ocenia mą skrzynię z książkami (wożenie z sobą kufra-szafy jest miłym przywilejem służby w lotnictwie), interesuje go zwłaszcza literatura o Rosji. Byron uważa bowiem siebie za postępowca, jest zwolennikiem socjalistycznej partii kanadyjskiej, która spędza ostatnimi laty sen z powiek kapitalistycznych potentatów z Kolei Pacyfiku, rządzących ponoć tym krajem. Wiedzie ze mną długie dyskusje na tematy powojennej organizacji świata. Byron jest zwolennikiem ścisłej kooperacji Kanady z Rosją. Z perspektywy własnej farmy, samochodu, dożywnotnego ubezpieczenia i oszczędności w bondach wojennych komunizm wydaje mu się realizacją raję na ziemi.

Natomiast moi koledzy, dwudziestoletni chłopcy z Kanady, Nowej Zelandii, Australii, wysp brytyjskich, czy Trynidadu nie zdradzają zainteresowań politycznych. Od czego są starsi panowie w Ottawie, Londynie, Waszyngtonie — oni niech się polityką martwią. Na oficerskich kwaterach panuje humor, beztroska. Co parę tygodni kończy się jeden kurs. Po tradycyjnym pożegnaniu w barze, gdy dobrze po północy wróciło się na kwatery, rozpoczyna się wojna. Poduszki, materace, łózka, krzesła wylatują z pokoiów na korytarz, z korytarza do łazienki. Wobec tych międzydominialnych bojów zgłaszam zwykle mą polską neutralność, obserwując ze współczuciem, jak bety mego angielskiego współlokatora wylatują w pewnej chwili za okno.

W Polsce w jesieni ministrowie i inspektorowie armii ruszali w Karpaty na polowanie na jelenie. Na tej stacji Kanadyjskich Królewskich Sił Powietrznych fryzjer strzygąc mnie uprzedza, że w przyszłym tygodniu zamknie zakład: wyjedzie zapolować na łosie, właśnie teraz jest sezon. Fryzjer jest wszystkowiedzącym kronikarzem stacji. Opowiada jak na wiosnę 1940 r. były tu tylko pola i lasy. Dopiero upadek Francji zadecydował o powstaniu lotniska i tej całej wielkiej dziś stacji. W isticie amerykańskim tempie wzniesiono olbrzymie hangary (w każdym z których mieści się dziś kilkadziesiąt samolotów), baraki mieszkalne, kasyna, świetlice Ymki, salę teatralną, halę sportową. Cyrulik kanadyjski orientuje się widać w tajnikach awansów oficerskich armii imperialnej, ponieważ na widocznym miejscu umieścił afisz: „Pamiętaj, że wygląd twój decyduje może o awansie na oficera, o urlopie”. Po czym następuje propozycja na temat szamponów i elektrycznego masażu.

Mianem „stacji” określa się tę całą wielką przestrzeń, pokrytą trawnikami, barakami, asfaltowymi ulicami. Na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że głównym celem istnienia tej stacji jest zachowywanie w niej czystości. Starego farmera z sąsiedztwa zaangażowało dowództwo na trzy godziny dziennie: chodzi po asfaltach i trawnikach i zbiera zwiedle liście spadłe z drzew. Gdzie jak gdzie ale w jesieni i w pachnącej żywicą Kanadzie jest to isticie syzyfową pracą. Komendant stacji ma wyraźne zamiłowania budownicze, toteż na stacji stale się coś buduje. Samochód zwozi kamień pod nowy kort tenisowy, murarze pobrzękują kielniami pod oknami kasyna: budują nową, jeszcze jedną werandę kamienną, na której będziemy leżakować w słoneczne południa. Piąty rok wojny — czasu jest dość w Kanadzie na wszystko.

Nim przyjechałem do Ameryki brzydził mnie widok koszar: tych ponurych prostokątnych budynków z czerwonej cegły, które wznosili Moskale we Włodzimierzach, Różanach, Modlinach. Na tej kanadyjskiej stacji, gdy idę na śniadanie, mijają mnie dziewczyny z WAAFS. Spod ich granatowych płaszczy lotniczych miga się coś kolorowego: to spodenki piżam, w których właśnie ćwiczyły ranną gimnastykę. Rozrzucone po

trawnikach baraki mają w sobie coś z amerykańskiego uniwersytetu, którego pawilony wznoszą się zazwyczaj w cieniu drzew parku na tle zieleni murawy.

Na naszej stacji mieści się jedna z licznych kanadyjskich podchorążówek lotnictwa. Tylko że ci podchorążowie, widzieli szable najwyżej na starym sztychu, karabinu i bagnetu nigdy nie mają w ręku. Do zajęć rannych i popołudniowych udają się wprawdzie zwartymi oddziałami, ale w rękach niosą tylko książki i ołówki, cyrkle i zeszyty. Tym wojować będą. To jest ich broń. Siła fizyczna potrzebna tak kawalerzyście dla opanowania konia, władania lancą, tak niezbędna żołnierzowi piechoty dla uderzenia bagnetem, dla dobiegnięcia przy szturmie — tu usuwa się na plan daleki. Lotnik ma do dyspozycji tysiące koni swego silnika, ogień kilkunastu sprzężonych karabinów maszynowych, ale władanie nimi to praca nie mięśni, ale — mózgu. Nowoczesny lotnik to matematyk, geometra, fizyk, meteorolog i astronom w jednej osobie.

Kanadyjski pułkownik, komendant stacji, oficer piechoty z pierwszej wojny światowej, z Military Cross za Sommę i jedną nogą krótszą — pamiętka z Passchendaele — gentleman angielski starej daty, ma w sobie coś z pułkownika Bramble oraz zacięcie starego gwardzisty. Odzywa się on w nim co czwartek po południu, gdy ma miejsce tygodniowa „parade”, przegląd żołnierzy stacji. Zwarte oddziały chłopców i panienek w granatowych mundurach stają na wyasfaltowanym placu zbiórki. (Plac ten jest w wielkim poszanowaniu poza czasem zbiorów, nie wolno żołnierzom na nim przebywać). Orkiestra żeńska staje na prawym skrzydle, i na kobzach wygrywa szkockie tony. Pułkownik odbiera dywizjonami raport, po czym przez megafon (jesteśmy w Ameryce) komenderuje całością. Po przeglądzie oddziałów zarządza marsz dookoła lotniska. Na czele sam dzielnie, kroczy, powłócząc lekko krótszą nogą, podpierając się laską. Za nim maszeruje śliczna Angielka, ulubienica stacji, kapelmistrz damskiej orkiestry, ustrojona w biały, lśniący pas, podrzucając wysoko w górę swą buławę i łapiąc ją potem z akrobatyczną zręcznością. Wreszcie kolejno ciągną dookoła ogromnego lotniska śpieszone eskadry kadetów, starszawych mechaników, panienek z biur i kuchni. Pułkownik jest bowiem zdania że dobry spacer wszystkim dobrze zrobi. Ma rację. W lotnictwie brak jest tej przyjemności, której się do syta miało w piechocie: długich spacerów.

Polscy uczniowie szkoły nienawidzą musztry: nie po to uciekli z piechoty by tu ją jeszcze ćwiczyć. Wspaniałe obijaki z wszystkich możliwych frontów, absolwenci przedwrześniowych podchorążówek, co marsz paradny wytupywali długimi miesiącami, wytłumaczyli Kanadyjczykom, że musztra brytyjska jest tak różna od polskiej, że nie mogą w niej brać udziału, gdyż pomieszaliby szyki. Ten argument trafił do przekonania dowódców i Polacy zostali zwolnieni z czwartkowej parady, ku zaskoczeniu i podziwowi Australijczyków, którzy na tę prostą lecz genialną myśl nie wpadli. Aż przyjechał polski pułkownik z Ottawy, nadać dowódcy stacji odznakę honorową polskiego pilota. Międzynarodowa konferencja złożona z kanadyjskiego pułkownika i polskiego kapitana ustaliła, że Polacy wezmą wyjątkowo udział w uroczystej paradzie, przy czym bez względu na kursy których są słuchaczami wystąpią jako odrębna polska eskadra, wykonywać będą musztrę polską, i pomaszerują czwórkami (brytyjczycy maszerują trójkami). Mnie jako staremu piechociarzowi kazano poprowadzić ten oddział do defilady. Próżno tłumaczyłem, że w ciągu dwu lat służby w Brygadzie Karpackiej ani razu nie miałem możliwości defilowania. Po wymianie okolicznościowych przemówień na temat polsko-kanadyjskiego braterstwa broni, udekorowany i dekorujący pułkownik, obaj siwi jak gołąbki, stanęli na trybunie by odebrać defiladę. Na czele szeregów szkoły maszerowała jak zwykle panińska orkiestra z kobzami. Wiatr tego dnia wiał potężny, sukienka pięknego kapelmistrza, fruwała wysoko nad kolana,



setki par oczu kadetów na placu i pułkowników na trybunie zastygło w niemym zachwycie. Zaraz za kapelą panienek poszła nasza eskadra, weterani Września, Narwiku, Wogezów, koledzy z Tobruku i Gazali, dawni artylerzyści, piechota, marynarze, ułani, szwoleżerowie, przemienieni od niedawna na lotników. Przed wrześniem za taką defiladę bez przytupu poszlibyśmy na dodatkowe ćwiczenia. Pułkownik kanadyjski łaskawie jednak ocenił ten pokaz musztry polskiej.

W Polsce każdy pułk miał swe pole ćwiczeń, swój Zamarstynów czy Blonia Janowskie, po których biegało się z karabinem w rękę. Tutaj naszym polem ćwiczeń są sale wykładowe i hangary, w których stoją samoloty, gdzie dłubią przy nich mechanicy, gdzie odbywają się niezbędne ceregiele „briefingów”, „dispatch roomów”, cała ta biurokracja, pisanina, telefony i megafony, bez których zamiast nieprzerwanego rytmu pracy maszyn, pilotów, mechaników, uczni — powstałby jeden wielki chaos. To co się dzieje w hangarze, w niczym nie przypomina mi przedwojennego pułku piechoty czy kawalerii. Tam na tle przyrody rżały konie, śpiewali żołnierze, wszystko tchnęło wiejską sielanką. Tu w tej wielkiej hali unosi się smród benzyny, zapuszczone motory samolotów wydają przeraźliwy huk. Co mi to przypomina?... Gdzie było podobnie? Aha, już wiem. Przed wojną pracowałem w porcie gdyńskim, w firmie przeladowującej węgiel z pociągów na statki. Dźwigi unosząc do góry 30-tonowy wagon węgla i wyrzucając jego zawartość do luki statku, wydawały podobny huk. W brudnych, pełnych pyłu węglowego pokoikach siedzieli za biurkami urzędnicy, pisaniną, telefonami, megafonami zgrywali pracę pociągów, maszynistów, statków, dzięki ich pisaninie i decyzjom tysiące ton naszego węgla jakby pasem transmisyjnym wiedzione, nieustannie przewalały się z kopalni na dalekim Śląsku na wagony, które pędziły przez Polskę, z wagonów wędrowały na statki, płynęły w daleki świat. Podobnie teraz dziesiątki wyszkolonych członków załóg bombowych wypuszcza co dwa tygodnie za morza ta kanadyjska szkoła lotnicza. W tej nowoczesnej szkole niemal na nic mi się nie przyda to, czego mnie nauczono kiedyś w pułku piechoty. Znacznie więcej przyda mi się tu praktyka w buchalterii koncernu śląskiego czy w spedycji firmy żeglugowej w Gdyni, gdy dodawałem, mnożyłem i dzieliłem długie kolumny liczb. Głównym bowiem zajęciem nowoczesnego lotnika jest liczenie. Szybko i z precyzją maszyny. Nie rozstaje się on z „kompiutorem”. Jest to genialna maszyna-liczydło, w której zaklęta jest główna wiedza i mądrość Rafu.

— Gdy w roku 1920 chciałeś bracie zginąć za ojczyznę, zaciągałeś się do wojska i po miesiącu byłeś już na froncie — powiada Adam. — Teraz sprawa o wiele się skomplikowała. Teraz musisz się przedtem uczyć latami, cały uniwersytet kończyć.

#### *Pierwszy lot.*

W czasie pierwszego lotu ćwiczebnego mam wystrzelać 400 pocisków z karabinu maszynowego do „rękawa” czyli tarczy o tym kształcie ciągniętej przez drugi samolot. Strzelanie odbywa się nad jeziorem. Prócz kombinizonu mam więc na sobie pas ratunkowy w kształcie nadymanej gumowej kurtki, gdy na nią nałożyłem spadochron, stałem się dwa razy grubszy. W samolocie jest miejsce na dwu strzelców, przydzielono nas trzech, doszedł instruktor, w rezultacie jesteśmy ściśnieni w tym Blenheimie jak śledzie w beczce. W tych warunkach zaraz stwierdzamy że branie z sobą spadochronu jest lipą — w razie czego i tak nikt nie zdąży się wykaraskać z tego ścisku. Z największym trudem przeciskamy się kolejno do wieżyczki strzelniczej z tyłu grata.

Gdy na mnie przychodzi kolej, koledzy muszą mnie do niej wgniatać, jestem bowiem nieco większy od niej. Teraz też dopiero rozumiem, dlaczego komisja lekarska Rafu uznała mnie za niezdolnego do funkcji strzelca pokładowego. Wreszcie większą część mego ciała wspólnym

wysiłkiem wepchnięto do wieżyczki. Karabin maszynowy oczywiście zaraz się zacina, interkom (telefon wewnętrzny w samolocie) nie działa, pilot się niecierpliwi, nim zdołałem wyliczyć „bullet trail” (opóźnienie pocisku zależne od oporu powietrza, szybkości samolotu i kąta nachylenia lufy) to cel znika za złośliwym cumulesem (nazwa chmury). Wreszcie wystrzelałem obie taśmy, koledzy chwytają mnie za kończyny, wyciągają z wieżyczki. Teraz siedzę skurczony w kącie Blenheima, zbyt ciasne popręgi spadochronu cisną mnie niesamowicie, do zapachu spalonej benzyny dołącza się smród prochu, powietrze jest bumpy czyli zaczyna rzucać samolotem, w wyniku czego jadę do Rygi i klnę chwile, kiedy przyszła mi do głowy ponura myśl przeniesienia się z pocziwej broni lądowej do lotnictwa. „Przelewał krew dla ojczyzny”—to brzmi pięknie. Natomiast „rzygał dla ojczyzny” brzmi bynajmniej nie pięknie, a jest znacznie bardziej bolesniejsze.

Trudno się mówi. „Per ardua ad astra”. Teraz dopiero zaczynam rozumieć hasło Królewskiego Lotnictwa.

#### *Pierwsza kraksa.*

No i któregoś dnia przychodzi pierwsza kraksa. Wracamy właśnie z lotu bombowego, gdy nagle widzę, jak pilot coś tłumaczy Bolkowi (stary towarzysz z wyprawy norweskiej) a jednocześnie ciska sterami samolot na przemian w dół i w górę. Dziwi mnie to, w taki sposób jeszcześmy dotychczas nie latali. A już Bolek krzyczy mi w ucho: „Forced landing”. Chwytam za spadochron, polecam duszę Bogu i odkręcam śrubę okienną. Ale samolot się uspokoił w międzyczasie i leci znów gładko, równo. To tylko podwozie nawaliło, nie chce się opuścić, trzeba będzie lądować bez kół. Opuszczamy się nad lotnisko, przelatujemy obok wieży obserwacyjnej, pilot sygnalizuje co się stało. Pilot podprowadza maszynę do lądowania, ale strzelają nam czerwoną raketę — znak zakazujący lądowania. Krążymy nad lotniskiem, znów próbujemy lądować, znów czerwona rakietka strzela w górę. Znow zataczamy koła nad lotniskiem, benzyna jest już na wyczerpaniu, pilot się wścieka, przelatując obok wieży kontrolnej krzyczy i wygraża pięścią niewidzialnemu operatorowi. Dlaczego nam wstrzymują lądowanie? Wreszcie sprawa się wyjaśnia: na lotnisko wjeżdża wielki czerwony samochód straży pożarnej a za nim drugi, ambulans z czerwonym krzyżem. Teraz pozwalają nam lądować. Z hangarów tłumy ludzi wyległy na lotnisko, jest godzina przerwy obiadowej, za darmo można mieć kino—to się w Ameryce lubi. Przepasałem się pasem bezpieczeństwa. Ziemia jest coraz bliżej, już tylko kilkadziesiąt już tylko kilkanaście metrów. W tym ułamku sekundy przychodzi mi przez głowę myśl: no i czy znów nie trzeba będzie pójść do szpitala? Wzdycham do Pana Boga. A jednocześnie czuję wstrząs, słyszę trzask, samolot zarzuca, skręca z runway’u na murawę, sunie po niej chwilę i już leży nieruchomo, bokiem, krzywo. Lewe śmigło przede mną poszło w drzazgi, skrzydło też dostało. Grunt że myśmy jednak cali. Nie zdążyliśmy wyjść z maszyny a tu samochód straży pożarnej już jej dopadł. Tym razem pozostanie bezrobotna. Lekarz z ambulansem też nadjechał wnosi butelkę whisky. Tłum gapiów wyraźnie zawiedziony powoli wraca do hangarów. Gdy zrzuciwszy kombinizon i spadochron zdążam piechotą na obiad do położonego na drugim końcu stacji kasyna, spoglądam na samoloty krążące gęsto po niebie i po raz pierwszy w życiu doceniam przyjemność stąpania po solidnej matce ziemi.

#### *Pierwszy lot nocny.*

Listopad w Ontario potrafi być równie paskudny jak w Polsce. Jest już dziewiąta wieczór, na dworze zawieja, ciemno choć oko wykol. Po całodziennych zajęciach jakże jest miło posiedzieć w kasynie przy kominku, wypić dobrego drinka, poczytać książkę, potem pójść do łóżka. A tu nic



z tego: każą latać. Noc czarna wygląda złowrogo. Aż nie chce się wierzyć że w tę czarną noc pilot da sobie radę, że potrafi poprowadzić maszynę gdzieś tam wysoko wśród tych ciemnych chmur, że trafi z powrotem na lotnisko. Znow przez głowę przelatuje refleksja: nie lepiej ci było zostać w Londynie na posadce w Rubensie?

Jakoś jednak samolot oderwał się od ziemi i prujemy ciemną nocą powietrze. Pod nami lotnisko i stacje świecą setkami lamp, wielkim łukiem reflektoru. Ale nie upłynęło parę minut a już samolot wleciał w chmurę, w gęstą mgłę. Oglądam się za siebie, a tu lotnisko już znikło. Wokoło ciemno. Lecimy na oślep wśród czarnej gęstej masy. Odczuwam strach. Ale to nie jest ten dobrze znany mi lęk, gdy serce żołnierzowi zamiera, gdy słyszy świst nadlatującego nań artyleryjskiego pocisku. Wtedy wiedziałem czego się bałem, w podświadomości wiedziałem jak się zabezpieczyć, muskuły same rzuciły mną o ziemię, nim zdążyłem nerwami wydać im to polecenie. Teraz boję się sam nie wiem czego. Tej nocy czarnej, przestrzeni, oderwania od ziemi?

Nagle z boku dostrzegam niewielkie zielone światełko. Widok jego podnieca mnie przyjemnie. A więc nie jesteśmy sami, gdzieś tam daleko w dole ktoś to światełko świeci. Po chwili stwierdzam, że światełko to się porusza, równoległe do lotu naszej maszyny. Aha, więc to drugi samolot leci koło nas. Żebyśmy się tylko nie zderzyli, trzy miesiące temu był taki wypadek na tej stacji, ośmiu ludzi straciło życie. Aż nagle przychodzi nowe odkrycie: światełko zielone jest po prostu lampką sygnalizacyjną na skrzydle naszego Ansona. Obok nas nikt nie leci. Wokoło samolotu jest tylko czarna masa nocy.

Pilot dotyka ręką szyby, pokazuje mi coś i krzyczy do ucha:

— Icing. Czy nie lepiej wracać?

Wiem z podręcznika meteorologii, że oblodzenie jest wrogiem lotnika Nr. 1, groźniejszym nawet od zaporowego ognia niemieckich dział przeciwlotniczych: stery i śmigła pokrywają się warstwą lodu, pilot traci panowanie nad maszyną, samolot wali się beładnie na ziemię. Już po południu nagle zdążyliśmy zrzucić bomb, bo zaczęło się obladzanie. Nie należy narażać przyjaciół na kłopot pisania nekrologów. Wobec tego na pytanie pilota odpowiadam bez wahania: „Oczywiście wracamy”.

Po pół godzinie siedzę już w ciepłej kasynowej czytelni przy kominku. Zegar wskazuje jedenastą, za chwilę pójdzie się spać, już pora. Po trzech lotach odbytych tego dnia czuję się należycie znużony i senny. Nagle barman wzywa mnie do telefonu. To Australijczyk z dispatch room'u zawiadamia, że mam raz jeszcze latać tej nocy, że oczekuje mnie zaraz w hangarze... Strzałka na zegarze mego samopoczucia wykazuje najgłębszą depresję. I znow wylatuję w czarną, pełną chmur, kanadyjską noc. Naszą załogę wybrali meteorolodzy by sprawdzić, czy obladzanie dalej ma miejsce — nie jest to psie szczęście? Wlatujemy znow w gęstą chmurę nad jeziorem, stwierdzamy szybko istnienie obladzania, odnajdujemy wśród tumanów kłębiących się chmur lotnisko i lądujemy na nim szczęśliwie. Na szczęście po raz ostatni tej nocy.

Nazajutrz czytamy w dzienniku wiadomość, że na sąsiedniej stacji tejże nocy strzaskał się samolot. Załoga złożona z Polaka, Kanadyjczyka, Australijczyka i Anglika zginęła. Powodem wypadku przypuszczalnie oblodzenie. Polakiem był porucznik Styrski, niedawno na własną prośbę przeniesiony z armii lądowej do lotnictwa. Człowiek pełen życia i werwy. Zasepiliśmy się. Oficer łącznikowy, stary lotnik, co ma za sobą, kilkadziesiąt lotów bombowych, nad Niemcy powiedział: „Musicie się do tego przyzwyczaić, tak jest zawsze w lotnictwie. Gdy będziecie w dywizjonie operacyjnym, ani się spostrzeżecie, jak połowy was zabraknie”.

Oczywiście nie zawsze są chmury. Nieraz lata się w jasne, słoneczne dni. Krążymy nad krainą Wielkich Jezior — nie tak odległe są czasy gdy

koczowali tu czerwonoskórzy Indianie. W dali mieni się jasnoblękitna tafła jeziora Huron — to tu rozgrywały się epopeje Coopera i Karola Maya, to tu walczyli dzielny Winnetou, waleczny Old Schatterhand, nieustraszony Sokole Oko. Pod nami gdzieś leży miasto Kingston, sto lat temu tu mieściła się stolica Kanady. Tu po powstaniu listopadowym przybył Polak. Miał w kieszeni pięć dolarów, nie umiał słowa po angielsku. Z czasem stał się sławnym tego kraju obywatelem. Zasłynął jako budowniczy kolei, mostów, dróg, fundatów szkół i stypendiów. Był nim Sir Kazimierz Gzowski, były student Krzemienieckiego Liceum.

Niekiedy lecimy nad sąsiednie Stany. Zabawnie jest zobaczyć Niagarę z lotu ptaka: dumny wodospad wygląda z góry jak szklanka wody wylana na kretowinę. Niekiedy granatowe a czasem błękitne tafle wód kanadyjskich jezior, zieleń pól przyprószone bielą pierwszego szronu, sinobure plany lasów, czerwone dachy zabudowań farmerskich mienia się w promieniach chłodnego, coraz zimniejszego jesiennego słońca, jak mozaika, którą dzieckiem będąc, podziwiał się przed laty. A czasem wylatuje się nad chmury. Ziemia wtedy znika nam z oczu, choć lecimy w biały dzień samym środkiem nieba. Strato-cumulusy pod nami do złudzenia przypominają świeżo spadły tatrzański, puszysty śnieg. Aż ma się ochotę otworzyć drzwiczki samolotu, i skoczyć w ten, głęboki śnieg. Po dwu latach spędzonych w Afryce tęskni się przecież do takiego śniegu. Aż nie chce się wierzyć, że gdzieś tam daleko, hen w dole, pod tym śniegiem znajduje się kula ziemska. Potem przychodzi lot w pogodną noc grudniową, gdy wydaje się że samolot jest zablakany gdzieś między gwiazdami a księżycem, a ziemia pod nami pokryta białym całunem śniegu wydaje się krainą z baśni o królowej Śnieżce. Potem bierze się namiary na gwiazdy, one kierują lotem samolotu, obcuje się z nimi coraz częściej. Nie tylko fizycznie, ale i pojęciami oddalamy się coraz bardziej od ziemi, a zbliżamy się do gwiazd, wszechświata. I powoli latanie zaczyna się stawać miłym zajęciem. Per ardua dochodzimy już ad astra.

Ale najprzyjemniejszą jest wilia „forty eight'u”, czyli dwudniowej przepustki, którą otrzymujemy co dwa tygodnie. Zaraz po zajęciach rozjeżdżamy się na wszystkie strony tej części Ameryki. Programy spędzenia forty eight'u są różne. Można pojechać do Detroit (dwie godziny pociągiem), zwiedzić zakłady Forda. Można pojechać za Detroit, ze 150 mil w głąb Stanu Michigan na polską farmę położoną nad kanionem w którym domki swe budują bobry, na farmę w której wnętrzu zobaczysz polskie książki, obrazy, portrety w ogóle typowy dwór polski przeniesiony na drugą stronę Atlantyku w którym pani domu wita lotników polskich ze staropolską gościnnością. Można pojechać i do Buffalo i do Chicago, gdzie są całe dzielnice mówiące po polsku, gdzie lotnik polski nie przejdzie przez targowicę miejską, by przekupki rodaczki nie obdarowały go zwojami kiełbasy krakowskiej. Można pojechać do Nowego Jorku, zobaczyć światła Broadway'u. W zimiewreszcie pojedzie się w kraj mowy francuskiej do Quebecu w góry Lorentydy na narty.

JAN MROZOWICKI

## PODMINOWANY KONWÓJ

Wieczór i noc zapowiadały się spokojnie; ostatnia depeza nadana światłem przez senior oficera konwoju, nie zapowiadała nic ciekawego. Od trzech dni, nie było nad konwojem ani jednego Focke Wulfa i już prawie zapominało się, jak wyglądają naloty. Pogoda dopisywała jak nigdy; nawet najgorsze „straglery” trzymały dobrze odstęp i odległość,



a sygnalizacja szła dzisiaj sprawniej niż zwykle. Poranne ćwiczenia zwrotów „emergency” wypadły świetnie, jak nigdy dotąd. Commodore był w doskonałym humorze, po południu stał jak zwykle na pelengowym mostku, obserwując razem z kapitanem Stargalskim sygnalizację konwoju. „Odysseusz”, prawdziwe „enfant terrible” konwoju, stary „grek”, ze śmiesznie wysokim i cienkim kominem spisywał się dzisiaj jako tako.

— Po kolacji zagramy w bridge’a — oświadczył Commodore schodząc z mostku.

Partie odbywały się dość rzadko i trwały tylko do zmroku, gdyż podczas trwania blackout’u Commodore nie miał zwyczaju opuszczać mostku. Partnerami oprócz Commodora był starszy mechanik Migalski, drugi oficer Brązowiecki i porucznik szkockiego pułku piechoty Northwood, który jechał na urlop, po dwuletnim pobycie w twierdzy Gibraltarskiej. Commodore grał chłodno, z rozważą, gra toczyła się u niego, jak zadanie strategiczne rozważane spokojnie w ciszy gabinetu. Od czasu do czasu strzelał wspaniałą anegdotą, którą zwykł zaczynać opowiadać właśnie wtedy, gdy któryś z partnerów popełnił jakąś małą gaffę.

Była właśnie godzina ósma wieczorem i sygnalista wachtowy ze sztabu Commodora wszedł sprężystym krokiem i meldował zdanie wachty. Commodore skinął głową i wolno zaczął rozsuwać karty trzymane przez chwilę w ręce; z początku na jego wyrazistej twarzy starszego gentlemana dało się zauważyć pewne zainteresowanie, które stopniowo przechodziło w prawdziwy podziw.

— Dwa piki! — rozpoczął Commodore z nietajonym zachwytem.

— Pas... — smętnie odezwał się Szkot, gdyż była to gra kończąca robra.

— Trzy kiery... — powiedział drugi oficer.

— Cztery trefle — mruknął starszy mechanik.

— Pięć trefli! — tryumfalnie padły słowa Commodora.

— Pięć karo... — licytował drugi oficer.

— Mały szlem w piki, — uroczystym głosem oświadczył Commodore. —

Pan wychodzi — zwrócił się do Szkota.

— Przepraszam Sir — przerwał porucznik Brązowiecki — licytacja jeszcze nieskończona — Wielki szlem w piki!...

Zapanowało milczenie. Twarz Commodora zbladła i zszarzała, oczy zgasty i pociemniały, ręka trzymająca karty zaczęła lekko drżeć, a na czole które się nagle pomarszczyło wystąpiły krople potu.

Jakżeż inaczej wyglądał Commodore podczas ostatniego nalotu na konwój. Gdy duża sylweta drapieżnego Focke Wulfa zbliżała się do statku na odległość strzału, cała postać Commodora nagle odmłodziła, a w oczach zamigotały błyski sportowego zainteresowania. Szybkim ruchem poprawił przekrzywiający się hełm i wyrwał karabin maszynowy z ręki zmierzającego się już do strzału oficera wachtowego. Warknęły krótkie, niezawodne serie, a potem gdy ciężki Focke Wulf odlatywał rzuciwszy bomby między kolumnami konwoju, Commodore stał jeszcze długo przy karabinie, młodzieńczy, pogodny, pieszcząc łagodnie dłonią wygodny uchwyt karabinu.

— Pan wychodzi... — powtórzył teraz, głosem starego zmęczonego życiem człowieka.

Drugi oficer odkrył karty. Twarz Commodora wyrażała teraz maksimum napięcia myśli; powoli rumieńce zaczęły wracać na policzki, a na ustach pojawił się niemal niedostrzegalny, słaby uśmiech. Gra odbywała się w milczeniu. Nieuchwytny uśmiech przybrał prędko wyraz żartobliwy, oczy zabłysły znowu i patrzyły badawczo na twarze partnerów. Ruchy rąk Commodora stały się precyzyjne — każdą nową lewę podkreślał lekkim przytknięciem, układając je systematycznie. Podczas momentów decydujących, które mogły zaważyć na wyniku gry, twarz Commodora przybierała wyraz nieubłaganej zaciętości, która szybko przechodziła w tryum-

falny uśmiech. Wreszcie położył ostatnią lewą. Wielki szlem został wygrany.

Commodore powstał.

— Pierwszy wielki szlem w moim życiu — nigdy nie zapomnę, że wygrałem go razem z oficerem Polskiej Marynarki Handlowej.

Wtem do salonu wszedł pierwszy radiotelegrafista i podał Commodorowi depeszę.

— Z Admiralicji w Gibraltarze Sir... — zameldował.

Commodore przeczytał depeszę i potarł się ręką po czole, wyraźnie poruszony. Depesza była rzeczywiście niezwykajna.

„Na statkach konwoju, które mają ładunek pochodzenia hiszpańskiego znajdują się bomby zegarowe. Wymiary bomb 2 stopy długie 3 cale średnicy. Bomby nastawione są na godzinę 5 rano dnia 9 września. Należy zawiadomić wszystkie statki konwoju”.

Duży kalendarz ścienny wskazywał datę 8 września 1941 roku.

Powoli zapadał zmrok. Morze było spokojne i ciche, na wodzie kładły się rozedrgane mieniące się barwami tęczy ostatnie blaski zachodzącego słońca. Sylwety statków pociemniały i stały się bardziej wyraziste, odcinając od dobrze się rysującego widnokregu. Konwój powoli wchodził w mrok — i wraz z tym mrokiem dawało się wyczuć nieuchwytną a straszliwą, bo niedającą się odwrócić groźbę, która zawisała nad wszystkimi statkami konwoju. Szedł więc „Odysseusz”, jak zwykle źle trzymając stację, a z jego cienkiego komina buchały gęste kłęby czarnego dymu, który ścielił się nisko, opadając na samą wodę.

Szło „Gopło”, z ładunkiem pokładowym na burcie, które już z daleka można było rozpoznać po silnym przechyle na prawą burtę.

Majestatycznie sunęły dwa „Empire’y”, tak do siebie podobne, że można je było rozpoznać tylko po tym, że jeden z nich miał dziób lekko wgnieciony, rezultat jakiejś ciemnej, mglistej, koszmarnej nocy.

Jakiś „Ellerman”, nie wiadomo dlaczego do tej pory z czerwonym, nieprzemalowanym na szaro kominem, wysunął się do przodu o dobre dwie długości i teraz blazował tak głośno, że syk wypuszczanej pary słychać było aż na Commodorskim statku.

Tankowiec „Norweg” i angielski półpasazer, który w ostatniej podróży był Commodorem, trzymali świetnie stację, czujni, uważni, najlepsze statki w konwoju.

I dalej jeszcze długie, ciemne sylwety, które powoli stapiały się razem z mrokiem w tajemnicze niewidzialne widma. Daleko za konwojem, został pewien „Holender”, któremu po południu popsukała się maszyna i teraz dochodził do konwoju. Jeszcze przed chwilą było widać jego sylwetę rosnącą w oczach teraz roztopił się także w nadchodzącej nocy.

Jeden z kontrtorpedowców eskorty podchodził po kolei do każdego ze statków i odczytywał przez głośnik fatalną depeszę. Commodore stał tego dnia dłużej niż zwykle na pelengowym mostku. Jego siwe mądre oczy błędziły z zadumą po statkach konwoju, a na twarzy zamiast uśmiechu zarysowała się chłodna dumna obojętność.

O północy obejmował wachtę drugi oficer. Księżyc był w drugiej kwadrze i cała commodorska kolumna tonęła w jego srebrzystym blasku. Trzeci oficer Zawilski zapisał swoją wachtę w Dzienniku Okrętowym i zeszedł z mostku. Morze było gładkie jak lustro; po obu burtach statku, roztrącana dziobem, przewalała się pienista fala, lekko fosforyzując i ginęła w poświacie księżycy. O godzinie drugiej w nocy, wiatr przeszedł na SE i lekko zmarszczył powierzchnię morza. Przed dziobem commodorskiego statku zygzakował wytrwale kontrtorpedowiec Senior Oficera konwoju; inne okręty eskorty roztopiły się gdzieś na widnokregu, który się lekko zamgłił. O trzeciej godzinie przyszedł z nagła chłodniejszy powiew i zaraz potem, równie szybko jak niespodzianie przyszła mgła.



Naprzód przesunęło się nad konwojem kilka oderwanych pasm mgły, nisko sunących nad wodą, a potem przyszła cała ściana, gęsta, lepka, wilgotna, obrzydliwa.

Porucznik Brązowiecki zagwizdał przez tubę do kabiny Kapitana i zaraz potem wszedł do kabiny nawigacyjnej, gdzie na kanapie spał Commodore ubrany, nawet w płaszczu, z czapką zsunietą na oczy.

— Mgła, Sir... — zameldował.

Kapitan wyszedł na mostek w fatalnym humorze; nie było na świecie rzeczy, która by go bardziej denerwowała niż mgła.

— W takim miejscu — o takiej porze — ładnie się pan postarał... — mruknął do drugiego oficera, i systematycznie zaczął przecierać szkła lornetki.

Commodore kazał co piętnaście minut trąbić numer kolumny i zapalić „słońce” na rufie, — przeszedł się potem parę razy po mostku i wszedł z powrotem do kabiny nawigacyjnej gwizdząc fałszywie jakąś melodię.

Na czwartą godzinę mgła jeszcze zgęstniała i starszy oficer wyszedłszy na wachtę, widział tylko niewyraźny zarys dziobu i mdłe, rozproszone światelko „słońca” na rufie. Mgła oblepiła wilgocią cały statek, osiadła drobnymi kropelkami na ubraniach, wżarła się w mrok nocny i zdawało się, że objęła cały świat i nigdy nie ustąpi. Na mostku trwały znieruchomiałe postaci Commodora, Kapitana i oficera wachtowego. Nikt nie rozmawiał, słowa wydawały się zbędne i niepotrzebne. Najważniejszą rzeczą na świecie był teraz daleki odgłos syreny, albo ledwo dostrzegalne światelko statku, który się za bardzo przybliżył, — i te bomby; niesposób było przecież nie myśleć o nich. Może gdzieś, kilkanaście metrów od mostku w balocie korka, albo w którejś skrzyni drobnicy, złowieszczą wskazówka zegara dochodzi do godziny swego przeznaczenia. Statek z trudem wyznacza sobie drogę przez mgłę do dalekiego kresu swej wędrówki; od początku wojny płynie długą i okrężną drogą do swego ostatniego portu przeznaczenia — do Gdyni. Czy za kilka minut tęsknota oczekiwania i długie miesiące szarej codziennej pracy nie staną się nie-realną mrzonką, nad którą zamkną się fale oceanu?

Zegar w sterówce wybił powoli godzinę piątą. Commodore ocknął się z zadumy i skinął ręką na oficera wachtowego.

— Ile obrotów za ostatnią godzinę?

Nim starszy oficer podszedł do telefonu maszynowego z daleka dobiegł stłumiony huk eksplozji.

— Z lewej burty... — rzekł Kapitan i przez lornetkę zaczął wpatrywać się w mgłę.

Mijały znowu minuty i kwadranse, niezmiernie długie i męczące. Co pewien czas dochodziły z daleka ściszone odgłosy syren okrętowych. Konwój szedł ciągle naprzód.

Mgła przeszła dopiero o godzinie dziesiątej rano. Gdy widzialność polepszyła się już zupełnie, policzono statki. Dwóch brakowało. „Empire a” — tego z uszkodzonym dziobem i “Gopła”. Czy zgubiły się we mgłę? Czy zatoneły od wybuchu? — Czy spotkała je jakaś inna tajemnicza przygoda? — Któż przeniknie tajemnice morskie, o których Bóg wie wszystko, a Admiralicja trochę.

## NAJGORSZE STRONY ANTYSEMITYZMU

## I.

Od czasów biblijnego symbolu „drzewa rozróżniania złego i dobrego” drugą najważniejszą trudnością myśli ludzkiej, a zwłaszcza myśli politycznej, pozostaje zagadnienie odróżniania strony ważnej i czołowej danej sprawy od strony pochodnej i drugorzędnej.

To fałszywe wysuwanie zagadnienia drugoplanowego czy też strony drugoplanowej zagadnienia na miejsce czołowe, występuje szczególnie często w polityce w ogóle, a w polskiej ostatnich dziesiątków lat w szczególności. Dla przykładu przypomnę, że przy ocenianiu polityki zagranicznej Becka mówi się ciągle u nas i u obcych o jego polityce wobec Niemiec, podczas gdy to było w istocie zagadnieniem drugoplanowym. Sprawą bowiem zasadniczą i podstawową dla Polski przed obecnej wojny było zagadnienie polityki wobec Czechosłowacji. Beck et consortes uważali błędnie polską politykę wobec Czechosłowacji za funkcję polityki polskiej wobec Niemiec, podczas kiedy według zasad zdrowego rozsądku i faktycznych polskich interesów i możliwości, polityka Polski wobec Niemiec winna była być funkcją i pochodną naszego stosunku do Czechosłowacji, jako tego podstawowego przedmurza od zachodu polskiej niepodległości. Nie waham się nawiasowo zaznaczyć, że ten sam błąd mylnego, czy odwrotnego ustawiania wagi i porządku spraw widzę w dzisiejszej polityce czechosłowackiej, która na pierwszym miejscu stawia swój stosunek do Związku Sowieckiego, uważając sprawę polską za funkcję tego stosunku, podczas kiedy rzeczywistość jasno wskazuje na to, że dla Czechosłowacji stosunek do Polski, jako tej naturalnej i faktycznej gwarantki czechosłowackiej niepodległości, winien być zagadnieniem podstawowym, którego funkcją dopiero jest stosunek Czechosłowacji do Związku Sowieckiego.

Ten sam objaw wysuwania na czoło strony drugoplanowej sprawy, a przeoczenia strony zasadniczej i najważniejszej, czy najgorszej, ma miejsce przy omawianiu w ogóle, — a ponownie w szczególności w publicystyce i opinii polskiej — zagadnienia antysemityzmu. Mówiąc, czy pisząc o antysemityzmie dla Polaków i w interesie Polaków, wychodzimy normalnie od zagadnień drugoplanowych dla interesu polskiego, bo od omawiania ekonomicznej roli żydów w Polsce, ich cech charakteru czy wpływu kulturalnego, roli w układzie sił politycznych i społecznych, czyli wyłącznie od momentów drugoplanowych, a nie od strony zasadniczej. Strona bowiem zasadnicza, a zarazem najgorsza, antysemityzmu, nie polega, jak ogólnie sądzi się o tym, na przejawach, które związane są z Żydami, czy też trafiają w samych tylko Żydów i ich losy, gdyż ogólnie ludzkie czy światowe *znaczenie antysemityzmu polega na celowej i świadomej deprawacji charakterów narodowych tych społeczeństw, w których szerzą się hasła antysemityzmu.* Jednym słowem wyrażając myśl po prostu, największym złem szerzenia antysemityzmu jest rozkładczy wpływ tej propagandy dla charakteru narodowego, gdyż ze stanowiska danego społeczeństwa szkody wyrządzane drugiej stronie, to jest odnośnemu społeczeństwu żydowskiemu, mają charakter raczej drugoplanowy.

## II.

Zanim jednak przejdziemy do omawiania tego charakteru antysemityzmu, jako moralnej broni rozkładczej w ręku niemieckim, poświęćmy kilka słów dwóm społeczeństwom zachodnim, bądź to intelektualnie dość wyrobionym, bądź o tradycyjnym instynkcie społecznym, jak Francuzi i Anglicy, by naocześnie uzmysłowić różnicę w odnoszeniu się do tego problemu między tymi narodami, a np. rumuńskim z epoki „Żelaznej Gwardii”.



Przy wszystkich bowiem możliwych krytykach nie można odmówić Francuzom jako masie, inteligencji i szybkiej orientacji. Musi być więc wręcz zastanawiające, że mimo wszystkich nacisków niemieckich na rząd Pétaina i działań jego proniemieckich adherentów, wytworzyła się we Francji naturalna i niemal automatyczna forma walki z hitleryzmem, jako opór przeciw antysemityzmowi. Podziemne organizacje francuskie, antyniemieckie czy proaliantkie, rzuciły hasło ukrywania prześladowanych Żydów, a nawet czynnego oporu w ich obronie, a co charakterystyczniejsze, biskupi katoliccy Francji odbyli specjalny zjazd dla narad w sprawie walki z antysemityzmem. Niemniej zagadnienie antysemityczne było w tej części Francji podówczas nieokupowanej sprawą dość podrzędną i godziło raczej w napływowych wojennych emigrantów żydowskich, niż w obywateli francuskich. A przecież sprawa urosła tam do zagadnienia zasadniczego, gdyż przez wrodzony esprit mas francuskie, natychmiast zorientowały się, że przysłowiowy „koń trojański” hitleryzmu: antysemityzm, jest sprawą zasadniczą dla całego narodu francuskiego.

Analogicznie przedstawia się sprawa w społeczeństwie angielskim, przy czym najbardziej charakterystycznym i wyjściowym momentem musi być obserwacja, że na ogół Żydzi nie cieszą się jakąś szczególną sympatią w szerokich kolach angielskiego, czy szkockiego drobno-mieszczaństwa, stanu społecznego, bądź co bądź najważniejszego w Wielkiej Brytanii. Bardzo naiwni i powierzchowni polscy obserwatorzy napotykając te objawy braku sympatii czy nawet niechęci do Żydów, tłumaczą sobie to na wschodnio-niemiecki sposób, jako oznaki, czy zwiastuny antysemityzmu. Tymczasem wręcz przeciwnie: normalnie i zasadniczo Anglik, czy Szkot bez względu, czy darzy mniejszą lub większą sympatią napotykanym na swej drodze żywota Żydom, nigdy nie jest i nie będzie antysemitą, a do metod czynnych, czy dyskryminacji na tym polu w ogóle nie jest zdolny. Wszystkie poważnie w rachubę wchodzące czynniki i jednostki brytyjskich stronnictw i ugrupowań, bez wyjątku i niemal bez prób uzasadniania, potępiają antysemityzm. Jest to po prostu popisowy przykład tej najglówniejszej cechy angielskiego charakteru, to jest wrodzonego Brytyjczykom zdrowego instynktu społecznego, który im mówi, że gdyby dopuścili do siebie tego konia trojańskiego moralnego rozkładu, jakim jest antysemityzm i jego przejawy, to wówczas runęłaby cała moralna, demokratyczna i humanitarna struktura społeczeństwa angielskiego, runęłaby w miarę postępu piękna strona życia angielskiego. Instynkt bowiem społeczny angielski bez wielkich debat i przekonywań, wyczuwał i wyczuwa, że antysemityzm jest przede wszystkim rozkładczym niebezpieczeństwem dla angielskiego charakteru narodowego, a dopiero wtórnie ze stanowiska angielskiego jest czymś co trafia lub trafiać może w interesy i stanowisko żydowskich współobywateli.

### III.

Dla Hitlera i nazizmu hasło antysemityzmu okazało się znakomitym, wyjątkowo szybkim i skutecznym, środkiem moralnej deprawacji charakteru masy niemieckiej.

Okazało się świętą bronią i to bronią używaną z pełną świadomością jej skuteczności. Celem bowiem Hitlera i nazizmu, jasno i otwarcie postawionym, było przerobiecie narodu niemieckiego na bezwzględnie brutalny, krwiożerczy i zaborczy element do opanowania Europy i świata, a to kosztem przekreślenia indywidualnego szczęścia poszczególnego Niemca. By jednak człowieka w jego dążeniach naturalnych i potrzebach serca przekreślić, trzeba go przede wszystkim zdeprawować moralnie, a do tego *nie ma lepszej i bardziej chwytnej broni, działającej skuteczniej wobec swoich i obcych, jak antysemityzm, podniesiony do godności idei*. W ten sposób hitleryzm do wszystkich prusko-zaborczych, a wrodzonych elementów duszy niemieckiej, dołączył z postępem czasu i *tylko dzięki antysemityzmowi*,

jako składnik naczelny, elementy okrucieństwa i barbarzyństwa, wychowywane i narastające na drożdżach antysemityzmu równie dobrze u Niemców, jak w pewnych narodach wschodnio-środkowej Europy, jeśli i o ile temu wpływowi uległy.

Niewątpliwie bowiem obiektywność sądu każe stwierdzić, nawet na podstawie okropności poprzedniej wojny, że ogólny charakter narodowy niemiecki nie wykazywał takiej preponderencji okrucieństwa i masowego barbarzyństwa w okresie przed wychowaniem dla celów obecnej wojny, t.j. od okresu kultywowania antysemityzmu w Niemczech. Jeśli dla każdego dzisiaj jest jasnym, że postępowanie Niemców w czasie obecnej okupacji Polski, czy innych krajów jest do tego stopnia inne, do tego stopnia nieporównanie bardziej nieludzkie, niż w czasach analogicznych okupacji z poprzedniej wojny, to wytłumaczenie leży w jednym jedynym powodzie a jest nim: systematyczne kultywowanie antysemityzmu wśród Niemców, celowe wychowywanie swego społeczeństwa na hasła antysemitickim.

To samo zjawisko występuje i występować musi u wszystkich innych narodów, jeśli chociażby częściowo ulegną działaniu rozkładczemu trucziny antysemityzmu, przy czym niewątpliwie smutna prawda każe stwierdzić, że naloty na szczęście pomniejsze i przejściowe tych skutków antysemityzmu przedostały się także do polskiej psychologii narodowej. Polak XIX wieku, ten Polak, który w okresie powstania styczniowego wykazał w swych dziejach najwyższe napięcie patriotyczne, był dla wszystkich intelektualistów Europy, czy dla ogółu opinii politycznej „wiecznym rewolucjonistą”, zagorzałym liberałem i demokratą, walczącym na wszystkich barykadach świata „o wolność naszą i waszą”. Stanowiła ta opinia powszechna o nastawieniu politycznym Polaka ogromny wręcz kapitał moralny dla sprawy polskiej w całym świecie, a to mimo naszej walki z trzema największymi mocarstwami Europy, kapitał, który niestety straciliśmy, a raczej przetrwoniliśmy w okresie narastania u nas zaborczego nacjonalizmu i szowinizmu, czyli tych objawów, które na wiek XX pozbawiły nas tej powszechnej sympatii, jaką mieliśmy w wieku XIX-tym.

Niestety, by zaznaczyć tak nawiasowo, nie zdaje sobie sprawy dotychczas z tego zwrotu opinii świata o nas własna szeroka opinia narodu polskiego, ani w kraju ani na emigracji. W tym ukwi powód, że n.p. tak świetnie publicystycznie napisany, a tak błędnie ujęty, artykuł I. Matuszewskiego „Wola Polski”, spotkał się swego czasu z tak gorącym przyjęciem u polskich czytelników, a z taką obojętnością u obcych. P. Matuszewski bowiem nie widział i nie widzi w swych rozumowaniach i stwierdzeniach faktu, że Polska XX-go wieku straciła w opinii światowej wiele z tego nimbu postępu i liberalizmu Polaków, który otaczał ją w wieku XIX-tym, a to na skutek szeregu przejawów, między innymi, a może nawet najbardziej między innymi, wskutek nalotów antysemityzmu!

Ogół bowiem opinii światowej wyczuł to w ciągu dziesiątków lat, że na tę piękną i ogólną sympatią świata cieszącą się sylwetkę polskiego rewolucjonisty XIX wieku, padły cienie ujemnych wpływów ze Wschodu i Zachodu. Najpierw będą to echa „ideologii” czarnej sotni Puryszkiewiczza i carskiej ochrony, buntującej Polaków przeciw Żydom, a potem znacznie silniej cienie egoistycznego i eksterminacyjnego nacjonalizmu niemieckiego, nacjonalizmu kulminującego właśnie w antysemityzmie. W ten to bowiem sposób nieznacznie za pośrednictwem szpiegów i podziemnych organizacji, lecz głównie przez inspirację rzekomo ideologicznej strony antysemityzmu, psychologiczna „pięta kolumna niemiecka” poczęła się wdzierać w charakter narodowy poszczególnych narodów, nie oszczędzając swoimi zagonami duszy polskiej.

#### IV.

Chcąc sobie uzmysłowić ten deprawacyjny wpływ antysemityzmu, jako broni w ręku niemieckim, trzeba sobie zdać sprawę zarówno z powszech-



ności w używaniu tego środka przez hitlerizm, jak ze świadomości celu, do którego dążył tą drogą. Hitlerizm bowiem opanowawszy niemal całość Niemiec zabiegał i zabiega o deprawację charakteru narodowego innych narodów za pomocą antysemityzmu, a to wszędzie i we wszystkich krajach, bez względu na to, czy zagadnienie żydowskie tam istniało lub nie, przy czym zawsze posługuje się tymi samymi skutecznymi metodami. Deprawacja hitlerizmu za pomocą antysemityzmu wdierała się bowiem równie dobrze za pośrednictwem „Żelaznej Gwardii” do duszy narodu rumuńskiego, gdzie problem żydowski odgrywał i odgrywa dużą rolę, jak równocześnie np. do Szwecji, gdzie Żydzi i ludzie pochodzenia żydowskiego nie stanowili nawet 1 pro mille, a więc tyle co np. Czesi we Francji. Oczywiście cały ten deprawacyjny zabieg uzupełniała propaganda i „nauka” niemiecka gadkami o niebezpieczeństwach ekonomicznych, kulturalnych itd., itd., posiłkując się przy tym stale — adaptowaną stosownie do okoliczności — teorią rasizmu, której chyba żaden intelektualnie wyrobiony człowiek na serio brać nie może, skoro Anglicy, Amerykanie i Francuzi są typowymi narodami mieszaniczymi, a np. w Polsce studenci żydowscy wykazywali 27% typu nordyckiego w odróżnieniu do antropologicznie najczystszej w Polsce rasy — Cyganów!

Skoro jednak rzeczywisty przebieg wypadków wykazuje że ten prymitywizm środków antysemitycznych osiągnął swoje rezultaty i to rezultaty w Europie rozpowszechnione, to powód tkwi nie w jakichś istotnych trudnościach ekonomicznych, czy „wpływach destrukcyjnych” elementu żydowskiego wśród innych narodów, ale w fakcie bardzo smutnym ale bardzo zasadniczym. *Antysemityzm mianowicie apeluje do czynników bardzo konkretnych, a mianowicie do tych stron ujemnych, do tych tendencji nieetycznych, które istnieją w duszy człowieka.* Wychowanie społeczne lub religijne narodów demokratycznych osłabia te tendencje czy inklinacje ujemne, natomiast hitleryzm agitacją antysemityczną wzmacnia, rozwija te czarne strony charakteru ludzkiego, co więcej podnosi je do piedestału zalety, czy cnoty narodowej. To zaś ogólnie ludzkie podłoże antysemityzmu stanowi istotę sprawy bez względu i niezależnie od strony drugoplanej, a więc mniejszej lub większej słuszności zarzutów politycznych, ideologicznych i ekonomicznych, jakie można postawić elementowi żydowskiemu.

W tym tkwi powód i racja, dlaczego protest psychologii francuskiej przeciw antysemityzmowi, jest przede wszystkim dowodem inteligencji mas, a protest mentalności brytyjskiej jest dowodem rozsądku i zdrowego instynktu społecznego. Człowiek inteligentny, a tym bardziej człowiek rozumny, pojmuje odruchowo, że nie można głosić kultu nienawiści, jakiegokolwiek w ogóle człowieka, a równocześnie stwierdzać na kazalnicy i w prasie rację etyki chrześcijańskiej i zasadę miłości bliźniego. Nikt z tak imponującą siłą charakteru, jak właśnie Papież Pius XI nie głosił, że antysemityzm jest najniebezpieczniejszym wrogiem etyki chrześcijańskiej. Nie waham się też stwierdzić, że gdy grzmiał piorunami słowa na rasizm i z niego wypływający antysemityzm, to walczył nie tylko o dobro Żydów, ale przede wszystkim o ratunek rzeczy dla niego najistotniejszej i najdroższej, bo etyki chrześcijańskiej, dla której każda aktywność antysemityczna jest śmiertelnym i najniebezpieczniejszym wrogiem.

## V.

Największe jednak niebezpieczeństwo kultywowania antysemityzmu kryje się nie tylko w stronie etycznej, w fakcie deprawowania charakterów narodowych, ale również w stronie politycznej tej sprawy. Nikt jaśniej nie zdawał i nie zdaje sobie sprawy z tej politycznej celowości posługiwania się antysemityzmem, jak nazizm i kierownictwo partii hitlerowskiej.

owody na fakt, że hitleryzm stosuje antysemityzm jako broń świadomie używaną do politycznego rozkładania innych narodów, można by cytować nie tylko stronicami, lecz całymi tomami wypowiedzeń. Najjaśniej jednak może to wypowiedział i zdefiniował tę stronę sprawy znany Gruppenführer S.S. Werner Best na konferencji dla szefów S.S. z 27 lipca 1943, której treść podała szwajcarska „Weltwoche”. Best stwierdził z całą jasnością: „Sprawa żydowska jest dla nas dynamitem za pomocą którego rozsadzamy fortecę, do której schronili się ostatni obrońcy liberalizmu. Narody, które porzucają sprawę żydowską, porzucają tym samym swój ideał wolności. Od tego momentu wiemy już, że stały się dojrzałe do brania udziału w walce o nowy świat”, czyli o ten „nowy porządek”, który tak dobrze znamy z sytuacji w naszym General-Gubernatorstwie.

Jasne to i bezceremonialne wypowiedzenie Besta, wygłoszone w charakterze ideowego instruktora najistotniejszej komórki nazizmu, nie pozostawia cienia wątpliwości, że akcja antysemityzmu na terenie innych narodów i państw jest dla Niemiec narzędziem w walce o polityczne opanowanie, narzędziem, używanym z całą świadomością swego celu i ewentualnych skutków dla preparowanych przez antysemityzm narodów.

Gdybyśmy bowiem na chwilę chcieli uwierzyć, że infiltrowanie antysemityzmu u obcych jest dla nazizmu wykonywaniem jakiejś misji ideologicznej w świecie, to musielibyśmy dojść do stwierdzenia, że hitlerowski Niemcy, uważając element żydowski za największe zło dla danego narodu, pomagają, a nawet zmuszają Polaków do oczyszczania się z wszelkiego kontaktu z tym elementem, właśnie celem wzmocnienia ich siły i trzonu narodowego! Jeśliby Żydzi, jako tacy, sami przez się — w zgodzie z tym co Niemcy głoszą, byłiby tym elementem rozkładczym i osłabiającym dany naród, to przecież oczywiście, — jeśli chodzi o ich zdecydowanych wrogów jak Polacy i Francuzi, powinni Niemcy raczej ułatwiać niż utrudniać tę żydowską rozkładczą działalność! Nie wymaga zaś chyba nikt, by piszący czy czytający te słowa uwierzył, że Niemcy przez kultywowanie antysemityzmu u innych pracują z całym wysiłkiem i zapobiegliwością nad wzmocnieniem tężyzny narodowej, np. Polaków i Francuzów. Musi przecież obowiązywać krzta logiki, która wskazuje, że jeśli Niemcy kultywują, zaszczepiają i rozwijają ten antysemityzm wśród innych, to muszą mieć w tym swój cel polityczny, i to cel obliczony na krótką metę.

Cel ten zaś, o ile się na chwilę oderwiemy od całego balastu gadaniny, jakim jest obciążone zagadnienie żydowskie w naszej i obcej opinii i prasie, jest bardzo prosty i przejrzysty. *W pierwszym rzędzie jest to związanie z nazistowskimi Niemcami narodów i ludzi — wspólną zbrodnią, przestępstwem, a choćby nadużyciem.* Dążenie to najlepiej uwidacznia fakt, że Niemcy wprowadzając dziesiątki tysięcy powierników t.zw. treuhändlerów narodowości niemieckiej do polskich przedsiębiorstw i majątków, równocześnie w pomniejszych przedsiębiorstwach żydowskich treuhändlerami robili często Polaków, a najczęściej Ukraińców. Cel zaś wiązania ze sobą wspólną zbrodnią jest również przejrzysty i w wielu wypadkach został osiągnięty, by zacytować np. Litwę, na której przedtem były całkiem dobre stosunki z Żydami, natomiast pod presją niemiecką w ciągu tej wojny, właśnie policjanci litewscy wyręczali Gestapo w mordowaniu Żydów. Słabiej rozwinięte czy mniej uświadomione społeczeństwa ulegają więc tej presji niemieckiej. Dlatego też — chociaż pozornie wydawałoby się to zbyt czyste — musimy stwierdzić z całą dumą, że na tle narodów środkowo-wschodniej Europy, naród polski, najbardziej eskonponowany na tę akcję niemiecką, wychodzi z tej potwornej sprawy mordowania milionów bezbronnych ludzi z czystymi rękami i w zgodzie z swą wiekową tradycją braku mordów masowych wobec swoich i obcych.

Drugim celem również przejrzystym, jest fakt, że kultywowanie antysemityzmu, realizowanie metod eksterminacyjnych, rozruchów pogromo-



rozbite, rozżarte wewnętrznymi nienawiściami i walkami, społeczeństwa, które muszą względnie musiałyby w swej przyszłej egzystencji opierać się o bagnet okupanta lub opiekuna niemieckiego. Jest to inna forma posługiwania się antysemityzmem niż w carskiej Rosji, gdzie był świadomie używany dla zahamowania dążeń wolnościowych. W tym wypadku jednak również Żydzi stanowili stronę drugoplanową dla sprawy głównej t.j. osłabiania własnego społeczeństwa. W ręku natomiast niemieckim ten pozornie drugorzędny bakcyl antysemityzmu stwarza w ten sposób na terenach dziesiątków narodów Europy sytuację, która w każdym powiecie, w każdej małej prowincji, wytwarza konieczność istnienia nadzędnego, władczego czynnika niemieckiego. Jest to kalkulacja niemoralna, lecz trafna, niewątpliwie bowiem już po kilku latach akcji antysemitycznej możemy obserwować objawy skuteczności tej niemieckiej metody. Np. obecna Rumunia obciążana masowymi pogromami żydowskimi, urządzanymi przez Żelazną Gwardię, pogromami z trudem opowanymi częściowo przez conductore Antonescu, wykazywała i wykazuje minimalną zdolność wydotania się z fatalnych dla niej i uciążliwych rządów niemieckich. Natomiast Węgry, właśnie dzięki pewnej dozie biernego oporu, wykazywanego wobec niemieckich nakazów antysemityzmu, umiały długi czas zachować wyższą dozę niezależności, dopóki nie zdolali jej Niemcy przełamać siłą. Niewątpliwie jednak dla każdego znającego węgierski sentyment dla rzeczywistej swej niepodległości, jasnym jest, że w ostatnich wypadkach nie przejawił się on z taką siłą, z jaką należało się spodziewać, a to właśnie wskutek systematycznego rozbijania i osiabiania węgierskiego społeczeństwa niemieckim narzucaniem im antysemityzmu, poprzednio zupełnie Węgom obcego. Ostatecznie zresztą cały faszyzm włoski, który początkowo z pogardą odrzucał antysemityzm (zob. autoryzowane rozmowy Mussoliniego z Ludwig'em) z chwilą podporządkowania się niemieckiemu antysemityzmowi, obniżył się wewnętrznie w samychże Włoszech z groźnego ruchu reakcyjnego do roli ubezwłasnowolnionej przez Niemców — groteski.

Natomiast wręcz odwrotne obserwacje musimy poczynić na terenie innego, intelektualnie i humanitarnie wysoko stojącego społeczeństwa, jakim są Duńczycy. W momencie najazdu niemieckiego Duńczycy w poczuciu swej pełni bezsily, — a poza tym jako naród nawskróś pacyfistyczny, zupełnie nieprzygotowany do stawiania zewnętrznego czy wewnętrznego oporu obcym — nie wykazali jakiejś zdecydowanej na wszystko woli oporu. Podobnie sytuacja układała się w pierwszym okresie wojskowej okupacji niemieckiej. W momencie jednak, kiedy Niemcy swoją okupację i presję polityczną przerwili także na tereny wewnętrzne, zwracając się swym utartym szlakiem antysemityzmu przeciw garstce Żydów w Danii, to wówczas za osobistym przykładem i inicjatywą Króla Christiana, duch oporu wobec niemieckich metod zaczął się przejawiać u Duńczyków coraz silniej, a dziś występuje z taką intensywnością, jak w krajach, które uległy dopiero po krwawej wojnie.

Ramy artykułu pozwalają nam tylko rzucić przykłady z zakresu tych problemów, które niewątpliwie znajdują kiedyś odpowiedź w wyczerpującym studium, wykazującym, jak *szczępienie i szerzenie antysemityzmu niestychanie osłabia i rozsądza siłę moralną danego narodu i jego zdolność oporu*. Propagatorzy antysemityzmu, grając dla swych innych celów politycznych na najgorszych instynktach ludzkich i na braku orientacji elementów intelektualnie słabszych, starają się zagłuszać ten jaskrawo występujący objaw naiwnymi argumentami i przykładami. Niemniej to nie zmienia faktu, że najgorszą stroną antysemityzmu stanowi jego rozkładczą siłą wewnętrzną, działającą szybko wśród narodów i społeczeństw, które się podporządkowują działaniu tego bakcyła.

Etyka masy jest sprawą integralną i niepodzielną tak samo, jak sprawa pokoju czy bezpieczeństwa. Mała luka, którą mogłoby się stać np. kilka tysięcy prześladowanych Żydów w Szwecji, musi wytworzyć w danym narodzie w razie przyjęcia metod antysemitycznych z czasem, i to względnie szybko, przepaść podrywającą całą strukturę i sytuację państw, nawet potężnych. Integralność bowiem etyki narodowej, czy masy nie dopuszcza najmniejszych wyłomów w konsekwentnej całości zasad, a jeden wyłom na jednym małym odcinku musi w przeciągu lat czy dziesiątek lat, nie mówiąc już o wiekach, zaciążyć na całym ustawieniu ideowym, a tym samym na losach i dziejach danego narodu. Na uzasadnienie wystarczy może uzmysłowić sobie jeden jedyny przykład.

Dziesiątki ekonomistów wypisywało rozprawy, wykazujące, że południowe stany Ameryki wpadną w beznadziejną ruinę gospodarczą bez niewolniczej pracy Murzynów. Sfory polityków udowadniały że zasady wolnościowe Washingtona i „prawa człowieka” ludzi białych będą nadal istnieć i rządzić w Stanach Zjednoczonych mimo bata nad grzbietami niesamowolnych Murzynów. Niemniej jednak, a wbrew tym wszystkim dziś już całkowicie zapomnianym wywodom, jasnym jest obecnie dla każdego rozsądnego człowieka, że Stany Północnej Ameryki nigdy nie stałyby się tą potęgą światową, ekonomiczną i polityczną, nigdyby nie odegrały w dziejach swojej roli obrońców ludzkiej wolności z czasów Wilsona i Roosevelta, gdyby ten mały kamyk ideologiczny niewolnictwa Murzynów byłby się w Ameryce dłużej, czy do dziś dnia utrzymał. Ameryka, czy Stany Zjednoczone Ameryki, tolerujące niewolnictwo czy upośledzenie jakiegokolwiek rasy, musiałyby być i *byłyby niewątpliwie*, nawet mimo całej wspólnoty językowej i kulturalnej ze światem angielskim — *automatycznym sprzymierzeńcem Hitlerizmu* i jego ideologii. *Ameryka tolerująca niewolnictwo Murzynów musiałaby być dla półkuli zachodniej tym, czym są Niemcy dla półkuli wschodniej.* Etyka bowiem i zasady praw człowieka są w dziejach ludzkości wartością tak dalece integralną, że jeśli się w niej dopuści do najmniejszej chociażby luki w formie tego „trojańskiego konia” antysemityzmu, musi runąć beznadziejnie cały gmach ideologiczny i polityczny.

W tej to absolutnej konieczności istoty ludzkiej, w tej koniecznej integralności etyki politycznej, tkwi najgorsza strona, największe zło antysemityzmu. *Dla sprawy bowiem antysemityzmu nie są decydujące, czy też pierwszoplanowe takie czy inne, słuszne lub niesłuszne, zarzuty pod adresem Żydów, ich roli i sytuacji.* Są to szczegóły, które z całą humanitarnością i powołaniem regulował wiek XIX, bądź co bądź jako całość daleki od tych objawów barbarzyństwa masowego, które widzimy dzisiaj na kontynencie europejskim wieku XX-go.

Z tego to powodu jest obowiązkiem każdego intelektualnie wyrobionego patrioty polskiego przekonanie swego ogółu rodaków, że szczególnie ze stanowiska t.zw. społeczeństw chrześcijańskich największe zło antysemityzmu tkwi w moralnej deprawacji charakterów danych narodów i w politycznym rozkładzie poszczególnych społeczeństw, kierowanych tą drogą świadomie przez nazizm ku konieczności nadrzędnego niemieckiego regulatora. Rozumie to dzisiaj na Zachodzie każda politycznie i moralnie uświadomiona jednostka, poczyna przyświecać ta świadomość klerowi francuskiemu, ale chyba najsilniej i najbardziej przejawia się wśród przedstawicieli czołowych wszystkich bez wyjątku wyznań chrześcijańskich w Wielkiej Brytanii, które zawsze przodują i zawsze naczelnie firmują tę ideową walkę z wrogiem chrześcijaństwa—antysemityzmem.

W chwili zaś obecnej ze spokojem i poczuciem prawdy możemy już stwierdzić, że w tym społeczeństwie, które mnie przede wszystkim obchodzi — w polskim, coraz bardziej uwidacznia się zwycięstwo tej zdrowej



myśli, że *walcząc z antysemityzmem, walczymy nie tyle o Żydów i ich prawa, ile przede wszystkim o własne zdrowie i siłę polityczną polskiego narodu*. Faktem jest, że ta klęska antysemityzmu w duszy polskiej nie odbyła się bez wpływu ze strony wstrząsu moralnego, którego doznał naród polski na widok milionów Żydów mordowanych na ziemiach polskich. Jednym z najpiękniejszych, czy symbolicznych przejawów tego wstrząsu, jest fakt, że Jan Mosdorf, inicjator O.N.R.'u, został przez Niemców rozstrzelany w Oświęcimiu pod zarzutem bratania się z Żydami.

Jesteśmy bowiem nie tylko narodem w pełni humanitarnym, narodem przepełnionym normalnym odczuwaniem ludzkim, ale narodem uczuciowym. Zbliżenie się do polskiej duszy narodowej drogą sentymentu było zawsze łatwiejsze i szybsze niż za pomocą argumentacji, zwłaszcza, że okłamywana od wieków frazesem, od dziesiątek lat zwodzona była ta dusza i myśl polska na manowce przez błędne, a błyskotliwe hasła szowinizmu z końca XIX a zwłaszcza XX wieku. Jeśli szybko zawracamy wszyscy z tej drogi, to dlatego że wobec Polaków droga przez serce do rozumu, jest krótsza niż przez rozum do serca.

Nie jest więc ujmą lecz tylko stwierdzeniem szybszego tempa fakt, że właśnie tak niebywała w ciągu całych dziejów ludzkich potworność antysemityzmu, jaką był mord milionów bezbronnych ludzi na polskiej ziemi wytłumaczyła lepiej od setek broszur, czy artykułów duszy narodu polskiego że walka z antysemityzmem, to walka o własną siłę moralną i polityczną, to walka o humanitarną harmonię normalnie czujących ludzi.

M. K. DZIEWANOWSKI

## AKTUALNOŚĆ CZARTORYSKIEGO

Książę Adam Czartoryski, zasiadając do pisania swego „*Essaysur la diplomatie*” przypuszczał że będzie ono zamknięciem i syntezą myślową jego pracy publicznej.

Rzeczywistość wykazała, że książę zakończył dopiero pierwszy okres swego życia i swej działalności, że zaledwie przekroczył, jakby powiedział Dante „*mezzo camin del vita*”, a był w przededniu nowego etapu.

Urodzony w roku 1770, w 1823 miał książę Adam lat 53 wyjątkowo intensywnego żywota. Student Uniwersytetu w Edynburgu, uczestnik kampanii roku 1792, kawaler orderu *Virtuti Militari*, początkowo zakładnik na dworze Katarzyny a następnie adiutant młodego następcy tronu — Aleksandra, nie mógł się uskarżać na młodość spokojną i monotonną. Potem przyszło parę lat posłowania na dworze sardyńskim, zamaskowana forma wygnania wymyślona przez cara Pawła, obawiającego się zbyt wielkiego wpływu polskiego adiutanta na syna; śmierć Pawła przynosi księciu odwołanie i nominację na Kuratora Okręgu Szkolnego Wileńskiego, a wreszcie w roku 1804 niemal wymuszone przyjęcie stanowiska Ministra Spraw Zagranicznych Rosji, zakończone dobrowolną rezygnacją w dwa lata potem. Dość dziwne to było zresztą ministrowanie, gdyż książę podjął się piastowania tej godności pod warunkiem niebrania pensji i nieotrzymywania orderów — jedyny chyba tego rodzaju wypadek w historii. Ustupując ze stanowiska ministra Czartoryski zatrzymuje jednak kuratelę szkolnictwa polskiego na ziemiach zabranych, na którym to stanowisku dokonał dzieła, według opinii Nowosilcowa, o pięćdziesiąt lat opóźniającego rusyfikację tych ziem. Lata między 1806-1823 — to próby wpływania na sprawę polską za pomocą wykorzystywania wpływu jaki posiadał na cara Aleksandra sugerując rozwiązanie sprawy polskiej przez związanie wszystkich ziem Rzeczypos-

politej z Rosją przez unię personalną a zapewnienie tym ziemiom swobodnego rozwoju przez nadanie swobód konstytucyjnych.

Kongres Wiedeński a potem pierwsze lata Królestwa Polskiego zachwiały nadziejami księcia na możliwość pełnego urzeczywistnienia jego planów współpracy polsko-rosyjskiej. Po okresie nadziei, zapału i iluzji, wypełnionym intensywną pracą polityczno-dyplomatyczną, przychodzi okres zniechęcenia, rozczarowania, pragnienia spokoju i odpoczynku. Książę próbuje wycofać się z bardziej czynnego życia politycznego, zaczyna zbierać bibliotekę, więcej koncentruje uwagi na kurateli nad szkolnictwem W. Księstwa Litewskiego i Wołynia, dla poratowania zdrowia podróżuje za granicę: do Włoch, Francji, Szwajcarii i Niemiec. Gdy jest w kraju dużo przebywa w Wilnie. Styka się z braćmi Śniadeckimi, Zanem i Mickiewiczem. Dużo, bardzo dużo czyta, porządkuje swe notatki. Wreszcie zaczyna pisać.

Owoce tej pracy jest właśnie „Essay sur la diplomatie”, główne obok pamiętników dzieło pisarskie księcia Adama.

„Essej” został ukończony w roku 1827, a pierwsze wydanie ukazało się drukiem w czerwcu roku 1830, na półkach księgarskich zaś znalazło się — na skutek trudności czynionych przez cenzurę francuską — dopiero w sierpniu, a więc już po rewolucji i to w Marsylii, pod pseudonimem Filohelena.

Punktem wyjścia analizy współczesnej dyplomacji europejskiej, bo ta część książki jest najbardziej aktualna, są dla autora doświadczenia Kongresu Wiedeńskiego.

Niepowodzenia Napoleona spowodowane były — zdaniem Czartoryskiego — nieporozumieniem istoty moralnej i politycznej Europy, z którą można współpracować w imię pewnych zasad, ale której jedno mocarstwo nie może narzucić trwale swej woli, gdyż próby takie zawsze doprowadzą do kryzysu i wojny jednoczącej większość kontynentu przeciwko państwu usiłującemu ugruntować swą hegemonię.

Sprzymierzeni pokonali Napoleona, mając na ustach hasła poszanowania praw Europy, skłonni byli jednak zapomnieć o tych hasłach z chwilą gdy poczuli się panami sytuacji. Przyrzeczenia dawane w okresie słabości stały się dla nich niewygodne i krepujące.

*„Łatwość powiększenia i zaokrąglenia swych terytoriów — czytamy — popchnęła ich do popełnienia na małą skalę tych samych niesprawiedliwości, jakie Napoleon dopuszczał się na wielką...”*

Co więcej, z chwilą gdy minęło niebezpieczeństwo dotychczas zgodne ze sobą mocarstwa spostrzegły, że mają wręcz sprzeczne interesy. Niepamiętni wspaniałych obietnic i deklaracji składanych przy byle okazji, cztery Alianci, ledwo uniknąwszy wojny pomiędzy sobą, zabrali się do dzielenia Europy na sfery wpływów, bez oglądania się na dążenie i pragnienia poszczególnych narodów.

Opinia Europy, początkowo olśniona sukcesami koalicji, ocknęła się i poprzez kontynent przebiegać zaczął pomruk niezadowolenia a coraz częściej pojawiać się zaczęły głosy krytyki.

W takiej atmosferze obradował Kongres Wiedeński.

Chociaż zapominano o dawnych przyrzeczeniach i oświadczeniach słowa: „prawo narodów” i przestreganie zobowiązań” pojawiały się od czasu do czasu w tekstach dokumentów Kongresu, gdyż — „taka jest siła wywierana na ludzi przez idee prawa, iż nawet ci co go gwałcą odczuwają nieprzepatą potrzebę powoływania się na nie”. „L'hypocrisie est l'hommage rendu par le vice à la vertu”.

Mocarstwa nadające ton Kongresowi nierozumiały — zdaniem księcia — roli małych narodów widząc w nich tylko statystów, a nie współtwórców i współuczestników porządku europejskiego, niezbędnych czynników harmonijnej współpracy międzynarodowej. W gruncie rzeczy — stwierdza



on — to mniejsze państwa decydują o równowadze, gdy siły wielkich mocarstw są niemal równe, a nawet małe przesunięcie może zadecydować o równowadze.

Krytykując obrady Kongresu Wiedeńskiego autor „Essay sur la diplomatie” formułuje zadania dyplomacji, tak jak je sobie wyobraża w wyniku swych doświadczeń. Świat może się pomyślnie rozwijać pod warunkiem istnienia dłuższych okresów pokoju, a przedłużenie tych okresów stanie się bardziej prawdopodobne pod warunkiem powrotu do idei sformułowanych przez Henryka IV i Elżbietę, „Idei ligi europejskiej”, czyli zespołu narodów równouprawnionych, współpracujących z sobą na zasadach dobrowolnej kolaboracji, w oparciu o ideały sprawiedliwości chrześcijańskiej. Celem ligi europejskiej winno być zepewnienie bezpieczeństwa poszczególnych jej członków, warunek swobodnego rozwoju cywilizacyjnego narodów, trwale zaś bezpieczeństwo osiągalne jest pod warunkiem wprowadzenia do życia międzynarodowego zasad moralności chrześcijańskiej. Mediacja i arbitraż winny być środkami likwidacji sporów powstających pomiędzy członkami „Ligi”, żaden zaś spór nie jest nie do rozwiązania jeżeli po obu stronach istnieje dobra wola pokojowej jego likwidacji. Czartoryski jest zwolennikiem kodyfikacji prawa międzynarodowego, które — jego zdaniem — winno być odbiciem prawa moralnego zastosowanego do życia między narodami. Zgadza się on tutaj z poglądami Herberta Agara, iż „polityka jest etyką stosowaną” — „Politics is applied ethics”.

Tak małe jak i wielkie państwa mają te same podstawowe prawa do życia i rozwoju swych właściwości narodowych. Ponieważ jednak mniejsze państwa mogą zapewnić prawdziwą niepodległość jedynie mając dla jej poparcia odpowiednią siłę książę Adam występuje z ideą wiązania się mniejszych i słabszych państw w federacje i konfederacje. „Europa — pisze on — ma nawet prawo żądać tego od nich ponieważ jest to jedyna droga przez którą mogą one skutecznie przyczynić się do urzeczywistnienia szczęśliwego i pomyślnego funkcjonowania wspólnoty europejskiej. Konfederacje i federacje państw są o tyle pożądaną formą związków państwowych, że siła ich jest czysto obronną i z natury swej może zagrażać większym mocarstwom”.

Formuła autora „Esseju” jest tu bardzo zbliżona do tej, jaką wysunął Pierlot: „Independence without isolation”. „System federacyjny chroni małe państwa przed zachłannością wielkich bez uszczerbku dla ich interesów narodowych i bez utraty ich narodowej osobowości” — pisze — Czartoryski. „Narody o różnym pochodzeniu i języku mogą się zbliżać, popychane ku temu wspólnymi interesami, a tworząc związki oparte na uwzględnieniu swych podstawowych interesów, tworzyć siłę, która zapewni im stanowisko godnych partnerów w rozmowach z większymi mocarstwami”.

Omawiając rolę wielkich mocarstw, książę Adam dochodzi do wniosku, iż Wielka Brytania jest w rzeczywistości tym państwem które najmniej odbiega od tych zasad, jakie chciałby on widzieć przestrzegane przez inne państwa. W ciągu wojen napoleońskich Wielka Brytania walczyła, często niemal zupełnie osamotniona, w obronie praw całej Europy, wykazując konsekwencję, która zyskała jej na kontynencie olbrzymi autorytet i sympatię. Lecz z chwilą, gdy niebezpieczeństwo minęło, a Anglia przebrnęła zwycięsko przez trudności zdawałoby się nie do pokonania, brytyjczy mężczyźni nie umieli, na skutek braku zaufania we własne siły, objąć tego przewodnictwa w zespole europejskim, jaki by się Wielkiej Brytanii słusznie należał, tak ze względu na jej przeszłe osiągnięcia, jak i możliwości przyszłe.

„Historia będzie musiała kiedyś podkreślić ze zdziwieniem, że po upadku Napoleona Anglia nie zdawała sobie zupełnie sprawy z obowiązków, ale też i z korzyści położenia w jakim postawiło ją zwycięstwo. Nie tylko nie

odegrała ona roli, do której była powołana, ale można powiedzieć, iż nie odegrała w ogóle żadnej roli". Uczyniwszy olbrzymi wysiłek dla uratowania się i udzielenia pomocy innym członkom Koalicji, w chwili zwycięstwa nie miała ona nic do powiedzenia w sprawie organizacji kontynentu europejskiego. Fakt ten książę Adam tłumaczy zmęczeniem i wyczerpaniem wojną, co spowodowało, iż fala pesymizmu zalała Wyspy Brytyjskie, każąc wierzyć odpowiedzialnym przewodcom narodu, iż stoi on wobec katastrofy finansowej i gospodarczej a zbiedniały na skutek wojny nie może pozwolić sobie na zbyt ryzykowną politykę. Tymczasem wbrew przewidywaniom pesymistów i obawom optymistów, najbliższe lata przyniosły Anglii wielką rewolucję gospodarczą i społeczną, która stwarzając nowe podstawy bogactwa, wywołała jednocześnie daleko idący ferment i przetasowanie struktury społecznej, w wyniku której rządząca warstwa ziemiańska przepoczwarzyła się na ziemiańsko-przemysłową. Proces ten, stwarzając nowe możliwości gospodarcze i nowe źródła potęgi, w wyniku jednak przemian społecznych absorbujących siły kraju na problemy wewnętrzne przeszkodziły — zdaniem księcia — w podjęciu się przez Wielką Brytanię tej roli, do jakiej była ona predestynowana. Nowa warstwa rządząca wyłaniała się powoli a potrzebowała czasu aby skrzepnąć.

Pomimo tego Anglia była na Kongresie tym państwem, które najsilniej podkreślało prawa innych narodów adoptowania ustrojów odpowiadających instyktom i tradycjom, sprzeciwiała się interwencji późniejszego „świętego przymierza” w wewnętrzne sprawy poszczególnych narodów, starając się możliwie liczyć z wolą zainteresowanych ludów.

„Wielki naród brytyjski — pisze autor „Esseju” — odznacza się tymi wszystkimi zaletami i wadami, które wypływają z faktu, że miliony jednostek składające się na ten naród, zostały uformowane z tej samej gliny: ministrowie, wielcy panowie, politycy, mówcy, uczeni, literaci, kupcy, sklepikarze, przemysłowcy czy robotnicy wszyscy oni i każdy z osobna, gdy postawieni w najbardziej rozmaitych sytuacjach, działają w ten sam sposób, podobnie myślą i zdradzają podobne odruchy, zawsze mając na myśli interes narodowy, którego nigdy nie są zdolni stracić z oczu. I to stanowi elementarną siłę Anglii”. Z punktu widzenia jednak świata zewnętrznego dążenia angielskie mieszania się i wydawania wyroków na innych, przy jednoczesnej tendencji do izolacjonizmu, a więc do wydawania sądów bez popierania sprawy słusznej aż do chwili gdy niesprawiedliwość zagraża bezpośrednio interesom brytyjskim, jest i była w przeszłości jedną z gróźb Europy. W normalnych czasach Anglia nie docenia swej siły, a świadomość jej możliwości narzucana jest koniecznością stawiania czoła niebezpieczeństwu. Stąd też — stwierdza autor „Esseju” — okresy pokoju są okresami słabości Anglii, a okresy słabości Anglii są chwilami niebezpieczeństwa dla całej Europy.

Spoglądając na kontynent europejski, książę Adam trafnie przewidział wielką rolę Stanów Zjednoczonych w przyszłym świecie, widząc w nich potencjalnego obrońcę zasad wolności i sprawiedliwości. „*Nowy świat — pisze on — głosi zasady, po których możemy sobie wiele obiecywać, a doktryny emanujące z Waszyngtonu zdają się otwierać nową erę historii dyplomacji*”.

Wiele miejsca poświęca autor „Esseju” Rosji i jej roli w świecie.

Uwagi jego są tym ciekawsze, iż całe życie księcia było funkcją stosunku do Rosji. Poprzez kampanię roku 1792, „internowanie” na dworze Katarzyny, adiutanturę przy Aleksandrze, z której wynikał przyjaźń z młodym następcą tronu, a następnie „Carem Wszechrosji”, posłowanie na dworze sardyńskim, a następnie piastowanie przez dwa lata teki rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, poprzez niemal dziesięć lat sprawowania nieoficjalnych funkcji doradcy politycznego i dyplomatycznego cara, stosunek księcia wobec Rosji przechodzi od woli współdziałania poprzez fazę opozycji, aby przerodzić się  *nolens volens* w otwartą walkę,



do której zmuszą go wypadki powstania listopadowego, a potem emigracja. Tak więc w ciągu 90-ciu przeszło lat życia książę przeszedł przez okresy zmian rewolucyjnych: od żołnierza walczącego z Rosją, zakładnika, polityka próbującego współpracy i pojednania, opozycjonisty, a wreszcie członka rządu rewolucyjnego, by stać się w ostatniej fazie swego życia przewodcą ruchu emigracyjnego, ruchu politycznego, nadzieje swe bazującego na zbrojnej interwencji mocarstw europejskich przeciwko Rosji. Głębokie studia i dogodność punktu obserwacyjnego pozwalały księciu na zdobycie gruntowniejszej i szerszej znajomości zagadnienia, niż mógł ją mieć jakikolwiek dyplomata współczesny: nie będąc Rosjaninem miał on możliwość na patrzenie na Rosję i Rosjan z bliska, niemal od wewnątrz, dostępne mu były wszystkie dokumenty państwowe, niemal wszystkie tajemnice stanu. Stąd też był on w stanie formułowania opinii, których autorytet jest z natury rzeczy większy niż jakiegokolwiek z ówczesnych obserwatorów. To jedna strona medalu. Z drugiej strony pamiętać musimy że był on, jak wielu z tych co raz zawędrowawszy na bezmierne obszary Rosji, podświadomie ulegają jej fascynującemu wpływowi. Czar ten nie opuszcza tych ludzi zarówno w chwilach gdy szczerze pragną współpracy z bratnim narodem słowiańskim jak i wówczas gdy zmuszeni są przeciwstawiać się jej zaborczym dążeniom. Sugestia masy, wielkich przestrzeni, bezmiar... Dlatego to związek z Rosją ciążył na księciu przez całe życie. Pod jej urokiem albo w walce z nią, płynęło całe jego życie — od młodości, od pierwszej służby wojskowej aż do ostatnich wysiłków przedśmiertnych.

Gdy pod wpływem zmiany orientacji polityki rosyjskiej i porzucenia przez Aleksandra realizacji wspólnie układanych z księciem planów dotyczących Polski, Czartoryski po dwóch latach ministrowania, w 1806 r. ustąpił ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, złożył carowi „Memoriał o systemie politycznym”, jakiego trzymać się winna Rosja. W memoriale tym sformułował ideę związku Polski z Rosją, „na podstawie systemu, w którym by istniała harmonia przyrodzona między prawem słuszności a interesem obu krajów”. Harmonię tę dostrzegał w szanowaniu praw narodowych Polski, zagwarantowanych konstytucją i dostosowaniu polityki zewnętrznej imperium rosyjskiego do nowych założeń. Memoriał stwierdzał iż probierzem szczerości postawy rosyjskiej wobec Europy jest stosunek do Polski. Ta sama idea przeprowadzona jest w „Esseju”.

„Pojawienie się Rosji w Europie, pożądane i potrzebne pod warunkiem przestrzegania przez nią prawa słuszności i sprawiedliwości, stało się fatalnym źródłem nowych komplikacji w wyniku dokonanych przez nią aktów agresji...” „Rozszerzywony swe panowanie na południe i na zachód, będąc z natury rzeczy niedosiągalną ze wschodu i z północy, Rosja stała się źródłem stałej groźby dla Europy...”

Czy zdobycze jej uzyskane na terenie Polski stały się dla Rosji źródłem siły? — pyta autor „Esseju”. Przecież Rosja nie potrzebuje ani nowych terytoriów ani nowej ludności, która rośnie w tempie równym zaludnieniu Stanów Zjednoczonych. Opanowanie Polski — pisze Czartoryski — nie jest również konieczne dla zapewnienia Rosji możliwości decydującego wpływu na losy Europy. Rosja będąc kontynentem rozporządzającym nieprzebranymi zasobami w ludziach i w surowcach, winna raczej skłaniać swych władców do zajęcia się uprzystępnieniem i eksploatacją wszystkich tych bogactw naturalnych z pożytkiem ludności. Koncentrując się więc na sprawach i problemach rozbudowy wewnętrznej, a otaczając się przyjaznymi i lojalnymi sojusznikami. Rosja może niezmiernie zwiększyć swój wpływ i autorytet, zabezpieczyć trwale swe interesy, nic nie tracąc ze swej siły. Dobry i lojalny przyjaciel — pisze on — jest na dłuższą metę zawsze więcej warty niż niewolnik. „Un ami vaut mieux qu'un esclave”.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa pruskiego nie tylko dla Polski lecz i dla całej Europy, książę Adam ostrzega w swym „Esseju” przed

groźbą tkwiącą w możliwości rozrostu Prus i żąda likwidacji Prus Wschodnich przez włączenie ich do Polski, której przyszłość widzi w roli przewodniej wśród narodów Europy Wschodniej i Środkowej. „Europa — pisze on — potrzebuje w tym rejonie państwa, które przez swój charakter i swój skład nie mogłoby być niczym innym jak tylko siłą defensywną. W interesie Europy leży aby państwo to okrzepło i stało się trwałym czynnikiem równowagi europejskiej”.

Ze urzeczywistnienie tego planu jest możliwe, książę powołuje się na współzycie polsko-litewsko-węgierskie, wysuwając jednocześnie konieczność przyciągnięcia narodów bałkańskich do współpracy z tą federacją.

Taki jest testament polityczny największego dyplomaty polskiego XIX wieku, pozostawiony nam w spadku po 50 przeszło latach pracowitego życia.

STEFAN ŁĘCZYC

## BEZ OREŹZA

Ze zrozumiałych powodów gloryfikuje się podczas wojny te rodzaje heroizmu, które są bezpośrednio związane z akcją militarną, te które przyczyniają się do rozbudzenia w szeregach żołnierzy ducha junactwa — beztroskiej pogardy śmierci. Ciszej natomiast jest wokół heroizmu znacznie wyższego rzędu, pojedynczego, o charakterze elitarnym, na który składają się rzadkie wartości natury moralnej, osiągnięte pełnym poświęcenia życiem i pracą. Takim heroizmem tchnie niezwykła scena „drogi krzyżowej” Korczaka, gdy z dwojgiem dzieci na ręce szedł na przedzie swych sierot w ciemne wagony, wiodące do Treblinki. Gdy świadom drogi i celu, odrzucając nikczemne propozycje własnego ratunku, warszawski Pan Anioł prowadził dzieci żydowskie, na ostatnią lekcję ich straszego życia...

Szwajcarski publicysta R. J. Humm opowiada na łamach tygodnika „Die Weltwoche” następujące zdarzenie: W połowie zeszłego roku przeżył Mediolan najcięższy nalot, wykonany nocą przez siły powietrzne Sprzymierzonych. O świcie zauważono, że znajdujący się w śródmieściu wodotrysk, w ocembrowaniu którego były złote rybki, został uszkodzony. Przez wyrwę dokonaną odpryskiem bomby wyciekała na jezdnię woda; strwożone rybki skupiły się na dnie ocembrowania, wydane niechybnej śmierci, wskutek ubywającej wody i zapomnienia. Ale oto zbliża się jakiś zakonnik z kadzią, wchodzi do studni, oburącz wyciąga rybki i wrzuca je do napełnionej wodą kadzi, ratując od zagłady. Prerażeni całonocnym bombardowaniem przechodnie przystanęli na chwilę i chóralną modlitwą błogosławili pobożny trud zakonnika...

W piątym roku obecnej wojny przystępuje amerykańska firma „Book-of-the-Mouth Club” do wydania w 400.000 egzemplarzach, przełożonej na język angielski, książki Szczuckiej. Książka ta, poświęcona życiu św. Franciszka z Assyżu, przeszła w Polsce prawie bez echa a jej tytuł brzmi: „Bez oreźza”...

Wiceprezydent St. Zj. Am. Płn. Wallace wypowiedział, podczas zeszlorocznego przemówienia w Detroit, następujące słowa: „...filozofia Demokratyczna i Chrześcijańska przeczy jakoby człowiek przyszedł na świat po to by walczyć, czy to w wojnie czy też w walce klas i głosi śmiało, że ostateczny pokój jest nieunikniony, że wszyscy ludzie są braćmi i że Bóg jest ich Ojcem”...



Wspólna wymowa zestawionych tu luźno faktów polega na tym, że ujawnia ona pewne podobieństwo reakcji, poczynań i myśli, od których coraz częściej jaśnieją krwawe horyzonty naszej wojny. Ujawnia ona nieśmiertelne złoża ludzkiego ducha, dzięki którym życie oczyszcza się z najpotworniejszych katastrof i klęsk. I tłumaczy pewne zjawiska, zgubione w pogmatwanych sprzecznościach; tłumaczy — w pewnym stopniu — największą zagadkę obecnej wojny: klęskę Francji.

Trudno się oprzeć myśli, jaką nasuwa lektura prac, traktująca genezę armistice'u, że najtrafniej definiuje tę sprawę krótkie powiedzenie potocznej mowy, używane dziś niemal powszechnie; brzmi ono: „Francja nie chciała się bić”. Ten zwrot zawiera całą bez reszty prawdę omawianej klęski. Zgodzić się bowiem trzeba, że nie brakło Francuzom w tej wojnie niczego, prócz jednej — bez wątpienia najważniejszej rzeczy — woli walki. Toteż zawodzą książki typu Armanda Levy, które zrzucają odpowiedzialność za klęskę z jednej części społeczeństwa francuskiego — na drugą. Nikt tam bić się nie chciał, zarówno robotnik jak i generał, kapitalista i chłop z południowych winnic. Nikt.

Oto przyczyna klęski francuskiej, która jednak nie tłumaczy zastanawiającej bierności narodu w obliczu największego niebezpieczeństwa. I dlatego z kolei powstaje pytanie; co wpłynęło na upadek ducha walki, jakie elementy dominowały w skomplikowanym procesie zbiorowości, gdy godziła się ona na najbardziej upokarzające skutki kapitulacji?

Analiza interesującego nas tu zagadnienia nie może pominąć trzech zasadniczych momentów natury psychologicznej: racjonalizmu, jako charakterystycznego składnika umysłowości francuskiej; światła i wielkodusznej literatury tego kraju, pielęgnującej wartości duchowe wespół z niechęcią do załatwiania jakichkolwiek konfliktów na drodze orężnej; oraz doświadczeń poprzedniej wojny, stwierdzających dowodnie, że nawet wygrana — nie oplaca się.

Nie można sobie na terenie Francji wyobrazić istnienia takiej maszyny propagandowej jaką w Niemczech posiada Goebbels; nie znalazłaby ona tego zastępu słuchaczy a tym samym nie tworzyła tych sugestji i nastrojów, bez których istnienie Trzeciej Rzeszy jest nie do pomyslenia. Wszystkie natchnione ryki ginęłyby w sceptycznym kpiarstwie trzeźwych i rozsądnych ludzi. Francuza można zaagitować inteligencją, dowcipem, porwać wdzięczną piosenką ale nigdy zacządźć dymem wzniosłej i ponurej bzdury. Aby obudzić w nim sympatię trzeba mieć 100% racji; nie można go pod niebo kołysać ani sztucznie pobudzać wrażliwości jego gruczołów — trzeba się jasno tłumaczyć z pobudek i logicznie klarować na czym polega proponowany mu „interes” a raczej jakie z tego „interesu” płyną dla niego korzyści. Nie znaczy to wcale aby Francuz nie ulegał odruchom natury irracjonalnej, muszą one jednak organicznie łączyć się lub wypływać z pokładów realnego życia — pozbawione operowego szumu, zakulisowych mroków i sentymentalizmu. W atmosferze logiki i rozsądku odżywają wspaniałe właściwości galijskiego umysłu i niezwykła chłonność jego prerafinowania. Napoleon raz na zawsze wyleczył Francuzów z fałszywej romantyki „szabli i konia”, z bombastycznej semantyki purpurowych słów i masowej hysterii. Toteż śmieją się ci ludzie często i serdecznie, wzruszają się głęboko prawdziwymi objawami serca i kultury ale nie tracą z oczu prostego rachunku praktycznych spraw codzienności.

Powtórka tych truizmów była konieczna do zrozumienia jak daleki jest Francuz XX w. od „idealnego sposobu pojmowania dziejów”, jaką cenę ma u niego zdrowie, życie i jak trudno tym życiem „dysponować”.

W zapleczu tej postawy pracuje świetna literatura francuska, która dla swego czytelnika jest tym, czym przemysł dla walczącego żołnierza.

W pracowniach francuskich pisarzy, oświeconych nie tylko wiedzą przeszłości i doskonałą techniką twórczej pracy ale i głębokim znawstwem skomplikowanej mechaniki nowoczesnego życia, powstają bogate i żywe, jak film, obrazy, na podobieństwo których urabia się smak i kształtuje umysłowość Francuza. Ojcem nowoczesnej powieści jest Balzac, genialny producent Komedii Ludzkiej. To on zastąpił romantyzm napoleońskich wypraw szarżą zrywających zdrowie cywilów, nową walką o dobrobyt i znaczenie; to on rozgonił po miastach narwanych i upartych „spryciarzy”, którzy inteligencją i wykształceniem dorabiają się bardziej interesującego i piękniejszego życia od świetnie urodzonych karmazynów; to on odkrył kolosalną dynamikę „pokojujowej” pracy i egzystencji; to on wreszcie pomnożył wszystkie smutki i radości przez oszałamiającą magię pieniądza. Idąca w te ślady literatura francuska wzbogaciła i pogłębiła zarówno problematykę jak i sferę wrażliwości nakreślonych tu form nowoczesnego życia — i tak powstała pyszna panorama, na tle której zdobywa Francuz markę światowca. Nie słyszy się dziś języka francuskiego ani nie obserwuje Francuza, by drogą skojarzeń nie odetchnąć na chwilę subtelnością Proust’a, sceptycyzmem France’a, estetyczną spekulacją Gide’a lub chłodną żarliwością Mauriac’a. A wszyscy wymienieni reprezentują ową wysoką wytworność duchową, która idzie w parze z „ortzaskaniem” i precyzyjną jasnością intelektu. Stąd pochodzi odraza, jaką żywi Francuz do wszelkich objawów chamstwa i brutalności, choć nie stroni od elastycznej dialektyki a nawet cynizmu. Zawsze jednak usunie się z gestem dezaprobaty, gdy dojdą go słowa, odwołujące się do siły fizycznej i materialnej przewagi. Emocjonuje go hazard codziennego życia i zawrotna perspektywa pracą i zdolnościami osiągalnych możliwości — przeraża go natomiast masowy szlachtuz, wytaczający z ludzi oceany krwi, od której bije lepki odór barbarzyństwa i obłędu.

Doświadczenia poprzedniej wojny przydały jeszcze tej postawie jaskrawe dowody słuszności, wykazały bowiem wszystkim zachowatym rachmistrzom, że wojna to żaden interes. Po prostu nie kalkuluje się. Suma zysków nie równoważy strat, poniesionych przez Francję w pierwszej wojnie światowej, podczas której zginęło ok. 3 milionów jej młodzieży. I to w okresie kiedy rozrodzność francuska ma tendencję niepokojąco niskową i gdzie panuje stały brak roboczych rąk. Pieniądze, jakie przyznano jej do zainkasowania u przeciwników, okazały się fikcją, niewielkie zdobywcze tereny zdradziły ostatecznie swoją wątpliwą wartość a chlubna sława francuskiego oręża, pomniejszająca wydatnie stopę życiową obywatela, stała się kosztowną i ponurą maskaradą. Cóż więc przemawia za wojną? Chyba nie „wieczny niepowrót” 3 milionów zdrowych i dzielnych mężczyzn, których życie podniosłoby niewątpliwie Francję duchowo i materialnie, a których przedwczesna śmierć jątży sumienie narodu, jak otwarta rana. Zbyt wiele rozsądku, zbyt wiele niezatartych wspomnień, przyrodzonej chęci do doskonalenia się jest w narodzie francuskim, aby mógł raz jeszcze, po tak fatalnym bilansie poprzedniej wojny, stanąć w 20 lat później do jeszcze jednej rzezi.

To nie pacyfizm wcale lecz ludzka ocena „korzyści”, jakie przyniosła Francji wygrana wojna. W „Europie w mundurze”, książce Knickerbockera z r. 1934 (!) znajdujemy taką uwagę: „Panujące we Francji pragnienie pokoju jest czymś zupełnie różnym od pacyfizmu. Pewien profesor, socjalista francuski, oświadczył mi: „Raczej niemiecki gubernator Paryża, niż wojna!”

Czy w tych okolicznościach kapitulacja francuska mogła stanowić niespodziankę?

A jednak była niespodzianką i jest nią po dzień dzisiejszy. Po raz pierwszy bowiem w dziejach historii świata cały do niedawna jeszcze skłócony





W Uzbeckim kolchozie



Łagiernicy



i rozdarty na partie polityczne naród, zjednoczył się w przeciągu paru tygodni i — złożył broń. Ta jednomyślność, niewiarygodna zgoda blisko 50 milionowego społeczeństwa, mimo marsowej pantominy rządu i w obliczu rosnącej katastrofy jest czymś więcej aniżeli konsekwencją przedwojennego bałaganu, „zepsucia”, sporów wewnętrznych czy nieudolności sztabu — to wola Francji: niechęć do wojny i pragnienie pokoju. Trudno nie widzieć, że jest w tej determinacji kulturalnego narodu jakiś gatunek absolutnej wielkości, niezgodny z konwencjonalną, klasyczną postawą do jakiej przyzwyczaiła nas historia. I w tym sensie jest to rewolucja — rewolucja pojęć, reakcyj, rewolucja, która po raz pierwszy odrzuciła broń i postanowiła nie robić z niej użytku.

To prawda, że gdyby tak samo jak Francja postąpiły trzy kolejne zapory hitlerowskiego pochodu — Polska, Anglia, Rosja — na których wycruszyła się żelazna siła nazistów, świat utonąłby w mrokach wieloletniej zbrodni. Ale kapitulacja francuska jest jedyną w dziejach ludzkich pozwalającą demonstracją tej miary i znaczenia, co świadczy, że dusza ludzka uwalnia się jednakże od zaciekłości i okrucieństwa.

„...filozofia Demokratyczna i Chrześcijańska przeczy jakoby człowiek przyszedł na świat po to by walczyć, czy to w wojnie czy też w walce klas”. I to jest najpiękniejsza myśl, wydedukowana z naszych ciężkich doświadczeń.

Forma francuskiej reakcji przeciw wojnie jest bezwzględnie nowa, chciałoby się rzec pionierska, i — jak dotąd — bez precedensu; ale sama myśl, idea żyje i narasta dzisiaj w niejednym narodzie. Wszystko przecież co do tej pory zdziałała armia włoska a z nią ludność cywilna Italii dowodzi bezspornie, że naród włoski nie chce się bić. Wyciągnięci za łby przez opętanego wizją imperialną Mussoliniego obywatele włoscy, przebrani w szykowne mundury i zaopatrzeni w nowoczesny sprzęt wojenny, to jeden olbrzymi wielogłowy Szwejk, który zachowuje pozory wojska a naprawdę — nawala. Nie pomogły parady, sztandary i reflektory, nie pomogły słowa, gesty i porywczy krok; za barwną dekoracją historycznej wielkości Rzymu kryje się sympatyczny południowiec, miłujący wino i muzykę. Mylna jest popularna interpretacja kierunku polityki włoskiej, dopatrująca się w tej polityce śladów filozofii, która związana jest z nazwiskiem Machiavelli. Cynizm, natrętne asystowanie silniejszemu i niskie pochlebstwa mają tylko dopomóc narodowi włoskiemu w tym, by się możliwie skutecznie i bezkrwawo wymigał z wojny, której nie chce, nie rozumie i nienawidzi.

Od powolnego jednak rozkładu tej wojny unoszą się opary fałszu, przewrotności, odwlekające narodziny światła. Szerzy się m.i. pozornie słuszna teza, iż tylko ten naród jest „wielki”, ten naród ma prawo do samodzielnego życia, którego armia bije się dobrze i zagarnia obce tereny. Gloryfikacja przemocy, kult żołdacki, sztuczne podsycanie nastrojów awantury i pielęgnacja najgorszych właściwości duszy ludzkiej. Francuzi złożyli broń i ani na chwilę nie przestali być narodem wielkim — i nikt zapewne nie zakwestionuje ich prawa do niepodległego bytu. To samo prawie da się powiedzieć o Danii, Norwegii, Holandii czy Belgii. Wielkością narodu, jedyną legitymacją jego dążeń do wolnego życia jest kultura, moralność publiczna, praca oraz fakty, świadczące o tym, w jakim stopniu „szary człowiek” danego narodu żyje bezpiecznie i szczęśliwie. Wszystkie inne argumenty to polityczny bluff, szmira wyludzająca od widza czy słuchacza moralny kredyt i zgodę. Toteż najefektowniejsze zwycięstwa nie tłumaczą ani nie sankcjonują zbrodni, jaką jest każda forma militarnej agresji, zaboru.

Początki wielkości Niemiec datują się od czasów Weimaru, gdy żył tam i sprawował rządy duchowy premier Europy — Goethe. Światowy zatem



zasięg tego narodu przypada na okres jego wojskowego upadku i politycznej niemocy. Hitlerizm jest przecież niczym innym jak degeneracją tej wielkości, jej szczytowym wynaturzeniem, w czasie którego potęga wojskowa Niemiec osiąga nienotowane w historii rozmiary. Trzeba jednak pamiętać, że najpopularniejsza ongi książka, która nie tyle wartości literacką ile gorącym porywem celnie godziła w istnienie militarystyki i wojny, wyszła spod pióra austriaczki, córki pułkownika, baronowej von Suttner, p.t. „Die Waffen nieder!“. Działo się to w czasach wilhelmowskich Niemiec, t.zn. w okresie narodzin ich dzisiejszej totalnej „wielkości”. „Naród myślicieli i poetów” wróci do swej doniosłej, przynależnej mu roli, do twórczego oddziaływania na oblicze świata tylko wtedy, gdy nawiaże utraconą ciągłość duchową z wielką działalnością mężów „romantycznego” Weimaru; tylko wtedy, gdy raz na zawsze pożegna się... z orężem.

Bez względu na to jakbyśmy oceniali kapitulację Francji, pod koniec zawsze zgodzić się wypadnie, że był to czyn zbiorowy w pewnym okresie tej wojny ogromnie niebezpieczny, którego skutki zważyć się mogły miażdżącym ciężarem na życie wielu pokoleń — lecz zgodzić się również wypadnie, że był to czyn bardzo skądinąd ludzki, o podłożu wybitnie kulturalnym i, jako nieskażony wyraz narodowej woli, demokratyczny. Francja nie chciała się bić...i żaden Mussolini nie potrafił jej „wykierować”. Do takiej jednomyślności w odrzuceniu wojny i w dążeniu do zachowania pokoju za wszelką cenę, do takiej konsekwencji z kulturowanych cech swojego obywatela, zdolny jest tylko naród naprawdę wielki. Naród, który może umrzeć, ale który nie chce i nie umie już zabijać — naród który nie ulega już psychozie heroizmu. Prawdziwa kultura działa hamująco.

Ale takie już są obyczaje wojny i okresów tryumfującego łajdactwa, że przemoc rozczuła i porywa, ustepliwość natomiast traktuje się pogardliwie jak nędzę. Stąd tyle drwin i bezmyślnej wyniosłości pod adresem Francji i Włoch. A kto wie czy właśnie ich niesławna postawa, ich umiłowanie pokoju i naturalna niechęć do wojny, nie będą miały większego znaczenia dla nas i przyszłości, niż wszystkie wyczyny militarne obecnej doby wzięte razem — aczkolwiek rozgromienie nazizmu sprowadza chlubnie dzieje nasze na drogi wolności i postępu. Bo też głęboko antyczny motyw powtarza się nieustannie w tragedii francuskiej i wskazuje na nierozzerwalną łączność strony moralnie wspianiałej, podniosłej tego zdarzenia, że zdrada tej sprawy, w rezultacie uwalnia ludzkość od największej klęski, jaka jej kiedykolwiek groziła.

Ze zgrozą myślimy o śmierci Korczaka; ale i nadzieją i wiarą ożywia nas myśl, że w tych strasznych czasach są ludzie takiego jak on serca, takich ideałów, takiego formatu. Ze wstydu i przygnębienia wyprowadza nas wiadomość, że mieszkańcy Mediolanu, po upiornej nocy ognia i zniszczenia, rękami bogoboju zakonnika, wyrwywają śmierci złote rybki. Napawa nas otuchą krótki komunikat prasowy, który donosi, że przedsiębiorstwo amerykańskie, kierujące się zapewne względami natury czysto handlowej, wydaje książkę sławiącą życie św. Franciszka z Assyżu. I serce nam uderza „złotym dzwonem” gdy dochodzą nas, przytoczone wyżej, wzniosłe słowa wiceprezydenta St. Zj. Am. Płn. I może dziś dopiero, na skutek dystansu jaki wytworzył czas, rozumiemy historyczną rolę kapitulacji francuskiej, widząc w złożeniu broni zarówno praktycznego jak i najkulturalniejszego na świecie narodu, elementy nadciągającego światła i szlachetnej siły. Zmaltretowany barbarzyństwami wojen i rewolucyj człowiek, skierowuje swe myśli i kroki w stronę innych form, innych metod rządzenia i współżycia aniżeli te, których symbolem jest połyskujący na karabinie bagnat.

## WSPOMNIENIE O ŚWIATOPEŁKU KARPIŃSKIM

Światopełk Karpiński żył zawsze w atmosferze przypadkowości. Młodej i wiosennej, uroczej fabuły życia, które szło mu naprzeciw, niekonkretne i codzienne, ale słoneczne w jakiejś nowej wyobraźni.

I znów tym razem stał się jakiś niecodzienny przypadek. Tego przypadku niewątpliwie rezultatem było, że Karpiński znalazł się w Wilnie. Miał wtedy melancholię w oczach, przerażenie w głosie. Lubiał być pijany jak dawniej i coraz częściej przypominał sobie i nam wszystkim, że sen o wiecznej drodze uroczych zjawisk skończył się. I że go szukać trzeba!

Znajdywał zaciszne knajpy, w których spędzał długie godziny z przyjaciółmi. Był nastrój dawnych kalamburów, plotek i powiezonek. W tych dziurach, pełnych wilgoci i kwaszonych ogórków, nędznych barów, do których rzadko dochodził gwar zabłoconej ulicy, żyła na nowo Warszawa szaleństw, Warszawa swoja i kochana, wdzięku i nastroju.

Karpiński z trudem przyswajał sobie nową rzeczywistość. Był pewien, że jechać gdzieś trzeba, że robić coś powinien, że zdecydować coś musi. Ale Wilno przykuło tymczasem jego nerwy, słuch i uwagę. Gdzieś pod słoneczną św. Anną szukał bicia dzwonów, na Rossie jedynej powagi Powązek, liczył tych, którzy zginęli, liczył ich ilością wspomnień, przegadanych słów, wypowiedzianych i zapamiętanych myśli. Sądził ich wiarą w życie. I wodził za nimi, szukając ich dojrzałości do śmierci.

Karpiński był pełen niepokoju wewnętrznego, zrodzonego z nagłości tego, co się stało, ze straty tego, czym żył. Wyczuwało się, że boi się podświadomie tego nowego etapu, że boi się zaczynać na nowo, z dala od tej atmosfery, w której żył, pisał i był szczęśliwy. To jego szczęście — to Warszawa, którą wydarto sercu, wydarto

z mózgu, tworzącego z jej życia najprostszą i najpiękniejszą fantazję.

Kto pamięta wiersze Karpińskiego na Jubileusz Teatru Letniego w Warszawie wie, że „Stara Buda” w Saskim Ogrodzie była pełna czaru, że zieloność drzew miała wdzięk zupełnie specjalny, warszawski, że ulica Hoża miała senność, że Mazowiecka była snobistyczna, że u „Niedźwiedzia” na Krakowskim Przedmieściu był olbrzymi dębowy stół, przy którym długo siedziało się w noc. I jedna piwnica, pełna świateł i dymu, gdzie tak sprawiedliwie szarżowano słowem. I że to był kraj lat młodzieńczych, kraj wiosny.

Karpiński chodził po Wilnie jak lunatyk. Patrzył dokoła i widział wszystko. Ale miało się wrażenie, że dochodziło to do niego w innej formie. W takiej może, jaką sobie ułożył w swojej najpiękniejszej odmianie. Dorósł w niej i dojrzał w momencie, gdy skończyła się warszawska bajka. Przynajmniej jej zewnętrzny koloryt. Bo po paru miesiącach odżyła w nim z całą przeogromną siłą wyobraźni. Żył przecież życiem, które kochał pewnie i młodzieńczo.

Była kiedyś słoneczna niedziela wileńska. Były kolorowe baloniki dziecięce, było żywo. Koniec kwietnia. Jeden z pierwszych dni wiosny, kiedy Wilno odetchnęło po upiornej zimie. Na Wileńskiej ulicy była mała żydowska knajpka. Było parę kieliszków wódki, jakiś śledź, pamiętający czasy dobrze przedwojenne. Siedzieliśmy we trzech. Był z nami Czesław Miłosz, po świeżo odbytej długiej podróży. Kratkowana cerata na stole, na której były lekkie ślady rozlanego piwa, pajęczyny w kątach i zwiedły od dawna narcyz w szyjce od octowej butelki. Ciemnowo. Przez brudne i ciężkie story przelatwały od czasu do czasu wstydliwe promienie słońca. Radio grzmiało nieprzyjemnie w niezrozumiałym języku.



Miłosz opowiadał dużo o swej podróży. Gdzieś daleko od nas, grała obcego marsza obca wojskowa orkiestra, dalej była wileńska „Gazeta Codzienna”, jeszcze dalej problemy miejscowych „krajowców”, stojące kością w gardle i dręczące swoją natarczywością.

Potem przyszła na nas Warszawa. Przyszła najbardziej taka, jaką była: wspaniała i odległa.

Mówiliśmy wtedy Świątkowi, że powinien pojechać za granicę.

Siedział dziwnie zasępiiony. Tak. Wiedział doskonale o tym że powinien. Siedział spokojny, ze wzrokiem utkwionym w lepką ceratową narzutę na stole.

Szybko wyszliśmy. Karpiński uśmiechał się znowu i mówił długo o patrzeniu wstecz. Przed nami nie było wtedy nic jasnego.

Wyszliśmy w słońce. Wileńską dryndą na gumowych kołach, pojechaliśmy na Roszę. „Miło tu i spokojnie” — powiedział, gdy stanęliśmy. Strumienie wody szumiały, wydostając się spod brudnego, topniejącego śniegu. Pod nami były wieże i kościoły, kręte ulice, rzeczywistość przycupnięta na skraju tragedii, jakiś nierealny obraz życia które szło. Był lekki wiaterek.

Niebo było blade niebieskie, gdy zatrzymaliśmy się przed Sercem Marszałka. Był spokojny.

Wzgórek Poetów stał w cieniu drzew. Słysząc było czyjeś zbliżające się kroki. Ciche, potem głośniejsze. Karpiński drgnął. Zaczęliśmy schodzić. Idąc, paliliśmy w milczeniu papierosy. Schodziliśmy ku Wilnu.

Rzecz, którą nam wtedy Świątek opowiedział, była taka:

„Parę dni przed pierwszym wrześnią piliśmy w większym towarzystwie, w Warszawie. Był z nami między innymi Tadzio Dołęga-Mostowicz. Pamiętam, żeśmy pomiędzy sobą wróżyli, którego z nas pierwszego szlag trafi. Jeden z pijackich pomysłów... Los, pijany los, wskazał na Dołęgę... A potem, kostropatym, brudnym końcem posrebrzanej łyżki, drżąc naskoczył na mnie... Zabawne skojarzenie. Mostowicz nie żyje już pół roku!”

Brutalne te słowa zakończył prawie wesoly, głośny śmiech. Spojrzałem na Miłosza. Odwrócił się milcząco i chwilę patrzył na Roszę.

Szliśmy dalej w dół. Słońce zachodziło, biły dzwony i blask szedł od kościoła Misjonarzy.

Małe, brudne dzieci biegały dookoła nas na ulicy Subocz, skakały po chodnikach. Świątek uśmiechał się kącikami ust. Weszliśmy w miasto.

W cztery dni później Świątek nie żył.

Jest dziwna symbolika faktów w jego śmierci. Wileński okupacyjny maj i śmierć człowieka, tkwiącego wszystkimi korzeniami w epoce sprzed burzy.

Karpiński nie zniósł przełamania się swego czasu. Był w nim jakiś bunt wewnętrzny, napotykał na marzące wspomnienia czegoś, czego już nie ma.

Był młody, jak czas, z którym się związał. Odszedł nagle ze swoją epoką, która także nagle istnieć przestała. —

*Ready Shortly*

## **POLAND'S PROGRESS**

**1919—1939**

Edited by MICHAEL MURRAY. Introduction by SIR ERNEST BARKER

A sober yet heartening account of Poland's achievements between the two world wars — a necessary background for understanding the present difficulties and hopes of this valiant country.

*With over 200 illustrations.*

*10s. 6d. net.*

**JOHN MURRAY**

# SPIS RZECZY

	Str.
KSAWERY PRUSZYŃSKI — <i>Ksiądz Ulas</i> .. .. .	321—337
MARIA PAWLIKOWSKA — <i>Wojenna nowela</i> .. .. .	337
JULIAN TUWIM — <i>Kwiaty Polskie (fragment)</i> .. .. .	338—340
MARIA KUNCEWICZOWA — <i>Wbrew Czasowi Pogardy</i> .. .. .	340—346
ANTONI SŁONIMSKI — <i>Na rzecę</i> .. .. .	347
FLORIAN SOKOŁÓW — <i>Czarny śmiech</i> .. .. .	347—350
ZYGMUNT HAUPT — <i>Ogród Jeziński</i> .. .. .	351—357
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>O towarzyszu robaku wiersz</i> .. .. .	357—358
MARIAN CZUCHNOWSKI — <i>Nie mogę słuchać; Nocne ogródki</i> .. .. .	358—359
PORUCZNIK HERBERT — <i>Dowód niezbity</i> .. .. .	359—369
MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI — <i>Na ziemi i na niebie Kanady</i> .. .. .	369—376
JAN MROZOWICKI — <i>Podminowany konwój</i> .. .. .	376—379
OLGIERD GÓRKA — <i>Najgorsze strony antysemityzmu</i> .. .. .	380—387
M. K. DZIEWANOWSKI — <i>Aktualność Czartoryskiego</i> .. .. .	387—392
STEFAN ŁĘCZYC — <i>Bez oręża</i> .. .. .	392—396
KRZYSZTOF MUSZKOWSKI — <i>Wspomnienie o Światopełku Karpińskim</i> .. .. .	397—399

## 3

popularne restauracje z prawem wyszynku

### BERTORELLI

19, Charlotte Street, London W. 1  
tel. MUSEum 4x74

70-72, Queensway, London, W. 2  
tel. BAYswater 3160

23, Shepherds Bush Garden,  
London, W. 12  
tel. SHEpherds Bush 2662

RESTAURACJA

### CHEZ AUGUSTE

Kuchnia francuska

Kierownictwo francuskie

38, Old Compton Street, W. 1,  
tel. GER. 2655

===== otwarta w niedziele =====

Umawiajcie się z przyjaciółmi

w

## PRINCES RESTAURANT

190, PICCADILLY, W. 1

Tel.: REGent 8:41

Wczesne lunch'e

Doskonała kuchnia i przyjemna  
atmosfera

Wielki wybór deserów

Obiady i Dancing na którym co  
wieczór przygrywają 2 orkiestry:  
Princes Septet i Francisco Condo  
z zespołem Orquesta Cubanos

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Ad-  
vertising Offices, The Carlton Berry Co.,  
Grand Buildings, Trafalgar Square, London,  
W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.



TOWARZYSTWO

UBEZPIECZEN



## ALLIANCE ASSURANCE COMPANY LTD.

of BARTHOLOMEW LANE, LONDON, E.C. 2.

oddział którego znajdował się w Polsce w Warszawie przy ulicy Wiśniowej 44 zasyla pozdrowienia swoim polskim przyjaciolom i żywi nadzieję, iż będzie miało możność utrzymywania z nimi nadal stosunków po wojnie.

聚英酒樓

CHOY'S

CHIŃSKA RESTAURACJA

(przedtem QUO VADIS)

otwarta codziennie od 12—10 w nocy  
także w niedziele

26—28, Dean Street, London, W. 1  
Tel.: GERrard 6086

L'ESCARGOT

BIENVENU RESTAURANT

maison française

Partners:

GEO GAUDIN ALEX GAUDIN  
(French)

48, Greek Street, Shaftesbury Av.  
London, W 1

Tel.: GERrard 4460

BOSPHORUS  
RESTAURANT

Właściciel H. N. Arif

15a, Gerrard Street,  
London, W. 1

Kuchnia kontynentalna

Otwarta codziennie od 12  
do 11 w nocy

W poniedziałki zamknięta

ESPLANADE HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT,  
LONDON, W.9. Tel. CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała kuchnia polsko-rosyjska

MÓWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej  
Warwick Ave. na brązowej linii.

JUŻ UKAZAŁ SIĘ TOM WIERSZY  
ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO

p. t. „WYBÓR POEZJI“

W sprzedaży księgarskiej pozostało tylko wydanie na  
papierze czerpanym Cena 12/6

Własna piwnica wyborowych win

OBIADY i



KOLACJE

## Le Coq d'or Restaurant

POD KIEROWNICTWEM OSOBISTYM

G. HENRI SARTORI

Stratton St., Piccadilly, W. I

Tel.: MAYfair 7807-9

POD NOWYM ZARZĄDEM!

RESTAURACJA  
FRANCUSKA

# LACOQUILLE

79, ST. MARTINS LANE.  
LONDON W. C.

TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

## POTOMAC RESTAURANT

37, JERMYN STREET, LONDON, S.W. 1

TEL.: REGent 0565

NAJMODNIEJSZY LOKAL — LUNCH'E

Obiady i Dancing na którym przygrywają 2 Orkiestry

SMACZNE DANIA  
POLSKIE

U

## DUDZICA

11-13 Parkway, London,  
N.W. 1

Dojazd: Podziemną do Camden Town

## LEON VERDIER

4 Greek Street, London, W. 1.

Telephone: GERard 7301

Podarunki, kartki z życzeniami,  
Książki dla dzieci, Artystyczne  
malowidła i rzeźby na drzewie.

Zapraszamy odwiedzić nasz skład.

..... A TYMCZASEM  
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT DECCA



30302 II

# NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 7

W ROK PO KATASTROFIE GIBRALTARSKIEJ

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ANTONI SŁONIMSKI

ANTONI WÓJCICKI

MARIA PAWLIKOWSKA

PORUCZNIK HERBERT

DOROTA FALSKA

FRANCISZEK WILK

JERZY HORZELSKI

STEFAN THEMERSON

STEFAN ŁĘCZYC

FLORIAN SOKOŁÓW

RAFAŁ MALCZEWSKI

Wylęczono z dubletów  
Bibl. PAN  
w Krakowie

LONDYN

LIPIEC

1944





# ★ Vote of Confidence

THE CREAMIER LONG-LASTING LATHER OF  
PALMOLIVE SHAVING CREAM

*Softens* the toughest beard  
*Smooths* the way for razors  
*Soothes* the tenderest skin

★ **WORLD'S LARGEST SALE** 1/6 and 2/6  
INCLUDING TAX



## The Best Years of Your Life

can be even better if you are confident of looking your best. A "Coronet" of curls will act like magic and transform your coiffure into a miracle of perfection.

Easily worn and invaluable while waiting for your next permanent wave and on all occasions when you cannot visit your hairdresser.

The joy of a perfect coiffure at all times will be yours if you are wearing a Coronet of Curls.

Pattern of your hair will enable me to quote you the cost, which is not unreasonable at the present time.

**GEORGES BARRANGER**

Premier (Free) French Posticheur

Permanent Waving and Hair Colouring Specialist

**M A I S O N G E O R G E S**

38/40 Buckingham Palace Road, London, S.W. 1

Tel. Vic. 5943-4.

(only address)

## VANĚK'a

krawiectwo i futra na zamówienie cieszą się uznaniem międzynarodowym ze względu na doskonałe materiały i znakomity krój. Jego wyjątkowe doświadczenie, zdobyte w Londynie i na kontynencie, daje mu możliwość wykonywania pierwszorzędných kreacji. Przerabia, farbuje i przechowuje futra.

4, WILLIAM STREET,  
KNIGHTSBRIDGE, S.W.1

a także w Bournemouth

## Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W.1

Tel. MAYfair 0826

..... A TYMCZASEM  
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU PRZY DŹWIĘKACH PŁYT **DECCA**





# Selfridges

## WSPÓLPRACA POWOJENNA

### Wyciąg ze sprawozdania Prezesa Tow. Selfridge złożonego z okazji Walnego Zebrania firmy:

„Ci którzy planują nowe i obiecujące przedsięwzięcia, winni  
„znaleźć zachętę ze strony najpoważniejszych banków, które  
„zgłosiły gotowość użyczenia odpowiednich kredytów. Pomy-  
„sły i zdolności w produkcji, łącznie z pomocą finansową mogą  
„dać najlepsze wyniki, trzecim jednak ważnym czynnikiem jest  
„doświadczenie w sprzedaży i tu właśnie wielkie domy to-  
„warowe mogą okazać pomoc. Rynków zagranicznych, których  
„poszukiwano w przeszłości dla odnalezienia nowych gatunków  
„towarów nie wyzyskano dostatecznie. Nawoływanie do  
„kupowania wyrobów brytyjskich z pewnością wzmocze się  
„niezależnie od ograniczeń pieniężnych na cele przywozu,  
„które prawdopodobnie wejdą w życie. Fakt ten stworzy  
„z pewnością szerokie pole możliwości dla nowych wysiłków  
„a firma Selfridge chętnie zaoferuje swoje usługi dla zorgani-  
„zowania pokazów, reklamy oraz poparcia każdej nowej obiec-  
„ującej produkcji artykułów z drzewa, mas plastycznych, metalu,  
„skóry, gumy, tkanin, porcelany, szkła lub innych materiałów  
„i gotowa jest okazać pomoc we współpracy w produkcji  
„i umieszczaniu na rynku tych towarów bądź to przez istniejące  
„już domy towarowe, bądź też przez nowe firmy lub prywatne  
„jednostki.

\* \* \*

Zapytania zgłaszać należy do Merchandise office

**SEFRIDGES LTD., Oxford Street, LONDON, W.1.**



## „Doktorze, proszę mi powiedzieć . . . dlaczego upiera się Pan przy „Dettol'u” jako środka antyseptycznym?”

Dlatego, że zostało to udowodnione zarówno przez badania laboratoryjne jak i w praktyce szpitalnej, że „Dettol” posiada w wysokim stopniu wszelkie zalety, których się wymaga od środków antyseptycznych... siłę przeciw-mikrobową, nie-trujący, wysoki stopień przenikliwości oraz stałość. Dlatego też używany jest w klinikach chirurgicznych i położniczych w większości wielkich szpitali.

„Dettol” jest trzykrotnie bardziej skuteczny przy zabijaniu mikrobow od czystego kwasu karbolowego,

jednak jego działanie oczyszczające tkanki ludzkie jest tak łagodne, że powoduje naturalne uzdrowienie w najkrótszym czasie.

„Dettol” jest czysty i przyjemny w użyciu. Jako wydatny i ochronny środek, powinien być zawsze w każdym domu. Przy zacięciu, które może doprowadzić do zakażenia krwi, w pokoju, z którego choroba może się rozszerzyć; przy wszystkich ważnych zabiegach higieny osobistej używaj zawsze „Dettol'u” — dla bezpieczeństwa.